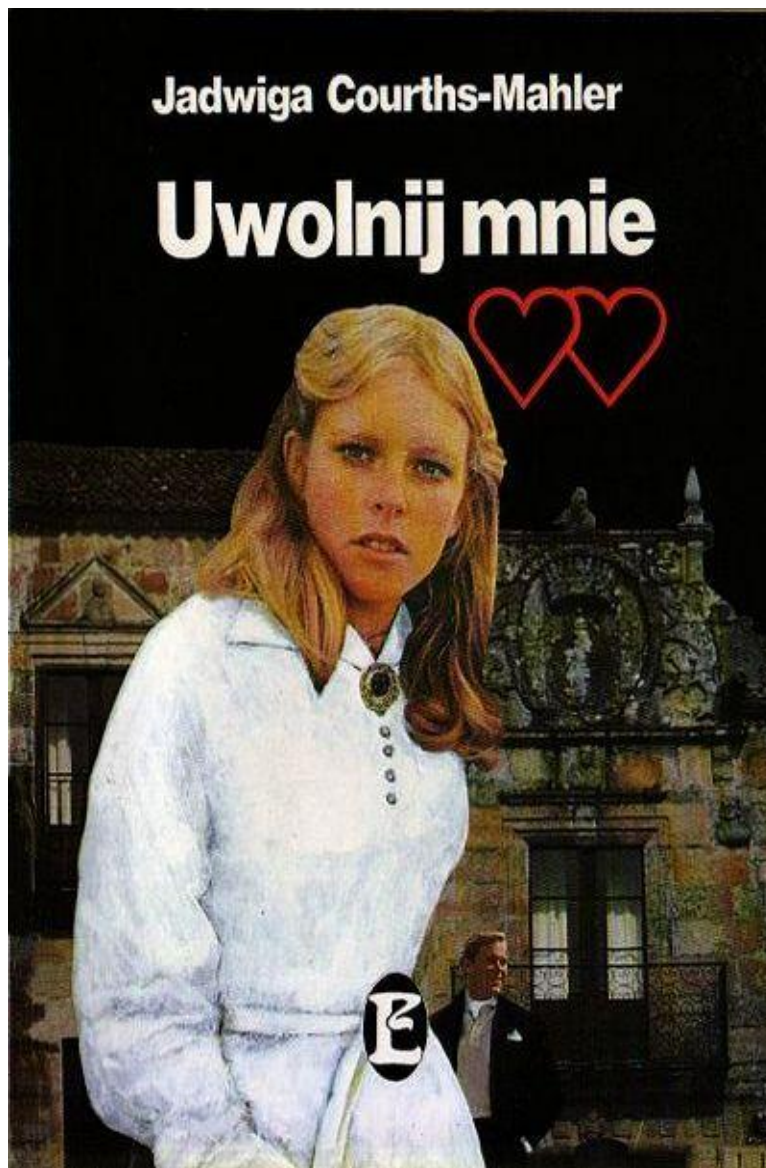




JADWIGA COURTHS-MAHLER UWOLNIJ MNIE

Przekład Jarosław Misiak



EDYTOR

Katowice 1996

TLR

Lisa stała przed lustrem w powłóczystej, białej sukni ślubnej. Przed dwiema godzinami w urzędzie stanu cywilnego została z mocy prawa żoną Ronalda Hechingena. Teraz miał odbyć się ich ślub kościelny. Ciotka Lisy, pani konsulowa Limbach, przyglądała się wychowance krytycznym okiem przez swój lornion. Szeptem instruowała pannę, która zajmowała się Lisą, co jeszcze należy przy sukni poprawić.

Sama Lisa nie odzywała się ani słowem. Stała sztywno i dużymi, rozmarzonymi oczami wpatrywała się w lustro. Nieśmiały, promienny uśmiech gościł co chwila na jej ustach, a z piersi wydobywały się ciche westchnienia. Jej niewysoka sylwetka była jeszcze zbyt szczupła i nie całkiem ukształtowana — linia jej ciała pozbawiona była typowych dla kobiety krągłości. To wrażenie potęgowała jeszcze jej wyprężona, nieco wymuszona postawa. W naturze Lisy wyczuwało się coś stłumionego, niesamodzielnego, co spotyka się u ludzi, którym nie było dane swobodnie się rozwijać. Jej twarz była trochę bezbarwna. Lisa miała wprawdzie wspaniałe ciemnoniebieskie oczy, gęste kasztanowe włosy i ładne rysy twarzy, ale jej usta były zazwyczaj zaciśnięte, oczy lekko przymrużone, a włosy po prostu zaczesane do tyłu, w sposób nie przydający jej powabu; zbiegały się one z tyłu w gruby, odstający węzeł, który nadawał głowie nieforemny kształt. Fryzura ta została Lisie narzucona przez panią konsulową Limbach i stanowiła wymowne świadectwo jej złego gustu i braku wrażliwości na piękno.

Służąca próbowała przekonać konsulową, by ta pozwoliła swojej podopiecznej chociaż na tę dzisiejszą uroczystość zmienić uczesanie na bardziej nowoczesne. Zaproponowała, by lekko falujące włosy Lisy opadały swobodnie na ramiona. Lisa popatrzyła z nieśmiałą nadzieją w zimne, zawsze przymknięte oczy swej ciotki. Nienawidziła swojej fryzury i już dawno chętnie by ją zmieniła. Jednak polecenie ciotki zakazywało jej takich praktyk raz na zawsze. Także i dzisiaj konsulowa potrząsnęła z dezaprobatą

głową, układając przy tym usta w majestatyczny grymas.

— Minna, proszę uczesać panienkę jak zawsze. Tego typu fryzury noszą kelnerki, sklepikarki i artystki — nie przystoją one jednak szlachetnie urodzonym daniom.

Wargi Lisy zadrżały na te słowa. Chętnie powiedziałyby, że wiele dam z towarzystwa także nosi podobne fryzury, jaką przed chwilą zaproponowała Minna. Zrezygnowała jednak z takiej próby, gdy zobaczyła surowe oblicze ciotki Herminy. Wiedziała z doświadczenia, że konsulowa nigdy nie odstępowała od raz wyrażonego postanowienia. Ona sama nazywała to konsekwencją, jej małżonek natomiast w duchu

— uporem.

Jak zawsze, tak i teraz Lisa podporządkowała się despotycznej woli swojej ciotki. Służąca ze współczuciem próbowała nieco złagodzić ostre linie fryzury, umiejętnie układając wianek narzeczeński i woalkę. Delikatnie nałożyła też nieco różu na blade policzki panny młodej, dzięki czemu jej oczy nabrały blasku, a cała twarz nie była już tak bezbarwna jak przedtem.

Lisa nie przykładła aż tak dużej wagi do swego wyglądu zewnętrznego. W końcu nieważne było, jaką ma fryzurę — najważniejsze, że podobała się swojemu Ronaldowi, a on kochał ją taką, jaka była. Ronaldowi bardziej zależało na jej duszy niż na wyglądzie — w przeciwnym razie nie prosiłby jej o rękę. Ach, Ronald — najlepsze, co ją w życiu spotkało, jej wspaniały Ronald, jej mąż!

Cóż za wielkie, niepojęte szczęście, że on ją pokochał, tę niepozorną, cichą Lisę, która nie była ani piękna, ani powabna, ani specjalnie inteligentna, ani też zbyt interesująca! Nigdy nie przyszło jej nawet do głowy, by wątpić w jego miłość. Była przekonana, że niezasłużenie spotkało ją bajeczne szczęście, więc korzyła się przed jego ogromem, nie starając się nawet rozważać innych powodów, dla których Ronald mógł zabiegać o jej względy. To, że ją pokochał i zapragnął pojąć za żonę, traktowała jako najprawdziwszy cud. Nie starała się tego zrozumieć.

Lisa nigdy nie zastanawiała się nad tym, że może to jej bogactwo skłoniło jej przyszłego męża do zalotów. Bogactwo było dla niej czymś oczywistym, a więc i obojętnym. Ponieważ zawsze była bogata, nie znała praw-

dziwej wartości pieniądza. Była jeszcze tak mało doświadczona życiowo, że nie przypuszczała, by pieniądze mogły być ważniejsze aniżeli miłość.

Jedną z cech, wpojonych jej przez ciotkę Herminę, była skromność, która nie pozwalała Lisie chępić się swym bogactwem, tak jak to czynią inne młode spadkobierczynie. Doskonale przy tym zdawała sobie sprawę, że rodzice zostawili jej bardzo duży majątek i że kiedyś także wujostwo Limbach, a zapewne i jedna z sióstr jej ojca, pani Rahnsdorf, zapiszą jej swe dobra. Z takimi widokami Lisa była wyśmienitą partią, chociaż o tym nie wiedziała.

Dlaczego ciotka Hermina zwracała taką uwagę na skromność i pokorę w zachowaniu młodej damy? Ona sama była kiedyś uboga i chociaż przy własnym zamążpójściu bardzo liczyła na majątek męża, to jednak sprawiało jej przyjemność wyrażanie pogardy dla marnej mamony. Sławiła arystokrację z urodzenia, przeciwstawiając jej arystokrację pieniądza. Lisa, córka bogatych mieszczan, nie dorównywała swojej ciotce urodzeniem i nie widziała w swym bogactwie niczego szczególnego.

Konsulowa wychowywała Lisę od momentu, gdy ta znalazła się w jej domu jako ośmioletnia sierota. Lisa stała się obiektem, na którym ciotka uskuteczniała własne metody wychowawcze, tłumiące osobowość i kształtujące człowieka o słabej sile przebicia. Lisa była przeświadczona o tym, że trzeba się bezwzględnie podporządkować opiekunce, niezależnie od tego, czy jej się to podoba, czy nie. Konsulowa była przekonana o swojej nieomyślności, lecz oczywiście skromna dziewczyna nie mogła zdawać sobie z tego sprawy. Nawet jeśli z czasem zaczęła w duchu powątpiewać w sensowność decyzji ciotki, chęć buntu dawno już została w niej zagłuszona.

Wuj Karol, małżonek ciotki Herminy, był zbyt dobrotliwy, zrównoważony i wygodny, by próbować forsować swoją wolę i przeciwstawiać się tym samym pomysłom swej żony. Wprawdzie zupełnie nie zgadzał się z jej metodami edukacyjnymi, ale sam także nie uważał się za eksperta w tej dziedzinie, więc nie interweniował. Poza tym, przy swych rozległych interesach, wuj Karol nie miał nigdy zbyt wiele czasu dla Lisy. Jeśli już jednak wyraził swą dezaprobatę dla niemal niewolniczego uzależnienia

psychicznego swojej bratanicy, małżonka obdarzała go najbardziej zdumionym, wyniosłym i jednocześnie lodowatym spojrzeniem, na jakie było ją w danym momencie stać, i mawiała wtedy:

— Kochany Karolu — „Kochany” było tu szczególnie akcentowane — życzę sobie, żebyś wychowywanie Lisy na rzeczywiście wytworną i dystyngowaną damę pozostawił jedynie mnie. Ty nie możesz mieć o tym pojęcia. Skoro Bóg niestety nie obdarzył nas własnym potomstwem, chcę wychować córkę twojego brata z taką samą troskliwością, z jaką wychowywałam swoją córkę. Mam nadzieję, że nie będziesz utrudniał mi mego zadania poprzez nieprzemyślane, a zatem niebezpieczne odruchy słabości. Wiesz doskonale, jak głęboko przywiązana jestem do tradycji, w której wyrosłam. W mojej rodzinie, w rodzinie baronów von Schlorndorf, wszystkie młode panny były wychowywane na damy wytworne, a zarazem skromne.

Takie przemówienie odbierało Karolowi ochotę na dalsze dysputy. Gdy tylko jego małżonka, z domu von Schlorndorf, wytoczyła swe oratorskie działania, było po nim. Nie dlatego, żeby miał zwyczaj nadmiernego hołdowania wyjątkowo szlachetnemu pochodzeniu swojej połowicy, ale dlatego, że jeśli już poruszyła ten temat, popadała w stan upojenia własnymi słowami i mogła ciągnąć swój monolog bez końca, czego było za wiele nawet dla tak cierpliwego człowieka jak wuj Karol. Ponieważ jednak szczerze nienawidził małżeńskich kłótni, więc najczęściej ulatniał się w trakcie wywodów swojej żony.

Jak długo pani Limbach była jeszcze młoda i ładna, pan Limbach robił jej czasami grzeczność i dawał się przekonać, jaką to niby wielką zazdrość budził w salonach fakt, że właśnie jemu udało się pojąć za żonę pannę von Schlorndorf. Później te oracje zaczęły go już nudzić, a teraz po prostu dyskretnie wycofywał się z pokoju.

Tak więc Lisa była zdana całkowicie na łaskę, bądź niełaskę swojej ciotki. Miała wprawdzie drugą ciotkę, która była na tyle energiczna, żeby pani Herminie w sposób jasny i dobitny wyłożyć własny punkt widzenia, jednak pani Rahnsdorf poważnie pokłóciła się ze swoją szwagierką i kontakty między nimi były zerwane.

Anna Rahnsdorf była od wielu lat wdową i ponieważ także nie miała

własnych dzieci, chętnie widziałaby Lisę u siebie. Hermina potrafiła jednak udaremnić jej plany, więc pani Rahnsdorf przyjmowała Lisę w swoim domu także dlatego, żeby zrobić na złość swojej szwagierce, której serdecznie nienawidziła. Wprawdzie Hermina musiała zgodzić się na to, by Anna Rahnsdorf również otrzymała zaproszenie na ślub Lisy, jednak ta nie przyjęła go.

Lisa ciągle jeszcze przeglądała się w lustrze, gdy przyniesiono jej list. Z wypiekami na policzkach spojrzała na adresata: *Szanowna Pani Elisabeth Hechingen*. Jak dziwnie obce, a jednocześnie znajome wydało się jej własne nazwisko.

—Od kogo jest ten list, Liso? — zapytała niecierpliwie konsulowa. — Musisz się pospieszyć, jeśli chcesz go teraz przeczytać.

Lisa otworzyła list i spojrzała na podpis.

—Od cioci Anny — powiedziała zdumiona.

Hermina skrzywiła się, a w jej zimnych oczach pojawił się złowrogi błysk. Mimowolnie wyciągnęła rękę, by odebrać Lisie pismo. W tej samej chwili została jednak wezwana do załatwienia jakiejś ważnej, domowej sprawy. Nie odrywając wzroku od listu w dłoni Lisy, powoli opuściła pokój. Dziewczyna przeczytała pobieżnie wiadomość od ciotki Anny. Po chwili złożyła list i wsunęła go do małej skórzanej torebki. Postanowiła przeczytać go uważnie później, może w czasie podróży. Treść listu bardzo ją zaciekała. Teraz nie miała możliwości zająć się tym bliżej, konsulowa mogła w każdej chwili wrócić. Pod żadnym pozorem ciotka Hermina nie powinna tego czytać. List bynajmniej nie wychwalał jej zasług.

Konsulowa rzeczywiście niebawem wróciła.

— No więc, gdzie masz ten list, Liso? — zapytała prędko.

Dziewczyna spojrzała na nią z niepokojem.

— Już go odłożyłam, ciociu. Był przeznaczony tylko dla mnie.

— Tylko dla ciebie? A cóż to ma znaczyć? — spytała ostro konsulowa.

Lisa była wyraźnie speszona.

— To były życzenia z okazji mojego ślubu.

Ciotka Hermina przyglądała się jej nieufnie. Zanim jednak zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi, po czym z zewnątrz

dobiegł donośny, męski głos:

— Liso, czy jesteś już gotowa?

Promienny uśmiech pojawił się na twarzy panny młodej. Podbiegła do drzwi. W progu stał wysoki, szczupły mężczyzna. Oczy Lisy emanowały wewnętrzną radością, kiedy mu się przyglądała. Smukła, postawna figura, smagła cera, regularne, delikatne rysy twarzy i jasne, szare oczy komponowały się w przyjemną całość. Spokojne oczy Ronalda spotkały się z promieniującym szczęściem wzrokiem Lisy i na czole narzeczonego przez chwilę zagościły zmarszczki.

— To ty! — wykrzyknęła Lisa z taką radością w głosie, że oblicze Ronalda musiało się rozpogodzić.

Ujął delikatną dłoń Lisy, by ją za chwilę po rycersku ucałować. Potem uśmiechnął się do swej przyszłej małżonki tak naturalnie, że nie wyczuła nawet, jak bardzo się do tego zmuszał.

— Już czas, Liso. Musimy wychodzić. — Powiedział spokojnie.

Pokłonił się konsulowej, po czym wziął Lisę pod rękę i pospiesznie wyprowadził na dziedziniec. Pani Limbach wydała jeszcze ostatnie instrukcje służącej, żeby przyniosła do hotelu Feurstenhof kostium podróży Lisy o godzinie szóstej i pomogła panience w przebraniu się.

Uroczystość weselna młodej pary została przygotowana w największym i najbardziej ekskluzywnym hotelu, ponieważ rozesłano taką ilość zaproszeń, że w pałacyku Limbachów z pewnością zabrakłoby pokojów dla gości. Poza tym pani Hermina nie przepadała za tak wielkimi przyjęciami w swoim domu. Toteż była rada, że goście przyjezdni będą rezydować w pokojach hotelowych.

Nieco rozdrażniona faktem, że nie dane jej było przeczytać listu szwagierki, pojechała ze swym mężem do kościoła św. Piotra, gdzie miał się odbyć ślub jej wychowanki.

TLR

II

Goście weselni siedzieli w dobrych nastrojach przy rozłożystym, odświętnie przystrojonym stole w wielkiej sali reprezentacyjnej hotelu Fuer-

stenhof. Już poprzedniego wieczora sympatyczni uczestnicy uroczystości zawarli ze sobą znajomość, a pod działaniem wina pozbyli się oficjalnej sztywności.

Niedaleko pary nowożeńców zasiadły matka i siostra RONALDA. Wdowa po panu Hechingen z wyraźną satysfakcją patrzyła na swego okazale prezentującego się dzisiaj syna. Jego związek z bogatą spadkobierczynią fortuny Limbachów rozwiązał problem, który ciążył jej od dawna.

Lotta Hechingen, siostra RONALDA, piękna, zgrabna blondynka, spoglądała od czasu do czasu na zamyśloną twarz swego brata. Od dzieciństwa była jego powiernicą i dobrze wiedziała, że RONALD wiązał się z Lisą z ciężkim sercem.

Obok Lotty siedział Kurt Mallwitz, najlepszy i najbardziej zaufany przyjaciel pana młodego. Prowadził właśnie ożywioną rozmowę ze swą uroczą sąsiadką. Z upodobaniem wpatrywał się przy tym w śliczne oblicze Lotty. Rozmawiali o wspaniałych, minionych czasach, które wspólnie przeżyli. Kurt Mallwitz, jeszcze jako uczeń, towarzyszył niekiedy swemu przyjacielowi RONALDOWI w jego wyjazdach do domu, do Hechingen. Już wówczas dla rodziny Hechingen nastąpiły trudne czasy, chociaż ojciec RONALDA ciągle jeszcze miał nadzieję, że uda mu się utrzymać rodowe dobra. Młódzież jednak nie przejmowała się zagrożeniami, które miały nadejść w przyszłości. W czasie ferii było zawsze cudownie. Jeszcze teraz wspominali to ciepło.

Lotta i Kurt rozmawiali żywo i wesoło, a ton ich pogawędki tylko z rzadka stawał się poważny i rzeczowy. Patrzyli sobie przez kilka chwil głęboko w oczy, niepomiernie tego, co działo się wokół nich. Zaraz jednak ponownie wracali do swobodnej rozmowy, przekomarzając się przy tym do woli. Oboje świetnie wiedzieli, że za tą nic nie znaczącą, figlarną paplaniną kryło się coś bardzo dla nich ważnego, ale byli pewni, że nie powinni tego wypowiadać na głos i że nigdy nie będą należeć do siebie, gdyż są za mało majątni.

Mallwitz otrzymywał od kuzyna swojej matki, Brachwitza, skromną rentę. Jego owdowiała matka była zatrudniona u tegoż kuzyna jako zarządczym domu. Brachwitz nie miał własnych dzieci. Jego jedyny syn zmarł przed laty w wyniku obrażeń, jakich doznał w wypadku podczas prze-

jażdżki konnej. Ból po stracie dziecka był przyczyną śmierci matki.

Lotta Hechingen i Kurt Mallwitz kochali się, choć nie mieli nadziei na spełnienie swej miłości. Byli jednak dzielni i rozsądni, i wiedzieli, że nie mogą oczekiwać od losu rzeczy nierealnych.

Lotta Hechingen była też zanadto pochłonięta losem brata, żeby myśleć o sobie. Była rada, że do ich rodziny wchodziła ta subtelna, cicha Lisa, o ciepłym i tkliwym sercu. Zarazem jednak obawiała się, że jej brat nie będzie z nią szczęśliwy, jego serce bowiem należało do innej. Ronald kochał Lili Sanders, przyjaciółkę Lisy z pensji.

Lili, córka skromnego urzędnika, była przepiękną, pełną szczególnego powabu dziewczyną. Można było też podziwiać jej błyskotliwość i temperament. Nawet jeśli nie była tak dobra i wielkoduszna jak Lisa, to jednak dzięki swym cechom zewnętrznym spychała w cień skromną narzeczoną Ronalda. Z pewnością nieprędko zapomni on o Lili Sanders, nawet jeśli jest zbyt honorowy, by dopuszczać do głosu swe głęboko skrywane namiętności.

Poza Lottą tylko Kurt Mallwitz wiedział, jak zawile układały się sprawy sercowe Ronalda.

Lotta westchnęła cicho. Kurt obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

— Co pani jest, panno Lotto?

— Ach, wie pan przecież, jak bardzo martwię się o Ronalda. Proszę mu się tylko przyjrzeć! Czy nie wygląda blado?

— Pani w swej trosce widzi pewnie więcej niż ja. Niewątpliwie wygląda trochę poważniej niż zazwyczaj. Ale też trudno się temu dziwić, biorąc pod uwagę, na jak ważny krok dzisiaj się decyduje — próbował pocieszyć ją Kurt.

Potrząsnęła głową.

— Nie, nie, ze mną może pan mówić zupełnie otwarcie, panie Mallwitz. Oboje dobrze wiemy, jak się sprawy mają.

— Tak, ale niestety nie możemy mu pomóc. Proszę nie robić tak zatroskanej miny, kochana Lotto. Jutro wieczorem znowu muszę wyjechać i

chciałbym zabrać w drogę obraz pani roześmianej twarzy. Kiedy wieczorami siedzę u siebie, myślę o pani wesołym szczebiotaniu i wyobrażam sobie, że znów jestem tamtym uczniakiem, który odwiedza Hechingen.

Lotta przytakiwała mu rozmarzona.

— Stare dobre Hechingen! Jak ja czasem do niego tęsknię!

— A teraz w tamtych pokojach o niepowtarzalnym klimacie, zamieszkują obcy ludzie. Nawet nie chcę o tym myśleć. I ta wspaniała, wielka łąka, rozpościerająca się za parkiem! Jakże cudownie się tam bawiliśmy! Na przykład w księżniczkę i rozbójników. Teraz ma tam stanąć olbrzymia fabryka konserw. Nowy właściciel spożytkuje niewątpliwie wszystkie owoce i warzywa.

— Tak — odparła Lotta z westchnieniem — ma zamiar na tym zarobić.

— Powiedziała to pani niemal z namaszczaniem, jakby pieniądze miały w sobie coś romantycznego czy poetyckiego — stwierdził Kurt zaczepnie.

Lotta przytaknęła gorliwie.

— Bo w tych kochanych pieniądzech jest też coś romantycznego. Są one taką czarodziejską różdżką, przy pomocy której można sobie wyczarować tyle dobrych i pięknych rzeczy. Tak przynajmniej wyobrażają to sobie ludzie, którzy nie znaleźli się w posiadaniu owej czarodziejskiej różdżki.

— A co by pani sobie wyczarowała, gdyby ta cudowna różdżka znalazła się w tej pięknej dłoni? — zapytał Kurt z uśmiechem.

Lotta wyglądała wyjątkowo zabawnie, gdy tak poważnie zastanawiała się nad swymi życzeniami.

— Potężny zamek nad jeziorem — powiedziała po chwili, delikatnie się uśmiechając.

— A razem z zamkiem pewnie księcia?

— Och, gdybym była panią takiego zamku, na pewno zaraz zjawiłby się tam jakiś książę.

Kurt spojrzał na Lottę i poczuł, że w jego oczach niebawem pojawią się łzy.

— Myślę, że przyszedłby nawet wtedy, gdyby siła różdżki wystarczyła tylko do wyczarowania małej, solidnej chaty. Nie mam racji, kochana Lotto?

Odwzajemniła jego czułe spojrzenie.

— Tak, jestem tego pewna — rzekła i zmuszając się do wesołości mówiła dalej. — Ale przecież mieliśmy się bawić, a takie smętne gdybanie to nic zabawnego. A więc jutro wieczorem pana urlop już się kończy, czy tak?

— Niestety, tak.

— Więc jutro już chyba pana tu nie zobaczymy?

— Nie, nie. Przyjadę, żeby się pożegnać z panią i pani szanowną matką.

Goście zaczęli już odchodzić od stołu. W ogólnym zamieszaniu, które w tym momencie powstało, do młodej pary podeszła pani konsulowa.

— Na ciebie już czas, moja droga. Powinnaś się teraz niepostrzeżenie wymknąć. Musisz się szybko przebrać.

Lisa, lekko zaczerwieniona, spojrzała na swego małżonka. Jej czułe, nieco wylęknione spojrzenie musnęło jego poważne oblicze. Karol popatrzył na nią z powagą.

— A więc idź, Liso. Za godzinę będę czekał na ciebie w westybulu. Mam nadzieję, że tyle czasu powinno ci wystarczyć.

Lisa skinęła głową i ścisnęła jego dłoń. Potem szybko pożegnała się z ciotką, przesłała przez nią pozdrowienia dla wuja Karola, którego pośród tłumu gości nie mogła dostrzec i na koniec opuściła gwarną salę.

Konsulowa zamieniła jeszcze kilka słów z Ronaldem. Na swój sposób zawsze zabiegała o dobro Lisy i wierzyła, że poprzez to małżeństwo zapewni swej siostrzenicy szczęście. Panna młoda nawet nie przeczuwała, jak bardzo jej szczęście leżało na sercu pani Limbach.

Kiedy tylko Ronald Hechingen po raz pierwszy pojawił się w ich domu, konsulowa poczuła sympatię do tego przystojnego i eleganckiego mężczyzny, którego poważny sposób bycia wydał jej się bardzo ujmujący. Miała nadzieję, że ten młody człowiek będzie zabiegał o rękę jej wychowanki. Wyobrażała sobie, że zgadza się skwapliwie na jego propozycję małżeństwa i była w siódmym niebie, dzieląc szczęście Lisy. I jej marzenie się spełniło. Po krótkim okresie narzeczeństwa Lisa została jego żoną. Była przy tym trochę zdziwiona, jak szybko ten czas minął.

Z sercem łomoczącym ze szczęścia Lisa wbiegła na hotelowe schody. U

góry czekała już Minna, służąca, która miała jej pomóc się przebrać. Zaprowadziła Lisę do pokoju na pierwszym piętrze, który był oddany do dyspozycji panny młodej. Jej toaleta podróżna była już rozłożona. Lisa poddawała się biernie zabiegom służącej, czując, że nadmiar wrażeń przyprawił ją o lekkie zawroty głowy. Ale niebawem znowu miała zobaczyć się ze swym ukochanym Ronaldem.

Nie minęło nawet piętnaście minut, a już Lisa miała na sobie nową suknię. Założyła kapelusz i rękawiczki, po czym odesłała służącą. Gdy tylko została sama, opadła na fotel i oddała się błogim marzeniom. Nieruchomo wpatrywała się w sufit, jak gdyby był tam namalowany kolorowy obraz przedstawiający jej przyszłość.

TLR

III

Ronald Hechingen pożegnał się tymczasem z wujem Lisy. Karol Limbach był mężczyzną średniego wzrostu, nieco przy kości, o przyprószonych siwizną włosach. Jego dobroduszne oczy były wpatrzone w męża swojej bratanicy. Familiarnie poklepał go po ramieniu.

— Życzę wam więc szczęśliwej podróży, dzieci. Pozdrów ode mnie jeszcze raz serdecznie Lisę, mój synu i bądź dla niej dobry. To piskłę jest jeszcze trochę zalęknione i onieśmiałe, no ale wiesz przecież, jak moja żona się z nią obchodziła. Ale przy tobie szybko odżyje — powiedział pan Limbach po ojcowsku.

Ronald popatrzył na niego swymi mądrymi oczami.

— Uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby zapewnić Lisie szczęście.

— Wierzę ci, Ronaldzie. Jesteś szczerym i roztropnym młodym człowiekiem. Od samego początku miałem do ciebie zaufanie, chociaż nie uszło mojej uwagi, że moja żona starała się wyręczyć w tym względzie opatrzność. Lisa cię kocha, a więc na pewno będziesz miał z nią dobrze.

Wreszcie podali sobie w milczeniu ręce i Ronald skierował się na drugi koniec sali. Pośrodku drogi podszedł do niego Kurt Mallwitz.

— Czy ty także chcesz nas opuścić, Ronaldzie. Widziałem, jak wymykała się stąd twoja młoda żona.

— Mam jeszcze ponad pół godziny.

— Wyśmienicie! Wobec tego możemy trochę pogadać. Tymczasem zrobię tu miejsce na tańce. Chodź ze mną, poszukamy jakiegoś zacisznego kąta, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Nigdzie jednak nie znaleźli takiego miejsca. — Wiesz co, chodźmy na górę, do mojego pokoju! — zaproponował Mallwitz. — Tam będziemy mogli w spokoju wypalić fajkę na pożegnanie. Chyba nie musisz już wracać na salę? Czy też może nie zdążyłeś się jeszcze pożegnać ze swoją matką i siostrą?

— Właśnie przed chwilą to zrobiłem. Chodźmy!

Ramię w ramię udali się do pokoju Mallwitza. Gdy tylko znaleźli się na miejscu, Kurt podsunął Ronaldowi fotel.

— Siadaj, stary. Tam leżą papierosy i zapalniczka. Zapal sobie i powiedz, jak smakuje pierwszy małżeński papieros. No i co, Ronaldzie?

Hechingen opadł na fotel i spojrzał badawczo w oblicze swego przyjaciela.

— Dziękuję — odparł krótko.

Mallwitz odetchnął głęboko. Potem odezwał się poważnie:

— Wiesz co, nie wyglądasz dzisiaj na człowieka, który przeżywa jeden z najradośniejszych dni w życiu. Ronaldzie, weź się wreszcie w garść.

Ronald zaśmiał się sucho, przesuwając powoli dłonią po zmarszczonym czole.

— Bóg mi świadkiem, że robię wszystko, żeby się opanować. Wydaje ci się, że jest mi lekko na duszy? Do ołtarza nie poszedłem, jak wiesz, z podszepu serca, tylko z konieczności.

— Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Ale mimo to — masz szczęście. Twoja żona nie jest taka zła. Z twojego opisu miałem o niej znacznie gorsze wyobrażenie. Bez wdzięku, niezgrabna, nijaka, ubiera się bez gustu — czy nie tak mi ją przedstawiłeś? Mogę tylko powiedzieć, że na mnie zrobiła miłe wrażenie. W białej sukni ślubnej wyglądała czarująco. Z pewnością nie jest porywająco piękna, ale potrafi się bardzo wdzięcznie zaprezentować. Twoje opisy były mocno przesadzone. Najwyraźniej jej nie doceniasz.

— Dobry z ciebie przyjaciel, Kurt. Cenię sobie to, że próbujesz mnie pocieszyć. Nie mów jednak tak głośno, bo ktoś w sąsiednim pokoju mógłby cię usłyszeć.

— Bez obaw. Pokój z prawej strony jest nie zamieszkały, a po lewej jest moja sypialnia — tak więc nikt nie może nas usłyszeć.

— Tym lepiej. Wracając do mojej narzeczonej, a raczej już żony: na pewno nie jesteś bardziej zaskoczony jej wyglądem niż ja sam. Trzeba, jednak pamiętać, że suknia ślubna potrafi zakryć każdą brzydotę, a wianek ślubny każdą, nawet najbardziej szkaradną fryzurę. Gdybyś ją widział wcześniej! Ubiera się według wskazówek i poleceń swojej ciotki

to niewiarygodne! Ma na sobie najdroższe suknie z jedwabiu i z innych kosztownych materiałów, ale skrojone bez cienia gustu. A przy tym te ubiory leżą na niej tak, jakby je przed chwilą od kogoś pożyczyła.

— Pod twoim wpływem z całą pewnością się to zmieni. Nie będzie już przecież zależna od konsulowej. Tak między nami mówiąc: ta dostojna dama nie wydała mi się zbyt sympatyczna. No, ale nie możemy zapominać, że to właśnie ona wyratowała cię z tej trudnej sytuacji. Pomoc przyszła dosłownie w ostatnim momencie. Biedaku, bałem się już o ciebie. Teraz jednak możesz być chyba spokojny. Tej Lili Sanders nigdy nie mógłbyś poślubić. I szczerze mówiąc, osobiście nie życzyłbym ci tego. Jest wprawdzie czarującym stworzeniem, ale nie ma w niej ni krzty ludzkiej dobroci.

Ronald westchnął.

— Nie było szans na to, żebym ją poślubił. Jest tak biedna jak ja. Będę się usilnie starał o niej zapomnieć. Od momentu, kiedy Hechingen poszło pod młotek, było dla mnie jasne, że muszę przestać o niej myśleć. Co by to było! Moja matka i Lotta nie mogą przecież głodować! Tych parę groszy, które udało się uratować, ledwie wystarczają na bieżącej potrzeby. Po śmierci ojca musiałem więc zaciągnąć długi. Żałosne położenie.

— No, widzisz, teraz wydostałeś się gładko z kłopotów. Niech mnie licho! Twoja żona jest obstawiona sukcesjami aż z trzech stron. I ty jeszcze masz taką kwaśną minę! — mówił Mallwitz, strofując Hechingena przyjacielskim tonem.

— Daj już spokój i nie unoś się tak, Kurt. Mimo wszystko czuję się wyjątkowo kiepsko.

— Niebawem zapomnisz o tej twojej złotowłosej Lili i wszystko będzie dobrze.

Ronald gładził zapamiętałe swoje włosy.

— Nie myślę wcale o Liii. To i tak musiało zostać przerwane. Draży mnie myśl, że stałem się towarem, że sam się sprzedałem. Ach, te przekłete pieniądze! Z przyzwoitego człowieka potrafią zrobić błazna albo łotra.

Mallwitzowi przypomniało się powiedzenie Lotty: „Pieniądze to czarodziejska różdżka”. Jego oczy przybrały bolesny wyraz. Szybko jednk po-

zbył się tej myśli i starał się podtrzymać na duchu swego przyjaciela.

— Tylko spokojnie, stary, nie irytuj się tak. Tego typu małżeństwa są zawierane masowo. O ile cię znam, to wobec swojej żony będziesz postępował przyzwoicie i będziesz dla niej dobrym mężem.

Ronald skoczył na równe nogi, stając obok Mallwitza.

— Przyzwoicie? No, cóż, oczywiście nie mogę mścić się na niej za to, że jej nie kocham. Biedactwo! Ale ona kocha mnie! I to jest jedyny błąd w całej tej mojej zimnej kalkulacji. W jej oczach, kiedy tylko na mnie spogląda, jest tyle bezgranicznego oddania i ciepła, tyle ufności. Jej spojrzenia dręczą mnie niewymownie, bo przypominają mi wciąż, jak wielki dług wobec niej zaciągnąłem. Gdybyż i ona kierowała się tylko rozsądkiem, podejmując decyzję o tym małżeństwie! Tak to zresztą wcześniej odebrałem, gdy ciotka Limbach zaczęła dawać mi do zrozumienia, że mają wobec mnie poważne zamiary. Później jednak zachowanie się Lizy przekonało mnie, że ona mnie naprawdę kocha. Przy protekcji konsulowej wszystko szło już potem jak po sznurku. Moja matka też była szczęśliwa, że zdecydowałem się na ten związek. Gdybym wcześniej wiedział, jak bardzo kocha mnie ta delikatna, nieśmiała istota, to może, choćby w ostatniej chwili, poszedłbym po rozum do głowy.

— Zupełnie cię nie rozumiem, Ronaldzie. Koniec końców powinno cię to cieszyć.

Ronald roześmiał się.

— Cieszyć? Nawet nie jesteś w stanie pojąć, jak nikczemnie się czuję, kiedy muszę udawać radość, odgrywać ciągle tę samą komedię, by nie sprawić jej przykrości! To wstrętne! Cięży mi to jak okowy u stóp. O ileż prościej byłoby, gdyby i ona wychodziła za mnie z czystego wyrachowania! Wówczas zawarlibyśmy układ i nasze stosunki miałyby charakter partnerski, ale tak?! Grać zakochanego, kłamać, udawać i przy tym wszystkim patrzeć prosto w te niewinne, dziecięce oczy — tak jakby patrzeć w oblicze Boga! To upokarza mnie przed samym sobą — i tego właśnie nie mogę znieść!

— Bierzesz to wszystko zbyt tragicznie, Ronaldzie. Bądź rozsądny! Twoja żona cię kocha i jest szczęśliwa, że może należeć do ciebie. W

większości wypadków szczęście jest iluzją. Naprawdę w tej sytuacji nie powinieneś czuć się winny.

— Mówisz to w dobrej wierze, Kurt, doceniam to. Jestem jednak pewny, że ty na moim miejscu czułbyś się tak samo. Wiedz, że kiedy trzymam Lisę w ramionach i czuję, jak rytm jej serca miesza się z biciem mojego, wtedy czuję się jak potwór. W dzieciństwie schwytałem kiedyś rudzika. Czułem w dłoni, jak szybko biło serce przerażonego ptaka. Porażało mnie niemal jak prąd. Strach tego stworzenia udzielił się i mnie. Mimo to nie wypuściłem go. Przeciwnie: tym baczniej pilnowałem, żeby nie uciekł z klatki. Był dla mnie wówczas najcenniejszą moją zabawką. Kilka dni później znalazłem go martwego. Dlatego, że nie zwróciłem mu wolności. Biorąc w ramiona Lisę, ciągle myślę o tamtym rudziku. Czuję się tak nikczemnie, jak wtedy, gdy mój więzień skonał. Nie jest to przyjemne, możesz mi wierzyć.

— Kiedy wprawiasz się w taki nastrój, tylko utrudniasz sobie właściwy ogląd sytuacji.

Ronald westchnął i wyciągnął ramiona ku górze.

— Boże drogi, uwolnij mnie! Gdybym tylko mógł swobodnie decydować! Wówczas wszystko to, co wydarzyło się przez kilka ostatnich tygodni, w ogóle nie miałoby miejsca — zawołał z udręką.

— Opanuj się, Ronaldzie! Teraz musisz sobie jakoś radzić. Musisz trzymać się dzielnie. Wyrzuty nic tu nie pomogą. Chyba już czas, żebyś poszedł się przebrać.

Ronald przesunął dłonią po swych pobladłych ustach.

— Masz rację. Wyrzuty nic tu nie pomogą — powiedział z goryczą.

W tym momencie usłyszeli stłumione trzaśnięcie drzwiami.

— Cicho! Ktoś wszedł do sąsiedniego pokoju — ostrzegł Mallwitz.

— Powiedziałeś przecież, że tamten pokój jest nie zamieszkały.

— Może to pokojówka. W każdym razie nie mów już tak głośno.

— I tak nie ma tu już nic więcej do powiedzenia.

Mallwitz chwycił Hechingena za ramię.

— Strasznie mi przykro, że widzę cię tak zdesperowanego. Mam jednak

nadzieję, że szybko pogodzisz się ze swoim losem. Twoja młoda żona jest bardzo miła i nie jest ani brzydka, ani głupia, ani kapryśna. Ma szlachetną duszę i dobre serce. Może wcale nie będziesz potrzebował się zmuszać, żeby ją pokochać. No, ale teraz naprawdę musisz się pospieszyć.

Ronald wyciągnął do niego rękę i spróbował wykrzywić twarz w uśmiechu.

Nie bierz mi tego za złe, że tak cię zamęczałem moimi narzekaniami. Musiałem jednak rzucić ten kamień z serca, choćby na chwilę. A komuż innemu mogłem się zwierzyć? Lotta już i tak wystarczająco o mnie się martwi, a matka — ona jest taka szczęśliwa, że nie musiałem wyjeżdżać do Ameryki. Przed nią musisz zachować tajemnicę. I nie mówmy więcej o rzeczach smutnych. Powodzenia!

— Do widzenia, stary! Pozdrów żonę!

Pożegnali się krótkim uściskiem dłoni. Ronald poszedł do siebie, a Kurt dołączył do rozbawionego towarzystwa. W sali rozbrzmiewała już muzyka, zapraszając gości do tańca. Lotta wyszła Mallwitzowi naprzeciw.

— Rozmawiałeś właśnie z Ronaldem, czyż nie?

— Tak, panno Lotto.

— Czy był bardzo przygnębiony? — zapytała z niepokojem.

Kurt uśmiechnął się do niej łagodnie.

— Nie, spokojnie wypaliliśmy papierosa. Nie powinna więc pani mieć tak zatroskanej miny. Bawmy się i cieszymy tym radosnym wydarzeniem! Delektujmy się każdą minutą spędzoną razem!

Lotta ujęła go pod rękę i poprowadziła do tańca.

IV

Ronald przebrał się pospiesznie i był w westybulu wcześniej niż to było konieczne. Przed budynek zajechał właśnie powóz, który miał zawieźć młodą parę na dworzec. Kiedy portier zauważył pana młodego, podszedł do niego z lekkim ukłonem i oświadczył, że panna młoda przed chwilą wyjechała. Ponoć zapomniała zabrać czegoś z domu i musiała wrócić. Prosi przy tym, by Ronald zechciał skorzystać z oczekującego na nich powozu. Oczekuje go w pałacu Limbachów.

Ronald popatrzył ze zdziwieniem na portiera. Pomysł Lisy, by samej stąd wyjechać, wydał mu się dziwny.

— Dlaczego żona na mnie nie zaczekała? — zapytał nie rozumiejąc jej intencji.

— Chciałem posłać kogoś do pana, żeby przekazał panu zaraz tę wiadomość, ale pańska małżonka była zdania, że pan pewnie jeszcze nie jest gotowy, a ona z kolei nie może czekać, gdyż spóźniłaby się na pociąg. Dlatego też pojechała sama.

Ronald podziękował portierowi skinieniem głowy i wszedł do powozu. Poleciał zawieźć się do pałacu Limbachów.

Portier odprowadził powóz wzrokiem, a potem spojrzął na zegarek.

Jeśli się nie pospieszą, to spóźnią się na pociąg — pomyślał lekko zafra-sowany.

Ronald siedział chmurny. Złościło go nieodpowiedzialne zachowanie Lisy. Zamiast posłać do domu umyślnego, który przywiózłby na dworzec to, o czym zapomniała, wróciła sama i jeszcze do tego poleciła mu zrobić to samo. Oczywiście nie zdążą już na pociąg. Że też kobiety nigdy nie potrafią wybrać się w porę! Liczył w myślach, ile im to zajmie. Biorąc pod uwagę odległość do domu konsulostwa, czasu było bardzo niewiele. Nerwowo przygryzał wargi, a zmarszczki na czole jeszcze się pogłębiły. Cóż za

śmieszna sytuacja! Właśnie podążał posłusznie w ślad za swoją małżonką, która pewnie z powodu jakiejś błahostki postanowiła urządzić sobie pozabawioną sensu przejażdżkę.

Wreszcie powóz zatrzymał się przed pałacem na ulicy Karola Tauchnitza. Ronald wysiadł pośpiesznie i zadzwonił do drzwi. Otworzył mu lokaj. Wszedł do środka.

— Proszę powiedzieć mojej żonie, że jej oczekuję. Powinna się pośpieszyć — powiedział jednym tchem.

— Łaskawa pani właśnie wyjechała. Na dworzec. Obawiała się, że może nie zdążyć na pociąg. Proszę, oto bilecik, który mam panu przekazać.

Ronald ledwie powstrzymał wybuch złości, która w nim wezbrała. Przecież to szczyt lekkomyślności z jej strony! Zamiast czekać tu na niego, znowu odjechała sama. Rozdrażniony wziął od portiera kopertę z biletem.

— Już dobrze. Proszę pozdrowić od nas jeszcze raz szanownych gospodarzy — powiedział Ronald, starając się uspokoić. — Na dworzec Bawarski! — rozkazał woźnicy, pośpiesznie wsiadając do powozu.

Dopiero kiedy pojazd ruszył spod pałacu, Ronald otworzył kopertę. Wyjął z niej niewielką karteczkę. W mlecznym świetle mijanych latarni, które skąpo oświetlało wnętrze powozu, odcyfrował tych kilka słów, skreślonych w pośpiechu przez Lisę. Był oszołomiony. To, co było tam napisane, było tak nieoczekiwane, że musiał przeczytać liścik drugi raz, by zrozumieć jego treść:

Uwalniam cię! W twoim własnym interesie leży uniknięcie skandalu. Jak tylko znajdziesz jakieś lokum, przyślę wiadomość. Uspokój ciocię i wujka.

Lisa.

Cóż takiego mogło się wydarzyć? Co miały znaczyć te słowa? Wyglądało to tak, jakby Lisa podjęła próbę ucieczki przed nim. I dlaczego: „uwalniam cię”? Te słowa kołatały się w jego głowie. Zaczęło budzić się w nim przygnębiające przeczucie. Bronił się jednak z całych sił, by nie przyjmować go do wiadomości. Na czole Ronalda perlily się wielkie krople potu. Przetarł je mechanicznym ruchem dłoni. Ponownie spojrzął na bilecik, ale

zapisane na nim ołówkiem słowa nie chciały ulecieć. „Uwalniam cię!” Czyż nie brzmiało to jak odpowiedź na jego gwałtowny wybuch podczas rozmowy z Mallwitzem? Nie, nie! To musi być jakaś pomyłka, którą można z pewnością wytłumaczyć w prostszy sposób. Lisa będzie czekała na niego na dworcu i wyjaśni mu zaistniałą sytuację. Schował liścik do kieszeni. Z trudem nad sobą panował.

Jakże wolno toczy się ten pojazd! Wlecze się jak żółw. Czy ulica Alberta nie ma końca? Minęli kościół, gdzie dzisiaj stał z Lisą przed ołtarzem, „...dopóki was śmierć nie rozdzieli”. A tymczasem na dworzec jechał samotnie.

Dzięki Bogu! Wreszcie zobaczył przed sobą świecący zegar dworcowy. W chwili, gdy dotarł na stację, opuścił go też strach, który paraliżował jego myśli od dobrych kilkunastu minut. Nagle zdał sobie sprawę, jak wielką radość sprawiłoby mu ujście swej drobnej, płochliwej żony, wpatrującej się w niego swymi wielkimi oczami, pełnymi miłości, czułości i ufności.

A jeśli jej już tu nie ma? Kolejny dreszcz przeszył Ronalda. Co będzie, jeśli się okaże, że słowa na bileciku nie są żadną pomyłką?

Wyskoczył z dorożki i pobiegł w kierunku peronu. Przy wejściu czekał na niego służący, który miał wyekspediować bagaże. Podał Ronaldowi bilety.

— Pociąg niestety właśnie odjechał — oświadczył.

— A moja żona?

Służący spojrzał na niego zdumiony.

— Łaskawej pani jeszcze tutaj nie było.

Tego dla Ronalda było już za wiele. Panował nad sobą z widocznym trudem.

— Proszę mnie posłuchać! — powiedział ochryple. — Moja małżonka wróciła do hotelu. Wiedzieliśmy już, że na dzisiejszy pociąg nie zdążymy, więc postanowiliśmy wyjechać jutro rano. Proszę mi dać te bilety i zanieść mój bagaż podręczny do przechowalni. Później możesz odejść. Ja muszę się jeszcze dowiedzieć o jutrzejszy pociąg.

Służący uklonił się z szacunkiem i poszedł wypełnić polecenie swego mocodawcy.

Pan wydaje mi się dzisiaj jakiś nieprzytomny. To z pewnością od nadmiaru radości z powodu wesela — pomyślał, nie przypuszczając nawet, jak odmienny był nastrój pana młodego.

Ronald stał jak zakłęty, dłuższą chwilę wpatrując się w plecy oddalającego się służącego. Potem skrył się za jedną z kolumn. Starał się uspokoić i spokojnie zastanowić nad tym, co zaszło. Cóż jeszcze miało się wydarzyć?

Raz jeszcze wyciągnął bilecik Lisy i uważnie go przeczytał. W którym momencie dokonał się u niej tak nagły zwrot uczuciowy? Co skłoniło ją do podjęcia takiego kroku? Bał się odpowiedzi na to drugie pytanie.

Pomyślał o słowach służącego i uchwycił się nowej nadziei. A może jednak rzeczywiście jeszcze tu nie dotarła. W każdym razie miał zamiar chwilę zaczekać.

Lisa jednak nie nadchodziła.

Po pewnym czasie i ta ostatnia nadzieja rozwiąła się. Przecież to niemożliwe, żeby udała się z powrotem do hotelu. Na pewno też nie czeka tam na niego żadna nowa wiadomość.

Ronald wyszedł z dworca i opadł na siedzenie jednej z dorożek. Polecił więc się do hotelu. Po drodze zastanawiał się nad tym, jak powinien teraz postąpić. „W twoim własnym interesie leży uniknięcie skandalu” — napisała w swym liściku. Nabierał coraz większej pewności, że Lisa uciekła przed nim. Po to, żeby uniknąć skandalu? Przynajmniej to do niego dotarło. Tak, przede wszystkim musi uniknąć skandalu. Nikt z gości weselnych nie może się dowiedzieć, że panna młoda wybrała się w podróż poślubną bez męża.

Starał się zachować jasność umysłu, jednak emocje co chwila dochodziły do głosu. Przez dłuższy czas nie mógł opanować zdenerwowania. Wreszcie zdecydował, że nie będzie układał żadnej taktyki postępowania i że będzie reagował stosownie do potrzeby chwili.

Kazał zatrzymać powóz, zanim jeszcze podjechali pod hotel i kilkadziesiąt ostatnich metrów przebył pieszo. Kiedy znalazł się w westybulu, wyszedł mu naprzeciw zmartwiony portier.

— Łaskawy pan nie zdążył na pociąg? — zapytał zatroskany.

Ronald szybko domyślił się, że Lisa nie wróciła, w przeciwnym razie portier już by mu o tym powiedział. Odciągnął więc go na bok i zniżając głos powiedział:

— Masz rację. Niestety zbyt późno dojechaliśmy na dworzec i w podróż ruszamy dopiero jutro. Nie chcielibyśmy jednak, żeby dowiedział się o tym ktoś z gości weselnych.

— Aha, rozumiem — oświadczył portier, uśmiechając się do Ronalda porozumiewawczo.

— Doskonale. Jeszcze tę noc spędzę przypuszczalnie w hotelu. Znajdzie się chyba dla mnie jakiś wolny pokój?

— Z całą pewnością. Może pan otrzymać ten sam pokój, w którym przebywał pan przez ostatnie dni. Stoi wolny.

— Świetnie. Zaraz idę na górę. Chciałbym jednak powiadomić jeszcze panią konsulową Limbach. Proszę zatroszczyć się o to, żeby kelner poprosił do mnie pana Mallwitza, ale tak, żeby nikt tego nie spostrzegł. Pan Mallwitz poinformuje potem panią konsulową o tym naszym małym niepowodzeniu.

Portier pospiesznie zapewnił, że wypełni polecenie zgodnie z jego wolą i nikt oprócz pana Mallwitza nie dowie się o tym, że młodej parze nie udało się dzisiaj wyjechać.

Wydawszy odpowiednie dyrektywy, Ronald udał się szybkim krokiem do swojego pokoju. Gdy tylko się w nim znalazł, zapalił światło i opadł na wygodny fotel. Patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Mallwitz został powiadomiony przez kelnera, że Karol Hechingen chce się z nim widzieć. Z niemałym zdumieniem zastosował się do tej prośby. Na szczęście następny taniec miał wolny, mógł więc niepostrzeżenie opuścić rozbawione towarzystwo.

Gdy wbiegł już po hotelowych schodach i przechodził obok swojego apartamentu, z sąsiedniego pokoju wyszła właśnie Minna, służąca konsulowej. Niosła przed sobą wielkie pudło. Mallwitz oniemiał.

— A cóż pani tam ma? — spytał, wskazując na karton.

— Suknię ślubną panny młodej, łaskawy panie. Niedawno przebrała się w tym pokoju, a potem jeszcze pół godziny wypoczywała.

Mallwitz zrobił niewyraźną minę.

— W tym pokoju? Niedawno?

— Tak, przed wyjazdem, łaskawy panie. A teraz chciałabym zabrać tę suknię do domu. Ma być dostarczona pani Hechingen po powrocie z podróży poślubnej.

Mallwitz przemknął szybko obok służącej.

Niech to diabli! — podsumował pod nosem.

Szybko udał się do pokoju RONALDA, znajdującego się na drugim końcu korytarza. Wciąż jeszcze wstrząśnięty swym odkryciem, wszedł do środka i jego oczom ukazała się siedząca nieruchomo postać.

— Co się stało, RONALDZIE? Co ty tu jeszcze robisz? No i gdzie jest twoja żona?

Ronald dopiero teraz rzucił swój kapelusz na stół.

— Pytasz mnie o coś, na co sam nie potrafię odpowiedzieć.

W pośpiechu opowiedział swemu przyjacielowi, co wydarzyło się od momentu, gdy się rozstali. Mallwitz słuchał tego z wyrazem przejęcia na twarzy. To, czego przed chwilą dowiedział się od Minny, wydało mu się jedynym wyjaśnieniem zagadkowego zniknięcia panny młodej. Poza tym właśnie przypomniało mu się, że przecież obaj wyraźnie słyszeli trzaśnięcie zamykanych drzwi w pokoju obok. Zastanawiał się przez moment, czy powinien powiedzieć RONALDOWI o swoich przypuszczeniach. Postanowił jednak poczekać z tym do czasu, aż skontaktują się z konsulową. Nie powinna się na razie dowiedzieć o tamtej rozmowie.

Na życzenie RONALDA poprosił ją na górę. Gdy zobaczyła przed sobą pannę młodą i usłyszała od niego, co się wydarzyło, z przerażenia omal nie zemdląca. Potrząsając głową przeczytała bilecik LISY do RONALDA. Oniemiała. Wpatrywała się w niego przez dłuższy czas, po czym opadła na fotel.

— Nic z tego nie rozumiem, RONALDZIE. Co to ma znaczyć?

— Nie wiem — odparł Hechingen z wahaniem.

— Czy mieliście jakąś sprzeczkę?

— Nie, od momentu, gdy LISA opuściła salę, już jej nie widziałem.

— Mój Boże, mój Boże! Co za skandal! LISA chyba postradła zmysły! I

co my teraz mamy robić? Gdzie ona się mogła podziać?

—Ja wiem dokładnie tyle, ile powiedziałem, ciociu Hermino —dodał Ronald bezbarwnym głosem.

Konsulową podniosła się energicznie, czując, że wraca jej zwykła stanowczość.

— Za wszelką cenę musimy zapobiec skandalowi, O, niewdzięczne stworzenie! Jak mogłaś mi coś takiego zrobić!

— Nie powinniśmy winić Lisy, zanim nie poznamy motywów, jakimi kierowała się, podejmując taką decyzję — Ronald wziął w obronę swą małżonkę.

— Jest pan niewiarygodnie łagodnym młodzieńcem. Proszę jednak mieć na uwadze to, że Lisa wystawiła na pośmiewisko zarówno nas, jak i pana.

— Mam na uwadze przede wszystkim to, jak strasznie ciężko musiało jej być na duszy, skoro zdecydowała się na taki krok. W każdym razie niewątpliwie trzeba uniknąć skandalu, przede wszystkim ze względu na Lisę. Gdybym tylko mógł teraz jasno myśleć! Cała ta sytuacja jest dla mnie tak wstrząsająca!

Mallwitz, który przysłuchiwał się tej rozmowie z boku, podszedł do Ronalda.

— Pozwól sobie pomóc!

Hechingen wyciągnął do niego rękę.

— Stary druhu, jeśli tylko poratujesz mnie jakąś radą, będę ci wdzięczny.

— Tak, panie Mallwitz, został pan już wtajemniczony w tę więcej niż krepującą sprawę. Proszę nam pomóc. Jak pan widzi, my nie jesteśmy w stanie zebrać myśli — poprosiła konsulowa, odsuwając na bok całą tę typową dla siebie egzaltację.

Mallwitz skłonił się przed nią lekko.

Przede wszystkim, łaskawa pani, radziłbym wrócić jak najprędzej do towarzystwa, żeby pani nieobecność nie stała się pretekstem do komentarzy. Myślę też, że chyba powinna pani dyskretnie powiedzieć o tym swojemu mężowi. Natomiast jeśli chodzi o matkę i siostrę Ronalda — najlepiej byłoby na razie zachować to przed nimi w tajemnicy. Nie są nam w stanie po-

móc, jedynie przysporzylibyśmy im zmartwień. Jak tylko sprawa się wyjaśni, natychmiast powiadomimy je o całym incydencie. Jedynym człowiekiem, który widział Ronalda wracającego ze stacji, jest portier. Należy go utrzymywać w przekonaniu, że panna młoda spędzi dzisiejszą noc w pałacyku Limbachów. Pani służba, łaskawa pani, powinna również myśleć, że para nowożeńców przebywa tu, w hotelu Fuerstenhof i że jutro rano udaje się w podróż poślubną. Ronald pozostanie w swoim pokoju do jutra, a rano przeniesie się na pewien czas do jakiegoś ustronnego hoteliku, gdzie nikt nie będzie go mógł rozpoznać. Będzie tam udawał człowieka w podróży i oczekiwał kartki od swojej żony. Co zaś się tyczy Lisy, to gdziekolwiek by się zatrzymała, będzie raczej unikała widoku znajomych — co zresztą dość jasno wynika z jej listu. Z pewnością też niebawem przyśle kolejną wiadomość o swoich dalszych zamiarach lub o miejscu swego pobytu. Wówczas będziemy mogli podjąć kolejne środki zaradcze.

Konsulowa z wdzięcznością podała Mallwitzowi rękę.

— Myślę, że tak będzie najlepiej, panie Mallwitz. Dziękujemy panu serdecznie za dobre rady, których z pewnością posłuchamy, prawda, Ronaldzie?

Ten patrzył nieruchomo przed siebie, deliberując nad czymś zawzięcie.

— Tak, bez wątpienia posłuchamy — odparł nerwowo.

— Tak więc ja teraz schodzę do gości.

— Jutro rano przyślę do pani Kurta, gdyby nadszedł jakiś list od Lisy.

Konsulowa skinęła głową. Przez chwilę milczała, by zaraz wybuchnąć:

— Przecież, na miłość boską, nie zrobiła chyba tego w przystępie zaburzeń umysłowych! Dla mnie jest to absolutnie niepojęte! Wyglądała na tak szczęśliwą!

Ronald przesunął dłonią po włosach, a potem oparł głowę na rękach. Wierzył jeszcze, że ucieczkę Lisy można wytłumaczyć w inny sposób. Wciąż bronił się przed swoim przypuszczeniem.

Mallwitz uspokajał konsulową. Był niemal pewny przebiegu wypadków od chwili owej rozmowy z Ronaldem. Konsulowa Limbach nie powinna

się o tym jednak na razie dowiedzieć. Może wszystko da się jeszcze naprawić.

—Nie powinna pani żywić takich obaw, łaskawa pani. Wiadomość pozostawiona przez Lisę jest, mimo swej lakoniczności, bardzo jasno sformułowana. Wydaje mi się, że przyjmuje pani całą tę sprawę zbyt dramatycznie. Ciągłe jest prawdopodobne, że uda się zakończyć ten incydent w sposób zadowalający obie strony. Może też istnieje zupełnie proste i naturalne jego wytłumaczenie. Tymczasem proszę jednak nie zwlekać i wrócić do gości. Ja omówię jeszcze z Ronaldem najpilniejsze kwestie.

Konsulowa pożegnała się głęboko wzdychając.

— Wierz mi, Ronaldzie, jestem równie niepokieszona jak ty. Tego postępuku nie wybaczę Lisie nigdy. Nigdy! — oświadczyła stanowczo i wyszła.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Hechingen patrzył jeszcze przez pewien czas w milczeniu przed siebie. W głowie miał zupełny zamęt. Widział w myślach Lisę, nieśmiałą, radośnie uśmiechniętą, patrzącą na niego rozpromienionymi oczyma. Obraz ten, który zawsze poruszał go do głębi, teraz sprawiał mu ból. Traktowała go przecież jak pana swego życia i śmierci, była taka ufna i tak mu oddana. Dlaczego zdecydowała się przed nim uciec? Czy to możliwe, że powodem było to, czego podświadomie najbardziej się obawiał?

Wstał i podszedł do Mallwitza. Patrząc mu prosto w oczy powiedział:

— Kurt, czy nie wydaje ci się, że jest to odpowiedź na moje słowa, które wypowiedziałem dzisiaj w twoim pokoju? Uwalnia mnie — moje życie się spełnia.

Mallwitz nie odpowiedział. Z troską wpatrywał się we wzburzone oblicze przyjaciela. Ronald chwycił go za ramię.

— Kurt, dręczy mnie ta przekłeta myśl. Czy jesteś pewien, że sąsiedni pokój był pusty? A jeżeli nie był, to kto go mógł zajmować?

Mallwitz odwzajemnił gest Hechingena.

— Sam do tego doszedłeś, Ronaldzie. Twoje przypuszczenia niestety się potwierdzają. Idąc do ciebie widziałem służącą konsulowej, wychodzącą ze ślubną suknią twojej żony z tego właśnie pokoju. Powiedziała

mi, że Lisa tam się przebierała, a potem jeszcze przez jakiś czas wypo-
czywała samotnie.

Ronald zadrzał na te słowa i osunął się na fotel.

— A więc wszystko słyszała! Biedaczka! Chyba się zastrzele! Za co ja
tak strasznie ukarałem to biedne dziecko! Jakże ona musi się teraz czuć!

— To był nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Skąd moglibyśmy wie-
dzieć, że ona siedzi w sąsiednim pokoju? Było tam przecież tak cicho. Mu-
siała siedzieć w bezruchu.

Ronald uderzył się w czoło.

— I pomyśleć, że błąka się teraz gdzieś po świecie ze swoją zgryzotą!
Jakże musiało ją to zabołec. To jak uderzenie w twarz. A ja nie mogę jej
nawet pocieszyć. Ja chyba zwariuję!

Mallwitz położył mu swą dłoń na ramieniu.

— Nie przejmuj się tak, stary! Może to zajście zbliży was do siebie i mo-
że wyjdzie wam w sumie na dobre.

— Daj spokój, mnie nie musisz pocieszać. Chodzi mi jedynie o nią. Gdy-
bym tylko wiedział, gdzie szukać tego biednego stworzenia! Boże, cóż to
za przygnębiające uczucie! Spada na mnie wina za nieszczęście człowieka,
który ufnie złożył swój los w moje ręce. Dlaczego nie potrafiłem utrzymać
na wodzy swojego języka! Czy koniecznie musiałem zaraz wypaplać
wszystko, co mi leżało na sercu? Jak stara baba!

— Tego typu wyrzuty do niczego nie prowadzą, Ronaldzie. Mnie rów-
nież jest niezmiernie przykro, że mimowolnie w pewnym stopniu przyczy-
niłem się do tego, co zaszło. Gdybym cię nie zawiódł do mojego pokoju,
który wydał mi się bezpiecznym miejscem do szczerych rozmów, to może
twoje słowa nigdy nie zostałyby wypowiedziane i twoja żona nie miałaby
powodu uciekać. Ale, jak powiedziałem, wyrzuty nie odwrócą biegu wy-
padków. Lisa, gdy tylko się uspokoi, z pewnością zachowa się rozsądnie.
Uciekła przecież idąc za pierwszym podszeptem serca, na wieść, że ty jej
nie kochasz. Nie zdążyła się więc dobrze zastanowić nad tym, co robi.
Trzeba ją zrozumieć. Kobiety są bardziej uczuciowe niż my, mężczyźni.
Ale potem uda ci się ją jakoś udobruchać. Gdybyśmy tylko wiedzieli, w
którym kierunku się udała.

Ronald nie słuchał zbyt uważnie tego, co mówił Kurt. Ciągłe miał przed oczami zrozpaczoną twarz Lisy. Wiedział doskonale, jak bardzo go kochała, jak mocno musiały ją dotknąć i upokorzyć jego słowa.

— Musimy teraz zastanowić się, co ją może spotkać. Wyjechała w porwie ambicji, nie znając celu. Nie wiemy nawet, czy ma przy sobie dość pieniędzy.

— Już ona sobie jakoś poradzi — starał się łagodzić sytuację Mallwitz. — W końcu nie jest małym, bezradnym dzieckiem. Poza tym, im mniej pieniędzy ma przy sobie, tym prędzej będzie zmuszona przysłać jakąś wiadomość.

— Czy nie powinienem jeszcze raz spróbować jej odszukać?

— To nie ma sensu. Gdzie mógłbyś jej szukać dzisiejszego wieczora? Ona nie pozwoli się na razie odnaleźć i to jest dla mnie zrozumiałe. Po tak wielkim rozczarowaniu będzie chciała pobyc przez jakiś czas sama.

— Mam więc tu siedzieć beczynnie z tymi wszystkimi dręczącymi mnie myślami?

— Najlepiej położyć się spać.

Ronald potrząsnął stanowczo głową.

— Nie chce mi się spać.

— To przynajmniej trochę odpocznij. Kto wie, co cię jutro czeka. Chętnie ci potowarzyszę, ale na razie muszę zejść do gości. Twojej siostrze wydałoby się podejrzane, gdybym opuścił ją na zbyt długo.

— Idź, Kurt, sam muszę się uporać z tym wszystkim. Gdybym tylko mógł mieć pewność, że z rozpaczy nic sobie nie zrobiła.

— Nonsens! Wybierz sobie z głowy takie myśli. Gdyby zamierzała coś takiego zrobić, to czy nie pojechałaby najpierw do domu? Pisze ci zresztą, że odezwie się, kiedy tylko znajdzie jakieś lokum. Najlepiej będzie, jak się położysz. Jutro rano wrócimy do naszej rozmowy.

Uścisnęli sobie ręce, po czym Mallwitz udał się na salę.

Po wyjściu przyjaciela Ronald położył się na kanapie i utkwiał wzrok w sufit. Jego serce dygotało z obawy o los Lisy. To przez niego była teraz sama i opuszczona, skazana na udękę. Męczyło go to, że nie może pospieszyć jej z pomocą. Zapomniał już o swym własnym dążeniu do wolności,

zapomniał o bólu, jaki jeszcze niedawno sprawiała mu sama myśl o związku małżeńskim z Lisą. Widział przed sobą jej zdesperowaną, udręczoną twarz. Oczy, w których było zawsze tyle miłości i oddania, patrzyły teraz na niego z niewysłowionym wyrzutem. „Dlaczego mi to zrobiłeś?” — zdawały się pytać.

— Biedna, mała Lisa, biedne, małe dziecko! Gdybym tylko mógł być w tej chwili przy tobie! — pomyślał Ronald na głos.

Jej miłość do niego wkrótce pewnie przeminie i zamieni się w coś wręcz przeciwnego. Poczuł, że ta myśl sprawiała mu ból. Zrozumiał, że przez własną lekkomyślność prawdopodobnie utracił coś drogocennego. Żadna z jego myśli nie była poświęcona Lili Sanders, której straty jeszcze tak niedawno jego serce i umysł nie chciały przyjąć do wiadomości. Dotąd niemal pielęgnował swoje cierpienie. Teraz wszystko to było nieważne i wydawało się nie istnieć. Umysł Ronalda był obecnie zaprzątnięty tylko jednym: lękiem o los swojej żony.

Swojej żony!

Z dołu, z sali balowej, dochodziły łagodne dźwięki walca. Na dole bawiono się na jego weselu. Oni wszyscy, tam na dole, byli przekonani, że państwo Hechingenowie są właśnie w drodze na wyspy szczęśliwości. Cóż za straszna ironia! Jego młoda żona błąka się teraz gdzieś samotnie z rozdartym sercem, a on leży tu zrozpaczony, gotów zrobić wszystko, by znów znaleźć się przy niej.

V

Lisa istotnie słyszała każde słowo z rozmowy swego męża z Kurtem Mallwitzem.

Najpierw, gdy tylko rozpoznała RONALDA po głosie, zaczerwieniła się z emocji. Cichutko, z wyrazem błogości na twarzy siedziała wygodnie w fotelu, starając się nie poruszać, żeby nie zdradzić swojej obecności. Nagle wyprostowała się, z przerażeniem wpatrując się w szafkę, którą zastawiono drzwi do sąsiedniego pokoju. Siedziała tuż koło nich i z nieubłaganą dokładnością mogła usłyszeć każde słowo.

Z minuty na minutę była coraz bardziej przybita. Chciała krzyknąć, bronić się przed bezlitosnym potokiem słów, który przedostawał się do jej pokoju. Jak zaklęta siedziała jednak w fotelu, pobladła na twarzy uosabiając największe cierpienie i najcięższe upokorzenie.

Ach, jak wielkie męki przyniosła jej ta godzina. Cóż za obłuda, cói za fałsz! Ledwie kwadrans — ten spędzony w bólu i nerwach w apartamencie ekskluzywnego hotelu — wystarczył, by poczuła, iż całe jej życie zostało pozbawione treści. W jej sercu szalała niszcząca burza która wyrывała z korzeniami wszystko co piękne i wyniosłe, a pozostawiła po sobie ruiny i zgliszcza: wstyd, poniżenie, desperację.

Zbyt nagle bezkresne szczęście zamieniło się w bezdenną rozpacz Zaciśnęła zęby, przerażona i wstrząśnięta.

I wtedy usłyszała RONALDA wołającego rozpaczliwym głosem: Boże drogi, uwolnij mnie!

Lisa podniosła się cicho, blada jak kreda, dygocząc na całym ciele jak chora na febrę. To, co nieopatrznie usłyszała, było dla niej niepojęte.

Człowiek, którego kochała do szaleństwa i w którego odwzajemnioną miłość wierzyła, traktując ją jak dar niebios, ten, który przed kilkoma zaledwie godzinami został jej mężem, ślubując jej przed ołtarzem dozgonną miłość i wierność, ten człowiek traktował jej uczucie jak okowy u swych stóp

i prosił Boga o przywrócenie mu wolności.

Drżącą ręką założyła kapelusz. Bezradne spojrzenie jej oczu wyrażało jednocześnie strach przed koniecznością rychłego spotkania z tym człowiekiem twarzą w twarz. Przebywanie z nim sam na sam, znoszenie jego udawanych pieszczot i słuchanie obłudnych wyznań ze świadomością, że jego serce należy do innej kobiety... Nie, nie mogłaby — to przekraczało jej siły! Uciec, uciec stąd jak najszybciej! Dokądkolwiek, w jakieś zaciszne miejsce, gdzie mogłaby się schować i w samotności przeżywać swoją rozpacz — musiała uciec tam, gdzie nikt nie dowie się o jej hańbie.

Chwiejąc się na nogach, zarzuciła płaszcz, chwyciła podróżny kuferek i rękawiczki, po czym wybiegła z pokoju, myśląc tylko o jednym: „Nie mogę go spotkać!”

Na dole, w westybulu, podszedł do niej portier. Podświadomie czuła, że musi przedstawić mu jakieś wiarygodne wytłumaczenie swego przedwczesnego wyjazdu. Wybełkotała coś, co akurat przyszło jej do głowy i przemknęła obok niego. Przed hotelem zatrzymała się właśnie dorożka, która przywiozła nowego gościa. Portier pomógł jej wsiąść, a potem zgodnie z jej wyjaśnieniem polecił dorożkarzowi zawieźć ją do pałacu Limbachów. Gdy ruszyli, Lisa rozsiadła się wygodnie na siedzeniu, wtulając twarz w miękkie podgłówek. Miała wrażenie, jakby uciekła przed groźącym jej strasznym niebezpieczeństwem. Starła się po raz pierwszy spojrzeć trzeźwo na swe położenie i ocenić, co powinna teraz zrobić.

Z trudem poukładała myśli. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jaki skandal mogłoby wywołać jej zniknięcie. Co właściwie powiedziała portierowi? Zastanawiała się przez chwilę. Najpierw miała jechać po zapomnianą rzecz do domu, dokąd potem miał po nią przyjechać Ronald. Rany Boskie! Nie, tylko nie do domu! Przecież on tam zaraz przyjedzie! Uciekać, uciekać dokądkolwiek, byle tylko nie patrzeć w jego oblicze! Wstyd by ją zabił!

Chciała się zerwać z siedzenia i podać dorożkarzowi inny adres. Ale jaki? Myślała nad tym gorączkowo, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Znowu powracały słowa Ronalda. Miłość, którą okazywała mu w sposób tak otwarty, okazała się dla niego kulą u nogi, ciężarem, którego nie mogła znieść! Och, żeby tylko móc już o tym nie myśleć! Trzeba zastanowić się, co dalej. Tak, wuj i ciotka powinni dostać od niej jakąś wiadomość. W przeciwnym razie mogliby pomyśleć, że...

Wyprostowała się. A właściwie dlaczego miała to zrobić? W tym momencie poczuła, że opuszcza ją ów lęk paralizujący umysł i ciało. Serce przestało wreszcie trzepotać w jej dziewczęcej piersi. Dla kogo miała właściwie dalej żyć? Wuj Karol specjalnie by po niej nie rozpaczał. A ciotka Hermina — no cóż, w jej sercu nie było miejsca dla zbyt wielu uczuć — nareszcie to zrozumiała. Ale Ronald — nie, jemu nie mogła tego zrobić! Pomyślałaby z pewnością, że to jego słowa doprowadziły ją do ostateczności. Nie, nie mogła zostawić go ze świadomością, że stał się przyczyną jej śmierci. To nie przywróciłoby mu wolności. Dręczyłaby go rozpacz i nigdy już nie mógłby żyć bez poczucia winy.

Zanim jeszcze zdążyła ustalić, co powinna zrobić, dorożka zatrzymała się przed jej domem. Wysiadła, polecając dorożkarzowi, by na nią zaczekał. Rzuciła odźwiernemu kilka słów i pospieszyła do swego pokoju, by napisać bilecik do Ronalda. Tym pisemkiem nie tylko powiadamiała o tym, że na razie miewa się dość dobrze, ale także jasno dawała do zrozumienia, co było powodem jej wyjazdu. To on powinien zdecydować, co dalej.

Potem, tak szybko, jak to tylko było możliwe, opuściła dom, liścik zostawiając służącemu. Zachowała jeszcze na tyle przytomności umysłu, by krzyknąć do dorożkarza: „Na Dworzec Bawarski!”. Świadomie zrobiła to tak głośno, żeby odźwierny mógł usłyszeć.

Nie pojechała jednak na dworzec. Po kilkuset metrach wysiadła, wręczając woźnicy banknot i oświadczając, że musi jeszcze coś pilnego załatwić w mieście.

Nie w pełni panowała nad swymi ruchami. Szła, lecz kolana uginały się pod nią. Na skwerze przy Placu Flisackim usiadła na jednej z parkowych ławek. Kilkakrotnie przeszedł obok niej jakiś młody mężczyzna, który w końcu zdecydował się ją zagadnąć, kłaniając się jednocześnie w pas. Lisa przestraszyła się i uciekła. Krążyła po placu, czując już zmęczenie. Na uli-

cy Sydońskiej znalazła małą cukiernię. Przez okno zobaczyła, że lokal był pusty. Szybko weszła i zajęła miejsce w rogu. Po chwili podeszła do niej młoda dziewczyna, pytając o zamówienie. Poprosiła o filiżankę czekolady.

Kiedy otworzyła swą skórzaną torebkę, żeby zapłacić, jej spojrzenie spoczęło przez chwilę na liście, który otrzymała dzisiaj, tuż przed wyjazdem do kościoła. Pomyślała, że może dzięki niemu znajdzie wyjście z tej sytuacji. Ścisnęła go w rękę do momentu, aż zapłaciła za czekoladę i została sama. Wtedy energicznym ruchem otworzyła kopertę i zaczęła czytać list po raz wtóry, starając się niczego nie przeoczyć.

W jakimż to innym nastroju czytała owo pismo po raz pierwszy! Wówczas, przepelniona szczęściem, nie koncentrowała się specjalnie na jego treści. Teraz była do tego zmuszona — jest to pewnie jej ostatnia deska ratunku. List brzmiał następująco:

Moja droga Liso!

Skoro już, ze szczególnych względów, nie mogę przybyć na Twoje wesele, to chcę przynajmniej w tym tak szczęśliwym dla Ciebie dniu złożyć Ci najszczęśliwsze i najserdeczniejsze życzenia. Pewnie nie chcesz już słyszeć o jakiejś tam ciotce Annie, bo ciotka Hermina przedstawia Ci ją jako szkaradną poczwagę. Tak młodzi ludzie jak Ty są niestety bardzo podatni na wpływy najbliższego otoczenia. Gdyby tak nie było, pisałabym do Ciebie znacznie częściej. Dopóki jednak mieszkasz pod dachem mojej szwagierki, dopóty nie ma to żadnego sensu. Znam ją dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć, że nigdy nie pozwoliłaby Ci odpisywać na moje listy.

Jesteśmy z Twoją ciotką, że się tak wyrażę, w stanie wojny, albo raczej — Hermina zaszczyca mnie swoją nienawiścią, ponieważ doskonale wie, że pewnego dnia ostrzegałam mojego brata, Karola, żeby nie żenił się z tą zarozumiałą i zimną osobą. Mimo to została jednak jego żoną i obawiam się, że dała mu namiastkę szczęścia. Ale cóż, każdy jest kowalem własnego losu i każdy pragnie innych doznań.

Teraz jednak wróćmy do Twoich spraw, moje miłe dziecko. Mimo że nie widziałam Cię od śmierci Twoich drogich rodziców, zachowuję pamięci Twój obraz, a w sercu uczucie miłości. Jesteś bowiem dzieckiem mojego ukochanego brata, a Twoja matka była moją wierną przyjaciółką. Po śmierci Twoich rodziców bardzo chciałam zabrać Cię do siebie. Na krótko przedtem zmarł mój mąż, a niestety nie mieliśmy własnych dzieci. Byłaby to dla mnie wielka pociecha, gdybym mogła wziąć Cię wówczas do siebie i wychowywać zgodnie ze zwyczajami Twoich rodziców. Jednak moja szwagierka wyrwała mi Cię, Liso. Skorzystała z okazji, że byłam wtedy bardzo chora i nie mogłam skutecznie dochodzić moich praw do opieki nad Tobą. Kiedy wreszcie wróciłam do zdrowia, Hermina trzymała Cię już mocno w swoich szponach i chociaż mój brat, Karol, poprosił ją osobiście, byś przeszła pod moją kuratelę, to szwagierka odmówiła zachowując się przy tym w sposób wielce niestosowny. Tak więc z ciężkim sercem musiałam zrezygnować z dalszej walki o Ciebie. Z pewnością nie zaznałaś przy pani konsulowej zbyt wiele ciepła i miłości, bo tam, gdzie inni ludzie mają serce, ona ma księgę z kodeksem towarzyskim. Mimo że poślubiła mieszczanina, nigdy nie przestała być hrabianką von Schlorn dorf. Nigdy też nie wybaczyła mi, że ja, panna Limbach, stałam się hrabiną Rahnsdorf.

Ale znowu odbiegłam od tematu. Wybacz, wzbierająca we mnie od lat gorycz musi znaleźć czasem ujście. Nigdy nie robiłam zresztą tajemnicy z faktu, że Hermina wydaje mi się osobą wyjątkowo niesympatyczną, za co mściła się na mnie.

Moje drogie dziecko, jestem samotną kobietą i rok za rokiem mija na mi tęsknocie za Tobą. Jednak prosić Herminę, by pozwoliła mi przyjąć Cię u siebie choćby na kilka tygodni — nie, tego nie mogłam zrobić! Doszłoby z pewnością do kolejnych niesnasek, ponieważ nie podzielam jej metod wychowawczych. I ty ucierpiałabyś wówczas najbardziej.

Teraz jednak, Liso, jesteś już dorosła i sama potrafisz wyrobić sobie pogląd na wiele spraw. Wychodzisz za mąż. Mam nadzieję, że będziesz naprawdę szczęśliwa, choć z tego co wiem, ciotka Hermina zwraca baczniej-

szą uwagę na prezencję Twojego wybranka, aniżeli na to, czy będzie on w stanie to szczęście Ci zapewnić. Pani konsulowa traci więc w ten sposób całkowite panowanie nad Tobą — staniesz się teraz osobą niezależną. Jeśli wobec tego będziesz miała ochotę, sama lub wraz ze swym młodym małżonkiem, przybyć któregoś dnia z wizytą do samotnej ciotki Anny, to spełnisz jej najskrytsze marzenie. Mam nadzieję, że nastąpi to zaraz po Waszym powrocie z podróży poślubnej.

Umyślnie nie wysyłam Ci prezentu ślubnego. Nie znam Twoich życzeń, a też i niechętnie robię prezenty, na których widok obdarowany myśli sobie: Co ja takiego uczyniłem, że muszę teraz przyjmować coś podobnego? Lepiej sama mi powiedz, czym sprawiłabym Ci największą radość. Pewnego dnia zostaniesz moją spadkobierczynią, więc do wartości połowy mojego majątku każde Twoje życzenie zostanie spełnione.

Tak więc, kochana Liso, napisałam Ci już o wszystkim, co leżało mi na sercu. Niech Bóg ma Cię w swojej opiece, moje dziecko. I nie zapominaj, że w najbardziej idyllicznym zakątku Turynгии leży Rahnsdorf i że mieszka tam pewna samotna, starsza kobieta, która odlicza godziny do chwili, gdy będzie wreszcie mogła przycisnąć Cię do swej piersi. Pozdrawiam serdecznie Twojego małżonka. Proszę Cię też o przekazanie pozdrowień dla mojego brata, Karola. Pomimo tego wszystkiego, co oddaliło nas od siebie, zawsze pozostanę jego starszą siostrą. Konsulowej jednak nie posyłam dobrego słowa — chcę po prostu być szczerą, a do głowy przychodzą mi same uprzejme kłamstwa. Nie myśl jednak o mnie źle z tego powodu, moje dziecko i przybywaj w moje progi, jak tylko znajdziesz chwilę czasu.

Twoja gorąco kochająca Cię ciotka

Anna

PS. Mój dokładny adres znajdziesz na kopercie.

Lisa powoli przeczytała list do końca. Doznała przy tym takiego uczucia, jakby jakaś delikatna, ciepła ręka pogładziła ją pocieszająco po głowie. Oczy nabiegły jej łzami tęsknoty za tą serdeczną osobą. Właśnie tam chcia-

ła się schronić — u tej kobiety, która czekała na nią z otwartymi ramionami, mając na ustach dobre słowo, a w sercu gorącą miłość. Tam mogłaby ukryć swoje cierpienie i swój wstyd. Ciotce Herminie nigdy nie mogłaby wyznać, co w tej chwili przeżywa i jak wielka rozpacz wypełnia pierś. Nie rozumiałaby jej i najpewniej nawymyślała od rozpieszczonych bachorów, przybierając przy tym swoją wyniosłą pozę. Przypuszczalnie też zmuszałaby ją do powrotu do Ronalda i prowadzenia zakłamanego życia u jego boku.

U ciotki Anny znajdzie miłość i zrozumienie — uchwyciła się tej myśli jak topielec, który tracąc powoli siły i idąc na dno, czepia się wszystkiego, co znajduje się w zasięgu rąk. Poczwała, że znalazła drogę wyjścia ze swej obecnej sytuacji. Miała przed sobą cel i myśl o konieczności dotarcia do niego jak najszybciej spowodowała, że Lisa przez zwyciężyła wreszcie stan apatii.

Sprawdziła, czy ma przy sobie jakieś pieniądze. Na szczęście znalazła w torebce kilka monet, dzięki czemu będzie chyba mogła dotrzeć do Rahnsdorf. Leży on ponoć niedaleko Jeny. Do Jeny będzie musiała dostać się pociągiem. Nie, nie do Jeny — do Porstendorf. Na kopercie jest wyraźnie napisane: Rahnsdorf, stacja Porstendorf.

Lisa poprosiła obsługującą ją dziewczynę o książkę połączeń kolejowych i sprawdziła, którym pociągiem będzie mogła pojechać. Pociąg pociąg pociąg jedzie dziesięć godzin i piętnaście minut. Pięć po dwunastej w nocy byłaby w Jenie. Ale ten pociąg nie zatrzymuje się w Porstendorf, a o tak późnej porze nie ma już żadnego połączenia. Najlepszym więc rozwiązaniem będzie przenocować w hotelu w Jenie by następnego ranka wsiąść w pierwszy pociąg odjeżdżający w kierunku Porstendorf.

Te rozważania odciągnęły na kilka minut uwagę Lisy od dręczących ją myśli. Spojrzała na zegarek. Miała jeszcze wystarczająco dużo czasu, by spokojnie zdążyć na swój pociąg. Nie tknąwszy nawet czekolady opuściła cukiernię. Na ulicy zawołała pierwszą nadjeżdżającą dorożkę, która zawiozła ją na Dworzec Turyński. Tam upewniła się przy okienku co do godziny odjazdu pociągu i kupiła bilet drugiej klasy do Jeny. Musiała tak to sobie

policzyć, żeby pieniędzy wystarczyło jeszcze na hotel. Dopiero teraz pomyślała, że nie ma przecież przy sobie nocnej koszuli, no ale tego nie można już było zmienić.

Po wejściu na peron, udała się niezwłocznie do podstawionego już pociągu i znalazła sobie miejsce w kącie przedziału. Opadła wyczerpana na siedzenie i wtuliła się głowę w miękkie oparcie. Przeniknął ją chłodny i wilgotny marcowy chłód. W pociągu nie było na razie ciepło, gdyż wszystkie drzwi były pootwierane na oścież. Oprócz Lisy w przedziale znajdowały się jeszcze dwie panie, najwyraźniej matka i córka, które niezmiernie rozmawiały o ciotce Laurze i o Orfeuszu. Orfeusz to zdaje się imię kota, który pozostał w domu pod opieką ciotki Laury ponieważ starsza z pań powtarzała nieskończoną ilość razy: „Żeby tylko ciotka Laura nie zapomniała, że mleko dla Orfeusza powinno być podgrzane! On nie zniesie chłodnego mleka!” Jej córka równie często spieszyła z zapewnieniami, że ciotka Laura wzięła sobie do serca podgrzewanie mleka i że z pewnością o tym nie zapomni, co uspokajało matkę na kolejne pięć minut.

Cała ta zajmująca paplanina była dla Lisy równie niezrozumiała jak pogawędka w jakimś obcym języku. Przymknęła oczy i już po chwili popadła w stan odrętwienia. Miała przy tym wrażenie, jakby spadała w przepastną otchłań. Fizycznie czuła się tak rozbita i wyczerpana, że nie była już w stanie panować nad wypełniającym ją bólem.

Pociąg wreszcie ruszył, a rozmowa między paniami urwała się. Ułożyły się wygodnie do wypoczynku i już po chwili starsza z kobiet głośnym chrapaniem obwieściła, że ma jednak pełne zaufanie do ciotki Laury — przynajmniej w sprawie podgrzewania mleka dla kota.

Stopy Lisy były lodowate, lecz głowa rozpalona szczególną gorączką. Myślami wracała ciągle do hotelu, w którym świętowano jej zamążpójście. Gdyby tylko jej krewni i znajomi dowiedzieli się o tej ucieczce! Ronald chyba wrócił już do hotelu i powiadomił o zajściu ciotkę i wuja. Ciotka Hermina z pewnością kipi ze złości, zwłaszcza gdy zorientuje się, że Lisa schroniła się w Rahnsdorf. Cóż to miało jednak za znaczenie. Ich reakcje były jej zupełnie obojętne.

Dopiero teraz Lisa zdała sobie sprawę, jak w gruncie rzeczy niewiele łączyło ją z ciotką. Teraz ta surowa, apodyktyczna kobieta nie miała już nad nią żadnej władzy.

Ciągle jednak myślała o Ronaldzie i jego reakcja nie była jej obojętna. Gwałtownym ruchem przycisnęła dłonie do piersi z taką siłą, że aż poczuła ból. Tak wyraźnie widziała przed sobą jego poważne, strapione oblicze, w które tylekroć z rozkoszą się wpatrywała. Czy był bardzo zły, szukając jej na próżno? Czy od razu zorientował się, dlaczego uciekła i od czego go właściwie uwalniała? Czy odetchnął z ulgą, że jest znowu wolnym człowiekiem i nie musi udawać miłości do kobiety, której nigdy nie kochał? Czy brzemie jej niechcianej miłości spadło z jego barków? Czy oddychał pełną piersią, czy też może odczuwał dla niej choć odrobinę współczucia?

Współczucie! Lisa zacisnęła zęby. Nie chciała żadnego współczucia — na miłość boską, wszystko tylko nie współczucie! Ach, jak bardzo wstydziała się teraz, że tyle razy okazywała mu swą miłość. Poczucie wstydu przysparzało jej najwięcej cierpień.

Wiara w jego miłość do tak bezbarwnej dziewczyny jak ona wydała jej się teraz naiwna, wręcz głupia! Nie przyciągała mężczyzn ani ubiorem, ani fryzurą, ani wdziękiem osoby obytej w towarzystwie. Jediną rzeczą, która mogła budzić pożądanie, była jej fortuna. Z tym właśnie Ronald nie mógł się pogodzić — wiązały go z żoną tylko pieniądze, podczas gdy jego serce należało do Lili. Ona była z pewnością piękna i powabna. To przy niej Ronald pragnął być i byłby, gdyby nie niekochana narzeczona, odbierająca mu swobodę ruchów. Och, co za obelga, wstyd, co za hańba!

Głowa Lisy stawała się coraz bardziej rozpalona. Mimo że temperatura w przedziale zrobiła się już znośna, ciągle jeszcze nie można się było rozebrać. Zęby Lisy były nadal zaciśnięte, częściowo z zimna, a częściowo z bólu.

Podróż dłużyła jej się okropnie. Biedna dziewczyna, zmagająca się z największym zmartwieniem swego dotychczasowego życia była już bliska omdlenia, gdy wreszcie krótko po północy pociąg wjechał na dworzec w Jenie.

Lisa z trudem dotarła do pierwszego lepszego hotelu, który znajdował

się niedaleko dworca. Przyjęto ją z pewną nieufnością, ponieważ nie miała przy sobie żadnego bagażu. Kiedy jednak zapytała, o której jest pierwsze ranne połączenie do Porstendorf i jak może potem, z Porstendorf dostać się do Rahnsdorf, do posiadłości swojej ciotki, obsługa hotelu stała się bardziej uprzejma. Pani Rahnsdorf miała bowiem zwyczaj zatrzymywać się właśnie w tym hotelu, kiedy tylko przybywała do Jeny. Jako wielka właścicielka ziemska była jednym z najważniejszych gości, z którym pod żadnym pozorem nie chciano popsuć sobie stosunków. Mimo ogarniającej ją apatii Lisa bez trudu zauważyła zmianę nastawienia do niej, gdy tylko wypowiedziała magiczne słowo „Rahnsdorf”. Nie zastanawiała się nad tym jednak zbyt długo, była bowiem śmiertelnie znużona. Ucieszyła się, gdy znalazła się sama w przytulnym pokoju i wreszcie mogła się położyć.

Mimo zmęczenia sen nie przychodził. W zaśnięciu przeszkadzały jej nie tylko smutne myśli, ale także dojmujący ból fizyczny. Długi czas przewracała się z boku na bok. Niewątpliwie tę noc zapamięta jako jedną z najdokuczliwszych w swym życiu. Dręczyło ją uczucie strasznego osamotnienia. Szlochała cicho, tuląc się do poduszki. A przy tym ciągle powracał obraz Ronalda. Tak bardzo za nim tęskniła.

Kiedy do hotelowego pokoju zawitał brzask, Lisa podniosła się ociężale z łóżka. Była wymęczona fizycznie i psychicznie. Ubrała się powoli, drżąc na całym ciele, po czym zamówiła kawę. Starła się wypić ją jak najprędzej, by trochę się rozgrzać. Ciągle nie mogła przełknąć nic treściwego. Na koniec uregulowała rachunek i poszła na dworzec.

VI

Pół godziny później była już w Porstendorf. Na małym peronie tłoczyły się wieśniaczki z torbami, klatkami z drobiem i wielkimi pękami warzyw. Oczekiwały na pociąg, który miał je zawieźć na targ dc Jeny.

Lisa rozglądała się przed dworcem w poszukiwaniu jakiejś fur mańki z Rahnsdorf, jak jej wcześniej poradzono w hotelu. Nieśmiało próbowała przepychać się przez tłum przekupek, które z zaciekawieniem przyglądały się bladej panience z miasta. Wreszcie zauważyli zawiadowcę stacji. Podeszła do niego i zapytała o furmankę. Kolejarz spojrział na nią zdziwiony.

— Wybiera się panienka do wsi czy na zamek?

Lisa nie wiedziała, że posiadłość Rahnsdorfów nazywana byli w okolicy zamkiem.

— Jadę do pani Rahnsdorf— odparła.

— A więc na zamek, młoda damo. W takim przypadku jakoś temu zaradzimy. Tam dalej powinien stać Henryk, który swym wozem dostarcza do zamku mleko. Proszę poczekać, gwizdnę na niego.

Włożył palce do ust i wydał przeraźliwy gwizd, kiwając jednocześnie ku stojącemu po drugiej stronie ulicy mężczyźnie. Mleczarz podszedł do nich powolnym krokiem. Miał na sobie haftowany surdut, niebieski fartuch i bryczesy wsunięte w wysokie buty. Lekko uchylił czapki na powitanie.

— Henryku, ta panna jedzie z wizytą do łaskawej pani.

— Henryk popatrzył ze zdumieniem na bladą twarz Lisy. Wokół jego oczu rysowały się głębokie półkoliste bruzdy. Lisa również nie wyglądała tego dnia kwitnąco.

— No, ale łaskawa pani nic mi o tym nie mówiła. Toteż i nie wysłała powozu na stację — powiedział z namysłem.

— Pani Rahnsdorf nie wie, że do niej jadę. Chcę jej zrobić niespodziankę. To moja ciotka — wyjaśniła Lisa drżąc od porannego chłodu.

Na te słowa zawiadowca mimowolnie pokłonił się Lisie z szacunkiem, a woźnica przesunął czapkę tak, żeby nie było na niej widać starej plamy.

— A to ci dopiero! Głupia sprawa, łaskawa pani, no ale nic na to nie poradzę. Jeśli panienka ma ochotę, to może jechać obok mnie na koźle. Między kanami na wozie nie ma miejsca.

Lisa czuła się bardzo źle i miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Myślała jedynie o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się w Rahnsdorf, choćby miała się tam wlec jak ranne zwierzę. Było jej najzupełniej obojętne, w jaki sposób dotrze do celu. Natychmiast więc przystała na propozycję jazdy na koźle.

Zawiadowca szarmancko pomógł Lisie wsiąść na wóz i pożegnał ją głębokim ukłonem. Henryk wspiął się na swoje siedzenie i starając się dogodzić dziewczynie, podsunął jej kilka złożonych derek, aby twarda deska nie dała się jej zbyt w czasie jazdy. Lisa podziękowała mu słabym uśmiechem. Dobrze odżywione szkapy pociągnęły wóz i wolnym kłusem ruszyły wiejską drogą przed siebie. Woźnica czuł się nieco zażenowany i usuwał się jak mógł na bok, starając się zrobić więcej miejsca swemu dostojnemu gościowi. Co jakiś czas ukradkiem odwracał swą promienną, ogorzałą twarz w kierunku Lisy. Cóż to za smutne i blade oblicze! Pomyślał, że w jej policzkach musiało nie być ani jednej kropli krwi. Jaśnie wielmożni państwo to zupełnie inni ludzie. „Ale krzepka dziewczucha!” — pomyślał z sarkazmem, śmiejąc się w duchu do rozpuku. Po chwili zdjął czapkę i wyjął z niej cygaro, które dostał w prezencie od kupca w Porstendorf. Kiedy już odgryzł jeden koniec cygara i miał zamiar zapalić drugi, pomyślał znowu o bladej jak śmierć na chorągwi panience. Dym mógłby jej zaszkodzić. Odrzucił więc zapałkę, zanim zrobił z niej użytek, po czym schował cygaro z powrotem pod czapkę.

Obie te tak odmienne, należące do różnych światów, istoty jechały w milczeniu obok siebie. Przez dłuższy czas woźnica zastanawiał się, jak by tu zagaić panienkę, zdając sobie sprawę z tego, że była nie byle kim bo bratanicą samej łaskawej pani.

Wreszcie przyszło mu coś do głowy. Podniósł bat i zatoczył nim koło.

— To wszystko, co tu panienka widzi, należy już do Rahnsdorf A tam za rzeką jest wieś.

Lisa zebrała siły, żeby się rozejrzeć.

– Posiadłość mojej ciotki leży chyba z dala od wioski?

– Nie, nie aż tak znowu daleko. Od wsi oddzielają właściwie tylko rzeka Saale. Ale najpierw musimy przejechać kawałek lasem. Zaraz potem jasnie panienka zobaczy przed sobą zamek.

– Czy ten zamek jest duży?

– No, taki wielki jak Dornburg to on nie jest. Ale jest największy w okolicy. I bardzo stary. Ma takie grube mury! Rahnsdorf to jest fortuna! Najtłustsze dobra jak okiem sięgnąć. Lepszych nigdzie tu nie ma. Nasza pani to się tak dobrze wyznaje na gospodarowaniu jak święte pamięci dzie-dzic, jej mąż. Rano jest do roboty pierwsza, a wieczorem do łóżka ostatnia. Takich dziedziczek to się już prawie nie spotyka. U na! na zamku wszystko jest w najlepszym porządku, chociaż pana dawno już zabrakło.

Po tej wyjątkowo długiej, jak na niego, oracji Henryk uznał, że wypełnił już z nawiązką swój obowiązek zabawiania panienki rozmową i do samego już zamku jechali w milczeniu.

Lisa znowu popadła w odrętwienie. Chłodny poranny wiatr sprawił, że zaczęła dygotać. Powróciły dręczące ją myśli. Z niepokojem też zastana-wiała się nad tym, jak przyjmie ją ciotka Rahnsdorf.

Wreszcie wyjechali z lasu i Lisa ujrzała przed sobą zamek. Była to dość masywna budowla z ciosanego piaskowca. Nieznaczne wywyższenie nad głównym portalem miało chyba pełnić funkcję wieży. Była to jednak wieża nieproporcjonalnie mała w stosunku do rozmiarów całości. Robiła jednak przyjemne wrażenie, podobnie jak szeregi wysokich okien i okalający bu-dynek rozległy ogród. Z tyłu zamku znajdowały się zabudowania gospo-darcze, tworzące rodzaj osiedla dla ludzi pracujących na potrzeby majątku Rahnsdorf.

Kilka minut później wóz wjechał przez bramę na dziedziniec, pośrodku dziedzińca stała właścicielka zamku, Anna Rahnsdorf. Była to postawna kobieta w wieku około pięćdziesięciu lat. Miała na sobie ściśle przylegają-cy strój do jazdy konnej, poczynając od nieco zachlapanych wysokich skó-rzanych kozaków, a kończąc na szarym kepi, spod którego wystawały gę-ste, ciemne włosy. Pod pachą ścisnęła szpicrutę. Jej twarz wyrażała sta-nowczość, lecz jednocześnie spokój

i pogodę ducha.

Obok hrabiny stał starszy mężczyzna, najpewniej jeden z parobków. Dziedziczka poklepała go przyjaźnie po ramieniu.

— Teraz idź, mój stary wierny Marcinie do domu i zrób sobie na tę zdrętwiałą nogę ciepły okład. Starannie nałóż na nią maść, którą ci dałam i we-
trzyj mocno, tak żeby cię rozgrzała. Powinna pomóc.

Stary odpowiedział coś półgłosem, na co pani Rahnsdorf zareagowała serdecznym śmiechem.

— Nonsens! Poradzimy sobie, nie przejmuj się tak. Tyle lat się dla mnie trudziłeś! Wiem doskonale, że nie masz zwyczaju chować się po kątach przed pracą. A teraz marsz mi do łóżka! I ani mi się waż wstać z niego, za-
nim nie wrócisz do zdrowia. Zrozumiano?!

Stary Marcin odszedł kuśtykając.

Pani Rahnsdorf zadeła głośno w mały, srebrny gwizdek. Na jego dźwięk przybiegł młody parobek, któremu oddała swego konia.

— Szybko, szybko, Fryderyku. Nie zauważyłeś, że już wróciłam z prze-
jażdżki? Zabierz Sulejkę! Trzeba ją wytrzeć z potu i okryć ciepłą derką.
Raz, dwa, synu! Nie ociągaj się!

Parobek zabrał konia, a pani Rahnsdorf odwróciła się na pięcie, by skie-
rować swe kroki do domu. W tym momencie jednak Henryk zajechał swo-
im wozem mleczarskim i zatrzymał się tuż obok niej. Spojrzała na niego
zdziwiona.

— A cóż to, Henryku? Dlaczegoż to robisz sobie przystanek pośrodku
dziedzińca? Nie wiesz, gdzie odstawić swój wóz?

Henryk zeskoczył z kozła i z uśmiechem pokazał przez ramię swego go-
ścia.

— Ta panienka chciała koniecznie przyjechać do łaskawej pani.

Dopiero teraz pani Rahnsdorf dostrzegła bladą, skuloną postać
zerkającą na nią wystraszonymi, niepewnymi oczami. Widok tej nieru-
chomej, drobnej postaci sprawił, że coś jakby przeszyło jej serce Szybkimi
krokami podeszła do wozu.

— Pani Rahnsdorf? — zapytała Lisa lękliwie.

— Tak, to ja. A ty... mój Boże, ja przecież znam te oczy! Czy ty nie jesteś przypadkiem...

— Jestem Lisa, ciociu Anno — powiedziała cicho dziewczyna.

Już i tak pąsowa twarz pani Rahnsdorf nasyciła się jeszcze bardziej kolorami. Jej przenikliwe oczy lustrowały przez moment badawczo twarz Lisy. Zaraz jednak wyciągnęła ręce do dziewczyny i zdjęła ją z wozu niemal jak piórko. Objęła ją swymi silnymi ramionami i przez chwilę trzymała w serdecznym uścisku. Wyczuła, że bratanica drży na całym ciele i jej oczy przybrały czuły, matczyzny wyraz.

— Moje drogie dziecko! Liso! — zawołała kordialnym głosem zdając sobie sprawę, że takie zachowanie nie przystoi racjonalnie zachowującej się pani dziedziczce.

— Pomóż mi, proszę, jestem w wielkiej potrzebie i nie wiem, do kogo mam się zwrócić — wyszeptała Lisa.

Pani Rahnsdorf objęła ją swym ramieniem.

— No, Henryku, odstawże swoją furę na miejsce! Co, zapuściłeś korzenie? — powiedziała do parobka przez ramię, po czym wprowadziła Lisę do domu.

Wewnątrz budynku, w pokoju gościnnym, było przyjemnie ciepło. Pani Rahnsdorf delikatnie ulokowała bratanicę w miękkim fotelu ostrożnie zdjęła z jej głowy kapelusz i subtelnie pogładziła ją po policzkach. Jej ruchy przepelniała wielka troska. Mizerny wygląd wystraszone oczy dziewczyny opowiedziały doświadczonej kobiecie całą historię, zanim jeszcze padły jakiegokolwiek słowa.

Wyprostowała się. Zdjęła kepi i podeszła do barku, żeby nalać kieliszek porto. Podeszła ponownie do Lisy i podsunęła go dziewczynie niemal do samych ust.

— Napij się łyk, jesteś przecież zupełnie przemarznięta. |

Lisa posłusznie wypila trunek, wpatrując się przy tym swym wielkimi oczami w pogodne oblicze ciotki. W uniesieniu pani Rahnsdorf pocałowała nagle Lisę w powieki, skrywające przepojone cierpieniem oczy.

— Gdzie jest twój mąż, Liso?

— Ja... ja nie wiem.

Anna Rahnsdorf skinęła głową.

— A więc o to chodzi! Biedna, mała jaskółeczko, uciekłaś?

Reakcją na to pytanie były wielkie łzy, które wytoczyły się z oczu Lisy. Były to pierwsze łzy, jakie uroniła od chwili, gdy jej szczęście legło w gruzach.

— Uciekłam... potajemnie. Nie wiedziałam zupełnie, dokąd. Twój list... więc przyjechałam do ciebie. Pozwól mi zostać przy tobie, ciociu Anno.

Te słowa tak wzruszyły hrabinę Rahnsdorf, że nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wciąż tylko głaskała blade policzki Lisy. Turlały się po nich łzy rozpacz, które delikatnie zbierała.

— Nie odeślesz mnie, prawda? — dopytywała się Lisa z lękiem w głosie.

Oblicze ciotki rozjaśnił ciepły uśmiech.

— Powinnaś mieć do mnie trochę więcej zaufania. I nie patrz na mnie z taką trwogą. Na twój widok serce mi się kraje. Ja miałabym cię odesłać? Widać, że nie znasz zupełnie swojej ciotki Anny. Ona nigdy nie odprawia osób, które znalazły się w potrzebie, a w szczególności jednej osóbk, która jest tak miła jej sercu. Bądź spokojna, u mnie jesteś pod najlepszą opieką. Co prawda nie mogę się tak do końca cieszyć z tego, że wreszcie do mnie zawitałaś, biorąc pod uwagę niecodzienne okoliczności i twój żalony, chwytający za serce wygląd. Najpierw jednak polecę przygotować ci kawę. Musisz też zjeść coś ciepłego. Dopiero potem będzie spowiedź.

Lisa trzymała się kurczowo jej ramienia.

— Pozwól mi powiedzieć wszystko od razu, ciociu Anno! Dłużej tego nie znoję! — wyjąkała Lisa, zanosząc się szlochem.

Pani Rahnsdorf przysiadła obok niej.

— W takim razie zrzuć wszystko, co ci leży na sercu. Opowiedz mi ze szczegółami o tym, co zaszło. Nie sądzę, żeby był na tym świecie człowiek, który potrafiłby cię lepiej zrozumieć niż twoja stara ciotka.

Lisa przystąpiła do opowiadania. Z początku jąkała się, niepewnie dobierając słowa. Z każdą chwilą jednak mówiła coraz szybciej, coraz bardziej gorączkowo, tak jakby musiała prędko pozbyć się wrogich jej słów.

Opowiadała, w jaki sposób poznała Ronalda i jak rozwijała się jej miłość

do niego, jak usilnie zabiegał o jej względy i jak szczęśliwa była wierząc, że on odwzajemnia jej uczucie. A potem była ta straszna rozmowa Ronalda z Mallwitzem, która przyniosła jej największe w życiu rozczarowanie. Starła się obrazowo przedstawić swoje przerażenie, strach przed przyszłością i obawę, że musiałaby po tym wszystkim spojrzeć mu w oczy. Na koniec opisała przebieg swej desperackiej ucieczki.

Lisa zwierzyła się ciotce ze wszystkiego, otwierając przed nią swoją duszę. Pani Rahnsdorf, która starała się wyrobić sobie zdanie o swojej bratanicy jako o dojrzałej już kobiecie, odniosła wrażenie, jakby zna jej problemy od dawna. Skutki wychowania szwagierki von Schlorndom były aż nadto widoczne i można je było przewidzieć. Kiedy Lisa dotarła wreszcie do końca swej spowiedzi, hrabina spojrzała jej z powagą w oczy.

— Jest tak, jak przypuszczałam. Biedne dziecko, ciotka tak cię zniewoliła i pozbawiła wszelkiej samodzielności, że sama nie jesteś teraz w stanie zaradzić swym kłopotom. Jedynym wyjściem z trudnych życiowych sytuacji jest dla ciebie ucieczka. To nie zawsze jest jedna mądre, Liso. Powinnaś była zobaczyć się ze swoim mężem, szczerze wyznać mu, że przypadkowo słyszałaś jego rozmowę i zwrócić mu wolność.

Lisa potrząsnęła energicznie głową.

— Nie mogłabym tego zrobić — za nic w świecie! Zrozum mnie, wstydzę się, że tyle razy otwarcie okazywałam mu swą miłość.

— Wstydzisz się? Miałabyś się wstydzić tego, że Bóg obdarzył cię wielką, płomienną miłością? Mały głuptasku. Czy to grzech kochać innego człowieka? Czy te wszystkie lata pod kuratelą mojej szwagierki mogły ci tak pomieszać w główce? Powinnaś być dumna z tego, że stać cię na tak wzniosłe uczucie, które każe ci przedkładać dobro ukochanej osoby nad swoim własnym. Fakt, czy twój mąż zasługiwał na tak uczucie, czy też nie, nie odgrywa tutaj żadnej roli. Powinnaś była mu jednak otwarcie powiedzieć, iż zanadto go kochasz, żeby być mu kulą u nogi i że jesteś zbyt dumna, żeby żyć obok niego, wiedząc, że nie odwzajemnia twojej miłości. Powinnaś na koniec zaproponować mu rozwód.

Lisa wpatrywała się nieufnie w twarz swej ciotki.

— Nie mogłabym tego zrobić. Za bardzo go kocham, żebym mogła znieść sposób, w jaki by na mnie patrzył. Byłoby mi wstyd.

— Moja ty biedna, wylękniona ptaszyno! A czy zastanowiłaś się nad tym, jaki skandal może wywołać twoje zniknięcie? Panna młoda, która ucieka przed swym dopiero co poślubionym mężem! Przyjęłaś nazwisko człowieka, którego wybrałaś za małżonka, a wraz z nim zobowiązanie, że nigdy nie przyniesiesz jego nazwisku wstydu. Nawet jeśli została ci wyrządzona krzywda, nie oznacza to wcale, że i ty musisz ją odwzajemnić. Zdaje się, że o tym nie pomyślałaś?

Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy.

— Właściwie to o niczym wtedy nie pomyślałam. Uciekałam, jakby pod wpływem jakiejś przemożnej siły, nie wiedząc zupełnie dokąd pójść. A teraz jestem u ciebie. Nie strofuj mnie! Jesteś przecież dobra i kochasz mnie — wiem o tym. Mam do ciebie takie zaufanie. Pomóż mi i nie odsyłaj mnie stąd. Gdybym tylko mogła pozostać u ciebie na zawsze!

W słowach Lisy można było wyczuć takie osamotnienie, że oczy Anny Rahnsdorf nabiegły łzami.

— Ach, dziecko, cóż ja bym dała za to, żebyś u mnie została! Tak bardzo tęskniłam za tobą, wyobrażając sobie, że zastępuję ci matkę. Zrobiłabym z ciebie zupełnie innego człowieka. Nie takiego wystraszonego, bojaźliwego i bezbronnego, jak to sobie wymyśliła moja szwagierka. Wyglądasz tak, jakby ci nie pozwalano najeść się do syta tylko z powodu dworskiej etykiety. I oto efekty: już pierwsza życiowa burza powaliła cię na ziemię. Niech no ja tylko dostanę tę Herminę w swoje ręce! Nawet przy całej mojej ustępliwości nie radzę się jej do mnie zbliżać! Cóż ona najlepszego zrobiła z twojego młodego życia? Przez cały czas wegetowałaś jak wąż roślina w cieniu drakońskich zasad swej nieomyślnej ciotki Limbach. Jak tylko sobie o tym pomyślę, to czuję, jak krew uderza mi do głowy. Gdybym tylko mogła jakoś pomóc! Ale nie chcę zamećzać cię moimi zarzutami. Musimy pomyśleć o znalezieniu jakiegoś rozsądnego wyjścia. Niewątpliwie trzeba natychmiast zadepeszować, że jesteś u mnie. Może uda nam się jeszcze uniknąć niepotrzebnej sensacji. Nie chodzi mi przy tym o moją drogą szwagierkę bo jej nie żałuję zupełnie, ale o mego brata — on będzie się o

ciebie bardzo martwił.

Lisa skinęła głową.

— Wuj Karol był zawsze dla mnie taki dobry.

— Tak, tak, dziecko, wiem o tym. Karol jest zbyt dobry i zbyt słaby, w przeciwnym razie już dawno pokazałby zęby swojej żonie. A więc nadamy depezę, w której poprosimy twojego męża, żeby tu przyjechał.

Lisa zerwała się z miejsca, odpychając ciotkę gwałtownie.

— Nie, nie! Tylko nie to!

Pani Rahnsdorf ujęła jej dłoń, mówiąc z powagą:

— Przede wszystkim trzeba zadbać o to, żeby nie było w tej sprawie żadnych nieudomówień. Ponadto powinnaś dać swemu mężowi szansę usprawiedliwienia się. Być może jego wina jest mniejsza, niż ci się wydaje.

— Ależ ja go wcale nie obwiniam, ciociu Anno. W gruncie rzeczy nigdy mi właściwie nie powiedział, że mnie kocha. To ja byłam na tyle naiwna, że uznałam prośbę o moją rękę za konsekwencję jego uczuć. W stosunku do mnie był zawsze dobry i uprzejmy, a ja odbierałam to jako miłość. Jestem przecież tak niedoświadczona w tych sprawach. Nie mam więc prawa oskarżać Ronalda, a on nie potrzebuje się przede mną tłumaczyć.

Sądzę jednak, że stosunki między wami powinny zostać jak najszybciej unormowane. Zgodnie z prawem jest teraz twoim mężem i może od ciebie wymagać powrotu.

Lisa załamała rękę.

— Nie, nie — nie wolno mu!

— Niestety, ale wolno mu. Czy jednak skorzysta z tego prawa, tego nie wiem. Nie znam go.

— Nie, on tego nie uczyni.

— To właśnie musimy z nim omówić. W każdym razie poprosimy go, żeby tu przyjechał. Jeżeli ty nie masz ochoty czy siły przeprowadzić z nim tej rozmowy, zrobię to w twoim imieniu. Podczas jego pobytu w Rahnsdorf możesz mu się nie pokazywać. Trzeba go tu jednak zaprosić już choćby ze względu na ludzi. Jak tylko się nieco uspokoisz i będziesz w stanie się z

nim spotkać, to przyjedzie jeszcze raz i wówczas osobiście podejmiecie wiążące was oboje ustalenia. Czy ta forma negocjacji będzie ci odpowiadać, Liso?

— Tak, ciociu, gdybyś tylko mogła to dla mnie zrobić!

Pani Rahnsdorf uśmiechnęła się.

— Gdybym tego nie zrobiła z największą radością, oznaczałoby to, że moja miłość do ciebie zaczyna się ulatniać.

— Ale ciotka Hermina nie przyjedzie i nie będzie starała się zabrać mnie z powrotem do siebie? — zapytała trwożliwie Lisa.

Ciotka Anna wyprostowała się, gotowa podjąć walkę.

— Niech no tylko się tu pojawi, to dopiero się zdziwi!

— Nie dopuścisz do tego, żeby mnie zabrała, prawda? — błagalnie odezwała się Lisa.

— Nie, mój ty strwożony zajączku. Bez twojej zgody nikomu nie pozwolę zabrać cię z Rahnsdorf. Obiecuję ci to. Bądź więc zupełnie spokojna i zaufaj mi. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby dryfujący statek twego szczęścia znowu złapał wiatr w żagle. Jesteś taka młoda. W twoim wieku rany zablizniają się szybko.

— Kochana ciociu, jak ja ci się odwdzięczę?

Wystarczy, żebyś choć trochę mnie kochała, moja ty mała, wymęczona przez burzę jaskółeczko! A teraz spokojnie sobie zjesz i napijesz się kawy. Jesteś tak przemarznięta, że gotowa jesteś mi się tu jeszcze rozchorować. Nie mogę przecież do tego dopuścić.

Pani Rahnsdorf podniosła się i trzykrotnie potrząsnęła dzwonkiem w charakterystyczny dla siebie sposób.

— To znak dla panny Birkner. Zaraz ją poznasz — powiedziała z uśmiechem.

Po chwili w pokoju zjawiała się stara, siwa kobieta. Była tęgiej, choć kościstej postury, trzymała się nadzwyczaj prosto i sprawiała wrażenie jeszcze silnej i energicznej, chociaż musiała mieć już grubo po sześćdziesiątce. Szara sukienka o najprostszym kroju była częściowo przykryta obszernym, śnieżnobiałym fartuchem. Na głowie nosiła czepek. Potężny pęk kluczy

przy fartuchu zdradzał jej zajęcie. Jej żywe, błyszczące, czarne oczy wyglądały ciekawie spod siwych brwi. Zaraz też obrzuciła krytycznym spojrzeniem nogi swojej chlebobawczym.

— Ależ, łaskawa pani, biega pani po dywanie w tych umorusanych buciorach?! Ciągle jeszcze nie przebrała pani butów?! Przecież one muszą być przemoczone!

Pani Rahnsdorf roześmiała się.

— Widzisz, moje dziecko, masz właśnie najlepszy dowód, jak krótko panna Birkner nas tutaj trzyma. Gdyby ci ktoś powiedział, że to ja jestem panią na włościach Rahnsdorf, nie wierz mu. Prawdziwy tyran stoi właśnie przed tobą. Wobec niego i ja jestem bezsilna. Marianno, znowu miałaś imponujące wejście.

Pani Rahnsdorf mówiła do wszystkich swoich podwładnych, od zarządcy do chłopca stajennego, po imieniu. Nigdy nie robiła odstępstw od tej reguły. Robiła to dla wygody.

Panna Birkner przyniosła tymczasem parę ciepłych butów i bez ceregieli ściągnęła swej pani ubłocone kozaczki.

— A teraz proszę prędko założyć te buty. W przeciwnym razie nabawi się pani kataru albo grypy. Cóż za lekkomyślność! Z grypą nie ma żartów! — karciała dziedziczkę, nie pozwalając się zbić z tropu.

— Wszystkie choroby łamią nas zawsze jednocześnie. To z sympatii — tak przynajmniej uważa panna Birkner. No i ze strachu przed chorobą gnębi mnie ciągle ciepłymi butami i herbatą z bzu. Teraz jednak podejdź tutaj do nas, Marianno. Spójrz, jakim podarkiem obdarował nas hojny Bóg. Oto moja bratanica, Lisa, za którą tak zawsze tęskniłam. Przyjrzyj się dobrze tej młodej osóbcie. Będziemy teraz mieć kim się opiekować i co głaskać. Możesz ją tyranizować i tuczyć do woli, zła czarownico. Znasz się na tym jak nikt inny.

Panna Birkner obrzuciła dziewczynę badawczym spojrzeniem.

— To jest panna młoda? I co, ona tu u nas zostanie? A gdzie się podziewa jej mąż?

— Marianno, ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Wy tłumaczę ci wszystko w swoim czasie. A teraz zagotuj wody na kawę — ale ma to być

najsmaczniejsza kawa, jaką kiedykolwiek przyrządziłaś, jasne?

Panna Birkner pochyliła się nad Lisą. Z wielką delikatnością, o jaką nikt nie podejrzewałby pewnie tej dużej, rubasznie wyglądającej kobiety, dotknęła bladej twarzyczki dziewczyny i przysunęła ją do siebie.

— Kawa? Dałabym raczej spokój kawie, łaskawa pani. Osobom, które mają gorączkę, nie podaje się takich napojów. A ta młoda dama ponad wszelką wątpliwość gorączkuje.

Pani Rahnsdorf zadrżała.

— Marianno, czy chcesz mnie przyprawić o zawał serca?

— Nonsens, łaskawa pani. Proszę popatrzeć na jej oczy. Puls również odbiega od normy.

Pani Rahnsdorf pochyliła się troskliwie nad Lisą.

— Dziecko, zdaje się, że panna Birkner ma rację. Jak się czujesz? Boli cię coś?

— Jestem zmęczona, kochana ciociu. A ręce i nogi mam takie ciężkie, jakby były z ołowiu. Już od wczorajszego wieczora.

— To dziecko musi się czym prędzej położyć do łóżka, łaskawa pani, to oczywiste.

— Biedna Lisa, teraz jesteś skazana na pannę Birkner i tę jej herbatkę z bzu — próbowała żartować pani Rahnsdorf.

Lisa uśmiechnęła się słabo.

— Nie obawiam się jej. Ma dobroduszne spojrzenie i delikatną rękę — powiedziała cicho, głaszcząc przy tym kilkakrotnie dłoń służącej.

Panna Birkner wzruszyła się.

— Chciałabym jak najszybciej przygotować pokój dla panienki, łaskawa pani. Myślę o tym sąsiadującym z pani sypialnią.

— Tak, tak, Marianno, zgadzam się. Jak tylko będzie gotów, proszę tu przyjść.

Panna Birkner wybiegła z salonu niemal jak dwudziestolatka. Anna Rahnsdorf pogładziła Lisę po policzkach. Przejęła się bardzo gorączką swej bratanicy.

— Moje biedne dziecko, tego wszystkiego było dla ciebie za wiele. Musimy cię teraz położyć na kilka dni do łóżka. Wrócisz szybko do zdrowia i

wypoczniesz sobie. Już my z panną Birkner o to zadbamy! To dusza człowiek. Służyła w Rahnsdorf, kiedy byłam jeszcze dorastającą dziewczyną. Możesz mieć do niej całkowite zaufanie i pewność, że tego zaufania nigdy nie nadużyje. Udaje osobę rubaszną i bezceremonialną, ale w rzeczywistości jest czuła i taktowna.

— Jakże ja jestem szczęśliwa, że jestem tutaj z tobą, ciociu Anno — westchnęła Lisa.

Pół godziny później leżała już w wygodnym łóżku w jasnym, przytulnie urządzonej pokoju, zapadając powoli w długi, odprężający sen.

Podczas gdy panna Birkner czuwała nad Lisą, pani Rahnsdorf układała treść depeszy do swego brata, którą następnie poprzez umyślnego posłała do urzędu telegraficznego.

VII

W czasie kiedy Lisa przybyła do Rahnsdorf, Ronald Hechingen i Kurt Mallwitz siedzieli przy śniadaniu, które polecili przynieść sobie do apartamentu Ronalda. Pan młody wyglądał na mocno strapionego, a jego pobladła twarz zdradzała, że minioną noc nie przyniosła mu zbyt wiele kojącego snu.

Zaraz po śniadaniu obaj panowie wyjechali z hotelu krytym powozem. Ronald wręczył portierowi wyjątkowo wysoki napiwek, przypominając:

— Tylko nikomu ani słowa o tym, że wyjeżdżam z żoną dopiero dzisiaj, zgoda?

Portier zapewnił go o swej dyskrecji.

Wsiadając Mallwitz głośno podał powożącemu adres pałacu Limbach, dbając o to, by portier hotelowy to usłyszał. W drodze jednak dorożkarz otrzymał prawdziwe instrukcje, co do celu ich podróży. Zmienił więc kurs, skręcając w ulicę Północną, by po kilkudziesięciu metrach zatrzymać się przed niewielkim hotelikiem drugiej kategorii. Hechingen wynajął tutaj pokój pod nazwiskiem Stolle. Przed dwunastą Mallwitz nie chciał niepokoić państwa Limbach, gdyż wczorajszego dnia z pewnością późno wrócili do domu, a poza tym rozsądnie było poczekać jeszcze na wiadomość od Lisy, która powinna dzisiaj nadejść.

Obaj przyjaciele siedzieli więc w chłodnym pokoju, paląc papierosa za papierosem i rozważając sytuację. Rozmawiali przede wszystkim o środkach, jakie należało podjąć, żeby zachować wszystko w tajemnicy.

Konsulowa wstała tego dnia wyjątkowo wcześnie, mimo iż istotnie położyła się bardzo późno. Wczorajszej nocy, w drodze z hotelu do domu, nieoczekiwanie doszło do sceny pomiędzy nią a jej mężem. Karol Limbach po raz pierwszy od wielu lat porzucił rolę pasywnego uczestnika wydarzeń i zasypał ją gradem zarzutów. Ucieczka Lisy pozbawiła go komfortu nie podejmowania decyzji i wypłoszenia z tej przytulnej kryjówki, jaką był spo-

kój ducha gwarantowany nieuczestniczeniem w sprawach rodzinnych. Ostro zaprotestował więc przeciwko nieuzasadnionym, jego zdaniem, obelgom, miotanym przez swą małżonkę pod adresem jego bratanicy.

— Lisa nie jest wcale żadna przygód i jeśli cokolwiek skłoniło to ciche, skromne dziecko do takiego kroku, musiało być to coś poważnego, z czym nie mogła sobie inaczej poradzić. Któż to wie, co się za tym kryje. Wyrzucam sobie, że nie troszczyłem się o nią w większym stopniu. Ty bowiem nigdy nie rozumiałaś jej i nie zdobyłaś jej zaufania. Gdyby ci ufała, to musiałabyś się o tym dowiedzieć. Przynajmniej powinnaś była zauważyć, że coś jest nie tak. Zawsze uważałem, że za bardzo ją zastraszałaś. No i to właśnie ty wywierałaś na nią taki nacisk, żeby jak najszybciej wyszła za mąż.

Na te słowa Hermina aż zatrzęsała się ze złości. Opanowała się jednak, ponieważ każde okazanie uczuć uważała za plebejski obyczaj.

— To śmieszne — powiedziała majestatycznie. — Ona była przecież w Ronaldzie tak bardzo zakochana, że często szokowała mnie ostentacją swoich uczuć. Jej skandaliczna ucieczka dowodzi przede wszystkim tego, jak ważne było trzymanie na wodzy jej zachowań. I ty twierdzisz, że ona jest skromna! Bóg raczy wiedzieć, jakie niespodzianki nam przyszykowała. W ten sposób odwdzięcza się za nasze poświęcenie i wysiłek włożony we właściwe jej wychowanie! Gdybym przypuszczała, że tak się zachowa, nigdy bym się nią nie zajęła!

— I tak byłoby najlepiej! Powinnaś była pozostawić kształcenie Lisy mojej siostrze. Zaoszczędziłabyś sobie tyle trudu, a teraz nie stawialibyśmy sobie wzajemnie żadnych zarzutów. Nie byłoby mowy o dobrym czy złym wychowaniu.

Wspomnienie szwagierki tylko dołało oliwy do ognia i konsulowa ledwie mogła powstrzymać się przed wybuchem

— Ja ci nie stawiam żadnych zarzutów — powiedziała ostro. — Wyrażam jedynie daleko idącą wątpliwość, czy twoja szacowna siostra lepiej poradziłaby sobie z wychowaniem Lisy niż ja.

Po wypowiedzeniu tych słów pani Limbach ostentacyjnie milczała, demonstrując, jak bardzo czuje się urażona.

Również i teraz, przy śniadaniu, siedziała naprzeciw swego męża z lodowatym, zawziętym wyrazem twarzy. On jednak dzisiaj zdawał się tego nie zauważać. Energicznie przeglądał pocztę poranną w nadziei znalezienia tam wiadomości od Lisy.

Codzienną gazetę czytał wyjątkowo pobieżnie. Czuł się fatalnie. Miał wrażenie, że brakuje mu czegoś, co zawsze koło niego było, a czego wtedy nie dostrzegał. Brakowało mu pewnych drobiazgów, którymi otaczała go Lisa. Przede wszystkim jednak nie było tu jej. Nie było jej ujmującego, nieśmiałego uśmiechu. Zależało mu na tym dziecku bardziej, niż chciał to przyznać. Jej obecność działała jak promienie słońca, budując wokół atmosferę domowego ciepła i stanowiła swoiste antidotum na końską dawkę mrozu serwowaną niezmiennie przez żonę. Teraz, kiedy słońce przestało świecić, powietrze było lodowate. Także Karol Limbach miał wrażenie, że Lisa bardzo kochała Ronalda Hechingena i wydawało mu się, iż traktowała to małżeństwo jak najcudowniejszą rzecz w swym życiu. Ronald za to był człowiekiem dobrze urodzonym, dumnym i pan Limbach raczej wątpił w to, by Lisa była jego wielką namiętnością. Hechingen potrzebował niewątpliwie żony bogatej. Pan Limbach był przekonany, że o doprowadzenie do zawarcia tego związku usilnie zabiegała jego własna małżonka. Jeszcze bowiem zanim w ich domu pojawił się ów młodzieniec, Hermina dość często konferowała z jego matką. Trzeba jednak przyznać, że on sam także bez wahania pobłogosławił to małżeństwo, ponieważ cenił Ronalda i uważał, że u jego boku Lisa będzie miała zagwarantowaną pewną i spokojną przyszłość. Hechingen nie był wszakże ani bawidamkiem, ani karciarzem. Poza tym gorąco zapewniał ich — a nie było dotąd powodu, by nie wierzyć jego zapewnieniom — że dołoży wszelkich starań, by dać Lisie szczęście. Czy jednak między nowożeńcami nie doszło do jakiegoś nieporozumienia? Niestety, nie mógł osobiście porozmawiać z Ronaldem, nie wzbudzając przy tym ogólnego zainteresowania. Musiał się na razie zadowolić tym, co przekazywała mu żona.

Najważniejsze jednak dla niego było, czy Lisie nic się nie stało i czy schroniła się w bezpiecznym miejscu. Nie wychodził więc dzisiaj z domu, mając nadzieję, że nadejdzie od niej wreszcie jakaś wiadomość. Ignorował przy tym nadętą minę swojej połowicy. Zazwyczaj, kiedy czuła się urażona i dąsała się na niego, próbował jakimś żarciem rozładować sytuację, ponieważ nie znosił domowego napięcia. Teraz jednak nie przejmował się tym zupełnie i to irytowało Herminę jeszcze bardziej

Ona również była bardzo niespokojna. Pochłaniała ją jedna myśl: za wszelką cenę trzeba uniknąć skandalu. Była rozgniewana na Lisę, nie mogła pojąć, dlaczego jej metody wychowawcze nie przyniosły pożądaných efektów. Jak Lisa mogła w ogóle coś takiego zrobić?! Cóż to za gminne, plebejskie zachowanie?! Widać jednak, że braku w żyłach szlacheckiej krwi nie można nadrobić nawet najbardziej wytwornym wychowaniem. Teraz Herminie von Schlorndorf groził w podzięce skandal!

Milczenie państwa Limbach przedłużało się. Żadne z nich nie paliło się do nawiązania rozmowy. W oczekiwaniu na wieści stawali się coraz bardziej nerwowi. Wreszcie, parę minut przed dwunastą, nadeszła depesza do pana Limbacha od jego siostry, hrabiny Rahnsdorf. Adresat odebrał ją pośpiesznie, energicznym ruchem otworzył i przeczytał:

Lisa przyjechała do Rahnsdorf. Prosi o wybaczenie. Na razie zostanie tutaj. Może uda się uniknąć skandalu. Oczekuję tu Hechingena w celu wyjaśnienia sytuacji. Szczegóły podamy w liście. Serdeczne pozdrowienia. Twoja siostra Anna.

Karol odetchnął z ulgą, czując, że opuszcza go napięcie. Podał depeszę żonie.

— Lisa jest na szczęście u mojej siostry — powiedział.

— Aha, no to teraz już wiem, komu mam zawdzięczać ten afront — zaśmiała się szyderczo konsulowa. — To jasne, że twoja siostra maczała

palce w tej ucieczce.

— Chyba nie wiesz, co mówisz, Hermino? Dlaczegoż Anna miałaby coś podobnego zrobić?

— Ja też tego nie wiem. W każdym razie, o ile dobrze pamiętam, na krótko przed ceremonią kościelną Lisa dostała list z Rahnsdorf, którego nie chciała mi pokazać. Teraz już rozumiem! Twoja siostra skłoniła Lisę do ucieczki, żeby mnie rozdrażnić i skompromitować. Wspaniale! Widzisz teraz, Karolu, jaką masz udaną siostrę.

— Nie pozwolę obrażać Anny! Nigdy nie uczyniła niczego, co byłoby niewłaściwe i upokarzało innych. Od tej strony znam ją doskonale. Nie pojmuję, jak możesz w ogóle wypowiadać tego typu oskarżenia!

— Ach tak, nie uczyniła nic, co byłoby niewłaściwe? A czy nie snuła za moimi plecami intryg, kiedy jeszcze byłam twoją narzeczoną? Muszę ci o tym przypominać?

Karol popatrzył spokojnie w zionące nienawiścią oczy żony.

— Anna i intrygi? Nie, ona nigdy nie znosiła niejasnych sytuacji. Powiedziała tylko szczerze, w twojej zresztą obecności, że nie powinienem się z tobą wiązać, bo jesteś oziębła i dla innych ludzi twoje serce jest zamknięte.

Konsulowa zaśmiała się nerwowo.

— Brzmi to niemal tak, jakbyś jej uwierzył. Czy sprawdziła się jej przepowiednia, że unieszczęśliwię cię? Czy nasze małżeństwo nie było wzorem harmonijnego i udanego związku?

Na twarzy Limbacha pojawił się ironiczny uśmiezek. Po chwili zastąpił go wyraz goryczy.

— Tak, tak. Jeśli tylko ustępowałem ci we wszystkim i bezapelacyjnie, wtedy panowała między nami harmonia. Robiłem to jednak wyłącznie dla świętego spokoju i muszę przyznać, że dając ci wolną rękę w wychowaniu Lisy, kierowałem się tym samym. Mimo to na każdym kroku czułem, jak tyranizujesz tę małą, tak jak i mnie. Nie, nie unoś się teraz honorem i daj mi się wreszcie wypowiedzieć — w końcu zdarza się to tak rzadko! Niestety nie nalegałem zbyt uporczywie, żebyś tej małej zostawiła choć trochę swobody, przyznaję. Ja również ponoszę więc winę za to, że Lisa nie ma do nas ani krzty zaufania. Co ją skłoniło do ucieczki stąd — dowiemy się

już niebawem. W każdym razie jednak widocznie nie miała innego wyjścia. Fakt, że na pozostawionej Ronaldowi kartce oświadcza, że zwraca mu wolność, oznacza, iż coś między nimi było nie w porządku. Musiało się wydarzyć coś na tyle ważnego, że Lisa posunęła się do takiej ostateczności. Robienie z tego zarzutu mojej siostrze jest niesprawiedliwe i niepoważne. Wina leży wyłącznie po naszej stronie, ponieważ to my nie potrafiliśmy ochronić Lisy w krytycznym momencie.

— Ja czuję się absolutnie niewinna — stwierdziła rozdrażniona konsuLOWA.

— A więc ciesz się swoim poczuciem niewinności. I nie mówmy już o tym. Zastanówmy się raczej, jak uniknąć skandalu. Trzeba szybko powiadomić Ronalda o miejscu pobytu Lisy. Jego to również nieco uspokoi. Zaraz też powinien udać się do Rahnsdorf, tak żeby nikt go tu nie widział. Co będzie dalej, to się okaże. Tymczasem nikt nie powinien nawet domyślać się, że nowożeńcy nie pojechali w podróż poślubną.

— Zapominasz, że pan Mallwitz również jest wtajemniczony w tę sprawę.

— Ronald z pewnością jest przekonany co do dyskrecji swojego przyjaciela, w przeciwnym razie nie wtajemniczałby go,

W tym samym momencie zaanonsowano przybycie Mallwitza.

Limbach wyszedł mu naprzeciw i serdecznie go pozdrowił. Pani konsuLOWA lekko skłoniła głowę, przybierając przy tym przesadnie uprzejmy wyraz twarzy i podała gościowi końce palców do ucałowania. Lata praktyki powodowały, iż nie było po niej zupełnie widać złości, która miotła się szczelnie zamknięta w jej wnętrzu. Jedyne jej usta były silniej zaciśnięte niż zazwyczaj.

— Bardzo dobrze, że pan przychodzi, panie Mallwitz — powiedział Limbach podekscytowany.

— Czy nadeszła spodziewana wiadomość? — spytał pospiesznie przybysz.

Konsul wręczył mu telegram. Mallwitz odetchnął z ulgą.

— Dzięki Bogu! Ronaldowi kamień spadnie z serca na wieść, że Lisa jest w bezpiecznym miejscu. Biedak jest w fatalnym nastroju.

Wierzmy panu. Jakże zresztą mogłoby być inaczej. Czy skorzysta pan z mojego powozu, żeby zanieść mu tę nowinę? Jadę bowiem właśnie do konsulatu i rad będę towarzyszyć panu w drodze do hotelu. Chętnie osobiście porozmawiałbym z Ronaldem, ale sam pan rozumie — jestem zbyt znaną osobistością i nie byłoby mądrze pokazywać się w publicznych miejscach.

— Przyjmuję z wdzięcznością pana propozycje, panie konsulu. Po drodze będziemy mogli spokojnie omówić kilka spraw.

— Doskonale. Proszę mi teraz wybaczyć, za kilka minut zejdę do pana. Muszę się przebrać, polecę też przygotować wóz.

Mallwitz został z konsulową sam.

— Łaskawa pani, pragnę skorzystać ze sposobności, by się z panią pożegnać.

— Opuszcza nas pan, panie Mallwitz?

— Dzisiaj wieczorem, łaskawa pani. Na popołudnie przyjąłem jeszcze zaproszenie do krewnych RONALDA i nie będę już miał okazji odwiedzić państwa.

— Zgodnie z ustaleniami matka i siostra RONALDA na razie nie powinny o niczym wiedzieć, tak?

— Naturalnie, już to pani obiecałem.

— A więc mogę panu całkowicie zaufać, panie Mallwitz?

— Jak najbardziej, łaskawa pani. Mam przy tym nadzieję, że cała ta sprawa wkrótce się skończy, ku ogólnemu zadowoleniu i że Lisa odnajdzie szczęście u boku RONALDA.

Kiedy tylko konsul był już gotów, Mallwitz pożegnał się z panią LIMBACH i szybko opuścił pokój. Pan LIMBACH podążył za nim, rezygnując tym razem z próby udobruchania swojej żony. Ta odprowadziła go chłodnym wzrokiem do drzwi, nie zadając sobie trudu, by odpowiedzieć na jego wyjątkowo suche dzisiaj „do widzenia”. Za bardzo była przyzwyczajona do triumfów, by zniżać się tylko do roli małżonki. Kiedy powóz ruszył, konsulową podeszła do okna i wyjrzała za nim. Wściekłość dławiała jej gardło.

Ostatnie zachowania jej męża odbierała jako bezprzykładne upokorzenie. Była przekonana, że za tym wszystkim stoi Anna Rahnsdorf i jej nienawiść do szwagierki wzmagała się z każdą chwilą. Nie mogło jej spotkać nic gorszego niż ucieczka wychowanki do Rahnsdorf. Jej serce przepelniał gniew i właśnie Lisa była tego pierwotną przyczyną.

TLR

VIII

Anna Rahnsdorf była poważnie zaniepokojona stanem Lisy. Po południu gorączka wzrosła, a wieczorem dziewczyna zaczęła uskarżać się na bóle w piersi. Henryk musiał więc szybko zaprzęgać i jechać po doktora. Panna Birkner próbowała tymczasem swych wypróbowanych domowych sposobów kuracji.

Lisa leżała spokojnie z apatycznym wyrazem twarzy, tylko momentami przewracała się nagle z boku na bok, wydając przy tym jęki przerażenia. Jednak gdy spostrzegła przed sobą pełne dobroci oblicze ciotki Anny albo życzliwe oczy Marianny, uspokajała się i próbowała nawet słabo się uśmiechać. Najpierw hrabina Rahnsdorf myślała, że chodzi tu o lekkie przeziębienie, które poprzez głęboką depresję psychiczną znalazło dostęp do ciała dziewczyny. Kiedy Henryk wyjechał po lekarza, weszła po cichu na górę do pokoju Lisy.

Panna Birkner podniosła się z krzesła.

— Proszę tu przez chwilę zostać, łaskawa pani. Ja muszę przygotować kolację dla ludzi — szepnęła.

Pani Rahnsdorf skinęła głową.

— Idź, Marianno i postaraj się o to, żeby wszyscy zachowywali się cicho. A gdy tylko zjawi się doktor Streubel, przyprowadź go tu natychmiast, rozumiałaś?

— Tak. Proszę się nie niepokoić, łaskawa pani. Tak młode ciało szybko się wykuruje. Jak tylko ludzie się już najedzą, zastąpię panią, żeby i pani mogła w spokoju zjeść.

— Dobrze, moja ty poczciwa duszo. To dziecko musi wydobrzyć i nabrać rumieńców.

— No, oczywiście, już my ją odpowiednio odkarmimy. Na każdą przypadłość musi się przecież znaleźć odpowiednie lekarstwo.

Hrabina poklepała służącą po ramieniu, wskazując jej drogę do drzwi. Gdy panna Birkner wyszła, zbliżyła się do łóżka i zmieniła kompres na

rozpalonym czole Lisy. Dziewczyna spojrzała na nią półprzytomnie.

— To ty, ciociu Anno?

— Tak, moja ty jaskółeczko. Czy potrzebujesz czegoś? Masz może jakieś życzenie?

— Pić. Chce mi się pić.

Pani Rahnsdorf przysunęła jej do ust szklanekę z napojem cytrynowym i pomogła jej się nieco unieść. Lisa wypła kilka łyków i z powrotem opadła na poduszkę.

— Co cię boli, Liso?

— Bardzo boli mnie głowa i tutaj — dziewczyna wskazała dłonią na klatkę piersiową — przy oddychaniu.

— Bądź dzielna. Zaraz przyjedzie lekarz i da ci coś przeciwbólowego. Niechybnie przeziębilaś się w czasie podróży do mnie. Leż teraz spokojnie. Już my się postaramy, żebyś szybko wróciła do zdrowia.

Twarz pani Rahnsdorf drżała ze wzruszenia. Od chwili, gdy zjawiała się Lisa, czuła się, jakby topniała w środku. Wielką przyjemność sprawiało jej odkrywanie w sobie coraz to głębszych pokładów czułości. Jednocześnie jednak trwożyła ją myśl, że choroba Lisy może być poważna.

Po godzinie przyjechał doktor. Przywitał się z panią hrabiną jak ze starą dobrą znajomą. Kilkakrotnie bywał już wzywany do Rahnsdorf i dziewczynka wiedziała doskonale, jakim jest sumiennym i doświadczonym lekarzem. Siedziała właśnie przy kolacji i przyjęła go bez zbędnych ceremonii. W paru krótkich słowach zrelacjonowała mu, jak mogło dojść do choroby jej bratanicy i jakie są objawy. Przemilczała Przy tym oczywiście sprawę przypadłości sercowych. Doktor Streubel gładził się w milczeniu po brodzie, zerkając na nią od czasu do czasu sponad szkieł swych złożonych okularów. Przeszli do pokoju Lisy.

Lekarz zbadał ją dokładnie, po czym ostrożnie ułożył ponownie w pościeli. Na koniec mrugnął do niej, uśmiechając się jowialnie.

— No, moja panno, skończyliśmy. Trochę lekkomyślności w ubiorze na tak chłodną i wilgotną marcową porę i oto mamy przeziębienie. Teraz trzeba będzie za karę kilka dni poleżeć w łóżku, z gorączką i drobnymi dolegliwościami. Ale bez obaw — wkrótce po chorobie nie będzie już śladu,

jeśli tylko będzie panna grzeczna.

Lisa ułożyła usta do uśmiechu. Cóż znaczyły fizyczne dolegliwości wobec bóleści serca! Lekarz zwrócił się teraz do panny Birkner, która stała u wezglowia łóżka.

— Panno Marianno, może pani teraz położyć dziewczynie kompres na piersi. Wie pani, o co mi chodzi? Tak jak to robiliśmy ostatnio ze starym Gustawem: zmieniać co dwie godziny, jeśli chora nie śpi, a gdy zaśnie, zostawić. — Doktor Streubel rozejrzył się w poszukiwaniu pani Rahnsdorf. — A łaskawą panią zabieram ze sobą na dół. Nie skończyła pani przecież jeszcze kolacji.

— Tak, tak, niech pan dobrze przypilnuje, żeby pani hrabina wszystko zjadła. Już ja sobie z tymi kompresami poradzę.

— Może i ja coś zjem. W towarzystwie każdy posiłek lepiej smakuje. Dobranoc, młoda damo! Jutro rano do ciebie zajrzę i dowiem się, czy byłaś grzeczna.

Znowu puścił do Lisy oko i wyszedł wraz za panią Rahnsdorf. Ta zbyt dobrze znała doktora Streubela, by uwierzyć, że wszystko wyglądało tak różowo, jak to przedstawił w obecności chorej. Dopiero w jadalni obrzuciła go pytającym spojrzeniem.

— No więc, panie doktorze?

— Cóż, ma pani rację. Nie wolno tej sprawy brać zbyt lekko. Niestety nie jest to zwyczajne przeziębienie, lecz zapalenie płuc, łaskawa pani. Tylko proszę się nie przerażać! Młodzi ludzie mają w sobie mnóstwo sił witalnych. Proszę teraz usiąść i chwilę poczekać. Wypiszę receptę, którą należy jak najszybciej zrealizować, a potem dotrzymam pani hrabinie towarzystwa przy kolacji, jak to obiecałem pannie Birkner.

Doktor pomógł usiąść przy stole nieco zmartwiałej pani Rahnsdorf, po czym udał się do salonu, by tam wypisać receptę. Gdy tylko skończył, niezwłocznie posłał do apteki po niezbędne specyfiki i wrócił do jadalni.]

W czasie posiłku dawał hrabinie wskazówki, jak powinna postępować z chorą.

Gdy lekarz wyjechał, pani Anna poszła na górę i poleciła panie Birkner położyć się już spać. Ta oczywiście protestowała, bo chciała jako pierwsza objąć nocną wachtę, ale hrabina stanowczo jej odmówiła.

— Idź już do łóżka, Marianno. Jutro rano mnie zastąpisz. Pozwól, że dzisiaj ja zostanę przy dziecku. I tak nie mogłabym zasnąć, a przecież wystarczy, żeby tylko jedna z nas była na posterunku.

Panna Birkner spojrzała na swą panią spode łba.

— Skoro tak, to idę. Dzisiaj postawiła pani na swoim, ale jutro moja kolej.

Pani Rahnsdorf została więc sama z chorą Lisą. Było jej ciężko na sercu, ale dziękowała niebiosom, że dziewczyna znalazła się właśnie u niej, gdzie będzie miała zapewnioną najtroskliwszą opiekę. Lisa leżała w poduszkach jak małe, bezbronne dziecko. Była zdana tylko na pomoc swej ciotki, której serce przepełnione było nie spełnioną nigdy matczyną miłością. Przez te wszystkie lata nie znalazła się żadna osoba, którą mogłaby nią obdarzyć. Własnego dziecka Bóg jej nie dał, chociaż modliła się o to gorliwie, uważając zawsze, że dziecko jest największym skarbem człowieka. Bóg jednak nie pozwolił jej być matką! Mimo to była szczęśliwa, że chociaż dzięki córce swego zmarłego brata może zaznać uczucia matczynej miłości. Nocne czuwanie nie nużyło jej, gdyż ciągle była podekscytowana rolą, którą właśnie odgrywała. Wydawało jej się, że te wszystkie wzniosłe uczucia, które ją w młodości rozpały, już przeminęły. Myliła się jednak.

Z czułością przypatrywała się wąskiej, wymęczonej twarzyczce. Lisa leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami. Nie spała jednak — co pewien czas szeptała niewyraźnie pojedyncze słowa, a raz nawet krzyknęła, wzywając RONALDA i jęcząc, coraz ciszej wymawiała jego imię. Najwyraźniej bredziła w gorączce.

Pani Rahnsdorf zmieniła kompres na czole dziewczyny. Biedne dziecko! Cóż ona musiała od wczoraj przeżyć! W jak okropnym nastroju jechała tu do niej! Ślubowała w myślach zrobić wszystko, co w jej mocy, żeby Lisa wróciła do zdrowia fizycznego i psychicznego. Być może znajdzie się

jakieś zadośćuczynienie za całą tę krzywdę, którą wyrządzili jej inni.

TLR

IX

Następnego ranka nadeszły dwa telegramy. Pierwszy był od Karola Limbacha i zawierał następującą treść:

Jestem zadowolony, że Lisa jest pod twoją opieką. Udało się uniknąć rozgłosu. Hechingen został powiadomiony, wkrótce do was przyjedzie.

Czekam na szczegóły. Serdecznie pozdrawiam. Twój brat Karol.

Drugi telegram donosił w paru słowach o przyjeździe Ronalda południowym pociągiem.

Lisa wyglądała trochę lepiej niż poprzedniego wieczora, a temperatura nieco spadała.

— Czy to są wiadomości z domu? — zapytała, kiedy zobaczyła depesze w ręku ciotki.

— Tak, moje dziecko.

— Czy one są... bardzo złe?

— Nie, nie, uspokój się. Szczęśliwie udało się uniknąć skandalu.

Lisa złożyła ręce jak do modlitwy.

— Dzięki Bogu! A więc nie splamiłam jego nazwiska — powiedziała cicho.

— Co? I tym się tak gryzłaś?

— Bardzo.

— Ale teraz już jesteś spokojna, tak?

— Tak, ale powiedz mi jeszcze jedno: czy Ronald przyjedzie?

Ciotka zastanawiała się przez chwilę.

— Nie powinnaś się denerwować i najlepiej byłoby, gdybyś o tym nie myślała do czasu, aż wyzdrowiejesz.

— Jeszcze tylko to mi powiedz, ciociu Anno! — prosiła Lisa. — Będę spokojniejsza, wiedząc, że przyjedzie, żeby naszą sytuację wyjaśnić.

— A więc: przyjedzie.

— Kiedy?

Pani Rahnsdorf pomyślała, że lepiej będzie dla Lisy, jeśli nie będzie tego dokładnie wiedziała. Mogłoby to ją niepotrzebnie niepokoić.

— Nie zdradzę ci tego, Liso. Przyjedzie w najbliższych dniach. Dowiesz się, kiedy już wszystko z nim omówię. Do tego czasu nie powinnaś się tym emocjonować.

— Ale obiecaj mi, że nie urazisz go i że nie będziesz mu robiła żadnych zarzutów.

— Dziecko, twoja ciotka przeżyła znacznie więcej niż ty i nie jest wcale taka pochopna w ocenianiu ludzi, a tym bardziej w ich strofowaniu. Poza tym nigdy nie uraziłabym kogoś, kto cieszy się twoją miłością.

Oczy Lisy zrobiły się wilgotne.

— Ach, jaka ty jesteś dobra i uczynna, ciociu.

— Jesteś więc całkowicie odmiennego zdania niż twoja ciotka Hermina, moja ty jaskółeczko.

— Ona cię przecież nie zna.

Pani Rahnsdorf roześmiała się serdecznie.

— A czy ty jesteś na tyle doświadczona, by na podstawie parogodzinnej znajomości wysnuć o mnie tak pozytywną opinię?

— Czuję, że mam rację, ciociu Anno.

— Dobrze, dobrze. Nie rozmawiajmy jednak zbyt długo. Powinnaś wypoczywać.

Lekarz, który przyjechał zgodnie z zapowiedzią, był zadowolony ze stanu Lisy. Choroba zdawała się mieć normalny przebieg. Była duża nadzieja, że pacjentka wyzdrowieje. Jednak dopóki utrzymywała się wysoka gorączka, niebezpieczeństwo zupełnie nie minęło. Taki stan mógł trwać jeszcze przez co najmniej kilka dni. Doktor Streubel był zbyt doświadczonego lekarzem, żeby lekceważyć zagrożenie, ale też nie dramatyzował, dodając otuchy pani Rahnsdorf, która miała do niego pełne zaufanie.

Po obiedzie hrabina wysłała swój powóz na stację po Ronalda Hechingena. Wcześniej uprzedziła panią Birkner, że dziewczyna o tej wizycie nic nie powinna wiedzieć. Uznała jednak, że powinna wtajemniczyć w rodzinny problem swoją wierną służącą. Od tej chwili Marianna patrzyła na chorą ze współczuciem.

Tuż przed przybyciem Ronalda panna Birkner weszła do pokoju Lisy, przy której siedziała pani Rahnsdorf.

— Łaskawa pani, nadzorca przysyła wiadomość z pola. Musi pani zejść, żeby obejrzeć ten nowy siewnik. Proszę iść ze mną. Poleciałam w pani imieniu osiodłać konia. Może pani spokojnie jechać, ja zajmę się Lisą.

Hrabina podniosła się.

— Tak, dziecko, nie ma wyjścia. Muszę cię na pewien czas opuścić. Zo-

stawiam cię pod okiem Marianny. To może potrwać godzinę, a może i dwie.

Lisa pogłaskała jej dłoń.

— Idź, ciociu. Strasznie mi przykro, że zabieram ci tyle czasu i odrywam cię od obowiązków.

— A mnie wcale nie jest z tego powodu przykro, Liso. Nie ma nic przyjemniejszego, niż przebywanie z tobą. Teraz jednak przekazuję pieczę nad tobą naszej wiernej pannie Birkner. Spróbuj zasnąć pod moją nieobecność.

— Postaram się.

Anna Rahnsdorf pochyliła się i ucałowała bratanicę w policzek. Poklepała pannę Birkner po ramieniu, znacząco spoglądając jej w oczy, po czym wyszła.

Na dole ani nie było osiodłanego konia, ani też hrabina nie zamierzała przebierać się na przejażdżkę. Poszła do salonu i usiadła cicho przy oknie w oczekiwaniu na gościa. Układała w myślach słowa, których miała zamiar użyć w rozmowie z Ronaldem. Była bardzo ciekawa, jakie zrobi na niej wrażenie. Kiedy zobaczyła nadjeżdżający powóz, podniosła się i zaczęła bezwiednie krążyć po pokoju. Była niespokojna, zdając sobie sprawę, że od jej zachowania i prowadzenia rozmowy może zależeć przyszłość Lisy.

Powóz zatrzymał się przed głównym wejściem. Pani Rahnsdorf nie mogła się już doczekać widoku Ronalda i niecierpliwie podeszła do okna, by ukradkiem wyjrzeć przez przysłonięte okno. Zobaczyła przystojnego, młodego mężczyznę w eleganckim stroju podróżnym. Twarzy nie mogła z tej odległości rozpoznać, tym bardziej że lekko się odwrócił, żeby porozmawiać ze służącym, który zamykał właśnie drzwiczki powozu.

Po chwili ów służący wprowadził gościa do pokoju. Pani Rahnsdorf odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z młodzieńcem. Ten pokłonił się jej elegancko i przez chwilę oboje przyglądali się sobie w milczeniu.

— Witamy, panie Hechingen — powiedziała hrabina, podając Ronaldowi dłoń, a on uniósł ją lekko w kierunku ust.

— Pragnę wyrazić moje szczere podziękowanie za to, że pozwoliła mi pani tu przyjechać.

Pani Rahnsdorf spojrzała badawczo w jego bladą, ale wyrazistą twarz. Z

łatwością dostrzegła, że był bardzo poruszony. Wydał się jej sympatycznym człowiekiem, a wiedziała z doświadczenia, że pierwsze wrażenie najczęściej nie myli. Spokojnym, choć stanowczym głosem poprosiła go, by usiadł.

— Wdzięczność jest więc obopólna, ponieważ i ja z satysfakcją odbieram tak szybki pana przyjazd w odpowiedzi na naszą prośbę.

— Było to podyktowane dręczącym mnie niepokojem. Jakże mam dziękować łaskawej pani, że przyjęła moją żonę pod swą pieczę!

— Lisa jest przecież także moją bratanicą. Jest mi przy tym bliższa niż ktokolwiek inny, chociaż zrzędzeniem losu nie dane nam było być razem.

Twarz Ronalda wyrażała niewysłowioną wdzięczność.

— Gdyby pani wiedziała, jak ciężki kamień spadł mi z serca, kiedy otrzymałem wiadomość od pani! — wyrzucił z siebie jednym tchem.

Anna Rahnsdorf patrzyła na niego ze współczuciem. Jego słowa były z pewnością szczerze.

— Wierzę, że bardzo się pan tym wszystkim przejął. Lisa nie zastanowiła się nad konsekwencjami swego czynu. Po prostu uciekła jak dziecko i przerażała się dopiero wtedy, gdy zwróciłam jej uwagę, że może wywołać skandal. Pismo od mojego brata uspokoiło nas. Jak udało się wam uniknąć rozgłosu?

Ronald opowiedział w kilku zdaniach, co wydarzyło się od chwili ucieczki Lisy. Zaraz jednak wstał i podszedł do hrabiny.

— Proszę mi wybaczyć, szanowna pani, ale nie jestem już w stanie znieść dłużej niepewności. Gdzie jest Lisa? Proszę mi pozwolić z nią porozmawiać. Nie wiem, czy moja żona zdradziła pani powód swej ucieczki. Ośmielam się w to wątpić, skoro przyjęła mnie pani tak ciepło. Zdaję sobie doskonale sprawę, że to ja ponoszę winę za wszystko, co się wydarzyło i śpieszno mi prosić Lisę o przebaczenie. Jestem gotów przyjąć każdą pokutę. Proszę pozwolić mi się z nią zobaczyć.

W słowach Ronalda było tyle bólu i troski, że pani Rahnsdorf straciła pewność siebie. Nawet jeśli ten człowiek poślubił Lisę ze względu na jej majątność, to jego obecne zachowanie świadczyło niezbicie o tym, że nie jest lekkomyślnym i pozbawionym skrupułów podrywaczem. Któż może

wiedzieć, co skłoniło go do takiego kroku?

— Niestety nie mogę spełnić pańskiej prośby, drogi panie Hechingen. Lisa jest chora i leży zmożona gorączką. Nie powinno się jej teraz niepokoić.

Z piersi Ronalda wydobył się głośny lęk.

— I jeszcze to! Na pewno rozchorowała się wskutek tych przygnębiających przeżyć.

— Przeziębła się. Być może zresztą, że była już chora, a wstrząsające przeżycia i nocna eskapada też swoje zrobiły. W każdym bądź razie lekarz orzekł zapalenie płuc.

Ta wiadomość najwyraźniej wywarła na Ronaldzie duże wrażenie. Poszedł do okna, starając się ukryć niepokój, który malował się na jego twarzy. Po chwili ponownie odwrócił się do hrabiny. Od razu zauważyła, iż mimo pozorów spokoju w młodym człowieku walczą ze sobą różne rozterki.

— Nie mogę się więc z nią widzieć, czy dobrze rozumiem? — powtórzył swe pytanie dwa razy ciszej.

— Przykro mi, panie Hechingen, ale nie! Pragnę pana również poinformować, że Lisa poprosiła mnie, abym załatwiła z panem wszelkie niezbędne kwestie. Nawet gdyby była zdrowa, nie życzy sobie żadnych bezpośrednich kontaktów z panem.

— A więc jej postawa jest aż tak nieprzejednana?

Pani Rahnsdorf potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, do tego nie byłaby zdolna. Jest w panu za bardzo zakochana.

Hechingen westchnął.

— I mimo to nie chce mnie widzieć?

— Ponieważ uważa, że powinna wstydzić się swej miłości do pana, a także dlatego, że nie chce okryć wstydem również i pana. Czy wie pan, dlaczego Lisa uciekła?

— Obawiam się, że wiem. Przez przypadek dowiedziałem się, że Lisa znajdowała się w sąsiednim pokoju w czasie mojej rozmowy ze starym przyjacielem Mallwitzem. Treść tej poufnej rozmowy dotarła do uszu Lisy. Tylko w taki sposób mogę wytłumaczyć sobie tak nagłą i nieoczekiwaną zmianę jej zachowania.

— Pańskie przypuszczenia są trafne. Lisa opowiedziała mi o wszystkim. Kiedy stało się dla niej jasne, że pan jej nie kocha, uciekła czym prędzej. Strach i wstyd mieszały się ze sobą w jej dziecięcym umyśle, uniemożliwiając jej właściwą ocenę sytuacji i racjonalne zachowanie. U mnie znalazła się przez przypadek i jestem przekonana, że dopiero tutaj zdała sobie w pełni sprawę z tego, co się stało. Przede wszystkim przeraziła ją myśl, że mogła narazić na szwank pańskie nazwisko, które i ona teraz nosi. Bardzo jej ulżyło, gdy dowiedziała się, że na razie nikt postronny o niczym nie wie. Muszę powiedzieć też, że w tym trudnym dla Lisy czasie trzymam jej stronę. Świat w takich przypadkach skazuje najczęściej kobietę.

— Tylko ja jestem winny tego, co się stało. Rozumiem doskonale, że Lisa nie mogła postąpić inaczej. Gdyby wyszło to na jaw, wszystko wziąłbym na siebie, żeby bronić jej dobrego imienia.

Być może wina nie leży tylko po pańskiej stronie. Wydaje mi się, że dużą rolę w tej sprawie odgrywają okoliczności i nie należy ich bagatelizować. Człowiek nie zawsze jest w stanie opanować swoje emocje. A pan nie robi na mnie wrażenia kogoś, kto myśli jedynie o przejęciu wiana panny młodej.

— Szanowna pani, takie postawienie sprawy czyni mnie na zawsze pani dłużnikiem. Przybyłem tu w przeświadczeniu, że zostanę z góry osądzony i byłem przygotowany przyjąć to ze spokojem.

— Nigdy nie spieszyłam się z wydawaniem sądów. Kiedy chodzi się po świecie przez ponad pół stulecia, człowiek staje się ostrożny. Ja w każdym razie odzwyczaiłam się od ferowania wyroków przed wysłuchaniem oskarżonego. Dlatego też przekonywałam Lisę, żeby dać panu możliwość usprawiedliwienia się.

Ronald w napięciu patrzył na hrabinę.

— Mimo to nie chce wysłuchać moich racji?

— Twierdzi, że nie czuje takiej potrzeby. Nie czyni panu przy tym żadnych zarzutów i nie nosi w sobie urazy. Wobec siebie jest jednak zbyt surowa. Nie może sobie darować, że przez cały czas była pewna pańskiej miłości, chociaż pan nigdy jej tego nie wyznał.

— Ale moje zachowanie skłoniło ją do takiego sądu. Jeśli pani w swej

wielkoduszności mnie nie oskarża, to tym bardziej poczuwam się do winy. Swoim czystym sercem, musiała tak czuć skoro zabiegałem o jej względy. Łaskawa pani, patrzy pani na mnie z takim zrozumieniem i traktuje mnie pani tak łagodnie! Proszę mi wierzyć, że w tej chwili przekonałem się ostatecznie, jak wartościowym człowiekiem jest Lisa. Dopiero teraz wiem, co tak lekkomyślnie utraciłem. Jej cicha, ale wielka miłość, jej bezkrytyczne zaufanie, jej czar, wiara i radość — teraz rozumiem, jak wiele zyskałem poprzez ten związek. To zupełnie tak, jakby z oczu opadła mi nagle opaska, która uniemożliwiała mi wcześniej dostrzeganie świata wokół. Proszę mi wybaczyć, że moje wynurzenia stają się dla pani uciążliwe, ale pani obecność, jako pośrednika między mną, powoduje, że odżywa we mnie wiara w odzyskanie żony. To, czego nie mogę powiedzieć jej, przekazuję pani i ufam, że stanie się pani moją orędowniczką. Czy mogę teraz pani pokrótce opowiedzieć, jak doszło do tego, że zostałem narzeczonym, a potem mężem pani bratanicy?

— Nie można odrzucać zaufania, którym obdarza nas drugi człowiek, a więc i ja tego nie czynię — jest to zresztą zgodne z wolą Lisy. Mam nadzieję, że będę mogła jej później przekazać, że nie obdarzyła swoją miłością kogoś jej niegodnego. Nie ma bowiem nic bardziej upokarzającego dla zakochanej kobiety niż odkrycie niegodziwości w obiekcie jej westchnień. O ile dobrze oceniam Lisę, ona sama będzie pana najlepszym adwokatem. Jednak niewątpliwie będzie dla niej dużą pociechą, że złożył pan przede mną tak szczegółowe i przekonujące usprawiedliwienie. Wpierw jednak powinien się pan posilić. Proszę mi wybaczyć, że dopiero teraz zaczynam wywiązywać się z moich obowiązków gospodyni. Musi być pan bardzo głodny.

— Nie, nie, łaskawa pani, nie ma potrzeby. I tak nie mógłbym nic przekłnąć. Proszę mnie najpierw wysłuchać. — Ronald bronił się przed zbytnią troską.

Pani Rahnsdorf ponownie zajęła miejsce naprzeciw gościa.

— Jeśli pan sobie tego życzy, jestem gotowa wysłuchać pana od razu.

Patrzył przez chwilę w milczeniu przed siebie, po czym zaczął opowiadać. Spowiadał się ze wszystkiego bez wyjątku. Mówił, jak doszło do tego,

że rozpoczął starania o rękę Lisy, jak bardzo gryzł się faktem, że ona zakochała się w nim bez pamięci i wierzyła jednocześnie w jego uczucie. Nie zataił też, że musiał rozstać się ze swą młodzieńczą miłością. Mówił o tym, jak zmuszał się do wzbudzenia w sobie miłości do Lisy i że wobec ciągłych, nieudanych prób z dnia na dzień wzrastało w nim poczucie winy, że nie jest godzien takiej niewinnej istoty. Starał się, jak mógł, radzić sobie z tymi kłopotami. Im bardziej jednak cenił swą narzeczoną, tym niżej oceniał siebie. Kilkakrotnie miał nawet ochotę wyznać jej całą prawdę, ale gdy tylko spojrzał w jej pogodne, pełne ufności oczy, musiał zaniechać swych zamiarów. Nie chciał odbierać jej choćby tej iluzji małżeńskiego szczęścia. Hechingen mówił to wszystko z głębi serca i żałował bardzo, że podczas owej rozmowy w pokoju Mallwitza dał się ponieść emocjom i powiedział głośno o swych duchowych rozterkach. Prawdziwym nieszczęściem było to, że Lisa dowiedziała się o wszystkim w tak okropny sposób. Na koniec swej szczerzej spowiedzi oświadczył:

— Gdybym tylko potrafił cofnąć czas tak, by zaoszczędzić Lisie tamtych cierpień!

Pani Rahnsdorf przyglądała się Ronaldowi trochę nieufnie. Jego wypowiedź jednak wydawała się absolutnie szczerą. Wyprostowała się i rzekła:

— Czy chciałby pan naprawdę cofnąć czas? Dzięki temu przypadkowi uzyskał pan to, czego pan pragnął: wolność.

Ronald przetarł dłonią czoło. Na jego ustach pojawił się lekki uśmiech. Spojrzał niepewnie w pełne powagi oczy hrabiny.

— Niestety, moje życzenie się spełniło. Jak to zazwyczaj jednak bywa, to co już osiągnęliśmy traci nagle w naszych oczach na wartości. Nie wiem nawet, jak korzystać z tej wolności. Teraz, kiedy nie muszę już udawać miłości do Lisy, nie potrafię zrozumieć, jak mogłem do tego dążyć. Mam wrażenie, jakbym utracił coś najkosztowniejszego w moim życiu. Ach, kiedy myślę o tym, jak wielkim uczuciem obdarzyła mnie Lisa, chciałbym to uczucie odzyskać. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jak bardzo jest mi potrzebne. Życie bez Lisy jest nie do zniesienia.

Pani Rahnsdorf zamyśliła się. Dostrzegła nikłą szansę pogodzenia młodych małżonków. Być może uda się doprowadzić tę sprawę do szczęśliwe-

go zakończenia. Do tego potrzeba będzie dużo zręczności i cierpliwości. Gdybyż tylko potrafiła tego dokonać! Wiele by dała, by odzyskać dla Lisy utracone szczęście. Przed nią siedział młody mężczyzna, odkrywający swe największe sercowe tajemnice, na górze leżała młoda kobieta, zdjeta ciężką chorobą ciała i duszy. Oboje bardzo przeżywali swoje rozstanie i obojgu bardzo zależało na sobie wzajemnie. Czy nie było naprawdę żadnego sposobu zbudowania pomostu między tymi dwoma gorącymi sercami? Hrabina spojrzała ponownie na Ronalda.

– Dziękuję panu za zaufanie, którym mnie pan obdarza. Gdyby Lisa mogła usłyszeć pańskie słowa, z pewnością poprawiłoby to jej samopoczucie.

– Czy przekazanie tych słów Lisie nie byłoby ukoronowaniem pani dobroci wobec mnie?

Pani Rahnsdorf uśmiechnęła się.

– Nie sądzę, żeby wywarło to na Lisie takie samo wrażenie, jak pana bezpośrednia wypowiedź. Wydaje mi się jednak, że takie dziewczyny jak nasza Lisa stają się wyjątkowo nieufne, gdy już raz doznały zawodu.

– Ale skoro nie chce mnie widzieć, to jak mam jej to powiedzieć?

– Może po pewnym czasie zdecyduje się na rozmowę z panem. Musi się jednak uspokoić, a przede wszystkim wrócić do zdrowia. Może teraz przejdziemy do omawiania spraw, które na nas czekają? Co zamierza pan dalej robić?

Ronald westchnął ciężko.

– Nie wiem. Nigdy jeszcze w życiu nie miałem takiej pustki w głowie i nigdy podejmowanie decyzji nie przychodziło mi z takim trudem. Nie mam też chyba prawa uprzedzać zamierzeń Lisy. To ona musi postanowić, co dalej.

– Niestety w tej chwili nie jest w stanie decydować. Mnie przekazała pełnomocnictwo do prowadzenia z panem rozmów. Czy ma pan coś przeciwko takiemu rozwiązaniu?

– Skoro nie mogę porozmawiać z Lisą osobiście, nie znam nikogo poza panią, komu mógłbym z taką ufnością powierzyć swój los.

– Pańskie zaufanie sprawia mi przyjemność. Przede wszystkim chciała-

bym jednak zapytać: Czy jest pan przekonany o tym, że wasze małżeństwo ma przyszłość?

Twarz Ronalda przybrała wyraz największej powagi.

— Jeśli tylko Lisa zaufa naszemu związkowi, ja uczynię to z całego serca.

— Mimo pańskiego uczucia do innej młodej damy?

— Już je przewyciężyłem, łaskawa pani. W ciągu tych ostatnich kilkunastu godzin zrozumiałem, że tamta osoba nic dla mnie nie znaczy.

— Być może tak się tylko panu w tej chwili wydaje i tamta miłość okaże się trwalsza, niż pan przypuszcza.

Hechingen zaprzeczył stanowczym ruchem głowy.

— Kiedy jeszcze wczoraj wieczorem rozmawiałem z moim przyjacielem Kurtem Mallwitzem, który wrócił właśnie od mojej siostry i matki, dowiedziałem się, że Lotta, moja siostra, otrzymała właśnie zaproszenie na zaręczyny kobiety, z którą łączyło mnie to uczucie. Jest to wiadomość pewna, gdyż łączy je przyjaźń. Mogę panią zapewnić, iż ta nowina nie wywarła na mnie żadnego wrażenia, myślami bowiem byłem cały czas przy Lisie.

Pani Rahnsdorf wsparła głowę na rękach. Jej oczy błysnęły radośnie. Coraz bardziej wierzyła w pomyślne wypełnienie swej misji.

— A więc nie chce pan rozvodu? Jaka będzie jednak pana odpowiedź, jeśli okaże się, że Lisa go chce? A może przez pewien czas nie będzie miała ochoty pana widzieć?

— Dostosuję się do waszych ustaleń, drogie panie. Nie zamierzam wywierać jakiegokolwiek wpływu na postanowienia Lisy. Mogę tylko zapewnić, że nie spocznę, dopóki się z nią nie zobaczę i nie powiem jej, jak bardzo zmieniły się moje uczucia. Wtedy powinna podjąć ostateczną decyzję.

Hrabina spojrzała ostro na swego gościa.

— Czy pańskie uczucia istotnie mogły zmienić się aż tak radykalnie w tak krótkim czasie, panie Hechingen? Może tylko pan to sobie wmawia?

Wytrzymał jej spojrzenie bez mrugnięcia powieką.

— Objawilem pani stan mojej duszy, niczego przed nią nie tając — oświadczył.

Anna Rahnsdorf uwierzyła Ronaldowi. Potrafiła zrozumieć, że ucieczka

Lisy wpłynęła na jego sposób myślenia i odczuwania. Może też i jego serce już wcześniej nie było wcale tak nieczułe wobec Lisy. Nie mogła mu być chyba zupełnie obojętna, skoro tak szybko docenił jej zalety. Serce nie służy. Być może głęboka i niezachwiana miłość Lisy znalazła wreszcie drogę do jego serca, a on tylko bronił się przed nią, nie rozumiejąc, co się z nim dzieje. Dopiero jej ucieczka uzmysłowiła mu, jak bardzo zależało mu na tej delikatnej istocie. Możliwe, że to właśnie dzięki całemu temu zamieszaniu odkrył w sobie miłość, która dopiero teraz zaczęła się rozwijać. To, co Ronaldowi nie podobało się w Lisie, to były drobnostki, które zresztą zazwyczaj mają spory wpływ na mężczyzn. Jednakże brzydką sukienkę można zastąpić gustowną, włosy można zawsze inaczej uczesać. Szczególnie wtedy, gdy ma się tak zgrabną sylwetkę, na której dobrze prezentuje się każda sukienka i tak piękne, gęste włosy, z którymi można zrobić wszystko. Można także pozbyć się nadmiaru nieśmiałości, o ile przestaną oddziaływać czynniki, które tę nieśmiałość wywołują. Lisa nie wyglądała brzydko nawet w swym najgorszym stroju i makijażu. Miała miękkie, przyjemne rysy twarzy, duże oczy o szczerym spojrzeniu, ładną linię ust. Jej sylwetka była być może trochę zbyt mało kobieca, a cera zbyt matowa i bezbarwna, ale były to niewątpliwie skutki niewłaściwego odżywiania i niezdrowego miejskiego powietrza. Ale czyż w Rahnsdorf nie ma dość bogatego w ozon leśnego powietrza, świeżych wiejskich jajek i zdrowego mleka?! Jak tylko dziewczyna wyzdrowieje, przejdzie taką kurację, że będzie nie do poznania. Kto wie, może wzbudzi wtedy w Ronaldzie prawdziwe pożądanie. Do tego jednak potrzeba czasu...

Ronald poruszył się, przerywając medytację pani Rahnsdorf.

— Proszę mi wybaczyć, ale tak byłam pochłonięta myślą, jak mam wam pomóc, że zupełnie zapomniałam o pana obecności.

— Jeśliby pani tylko zechciała by podjąć się tego zadania, byłbym dogłębnie wdzięczny — oświadczył pospiesznie Ronald.

— Oczywiście, podejmę się. Teraz jednak musimy cierpliwie zaczekać, aż Lisa powróci do sił. Trzeba będzie znaleźć jakąś wymówkę, która pozwoli nam zyskać na czasie. Ponieważ wasze małżeństwo stało się faktem w oczach wszystkich krewnych i znajomych, więc nie możecie tak po pro-

stu zniknąć. Na razie jesteście w podróży poślubnej. Ten czas musimy wykorzystać jak najowocniej. Na ile dni zaplanowana jest ta podróż?

— Na sześć tygodni.

— A zatem przez ten czas będzie się pan musiał skryć w jakimś zacisznym, ustronnym miejscu, gdzie nikt nie powinien pana odwiedzać. Tuż przed upływem sześciu tygodni może pan rozesłać plotkę, że pańska małżonka zaniemogła w czasie podróży powrotnej i zajechaliście do Rahnsdorf, by tu pod moją opieką mogła wrócić do zdrowia. Aby nasycić ludzką ciekawość, będziemy niestety musieli mieszać prawdę z bajką. Mam nadzieję, że Lisa tymczasem wyzdrowieje i podejmie decyzję, czy będzie chciała się z panem zobaczyć. Co będzie później, trudno teraz rozstrzygnąć. W każdym razie zyskamy sporo czasu. Czy jest pan zadowolony z mojej propozycji, czy też ma pan inną, panie Hechingen?

— Nie, łaskawa pani, ten plan jest wyśmienity. Jestem pani niewymownie wdzięczny za pani uczynność. Miałbym jednak gorącą prośbę: proszę mi pozwolić pozostać w pobliżu, dopóki nie nastąpi przesilenie choroby. Nie zaznałbym spokoju, gdybym musiał wyjechać stąd pełen lęku o życie Lisy. Chcę być jak najbliżej. Znajdę sobie we wsi jakieś lokum.

— W posiadłości Rahnsdorf jest zawsze kilka wolnych pokoi dla miłych gości — Anna Rahnsdorf uśmiechnęła się.

Ronald ucałował dłoń hrabiny.

— Łaskawa pani, jeszcze raz pragnąłbym podziękować za pani...

— Proszę nie przesadzać, panie Hechingen, jest pan w końcu mężem mojej bratanicy, a więc również moim bratankiem. Mam nadzieję, że tak już pozostanie. Lisa oczywiście nie może się dowiedzieć, że pan tu jest, gdyż w jej stanie każda emocja może być zgubna. Dlatego też ulokuję pana w bocznym skrzydle. Mam nadzieję, że będziemy jeszcze mieli okazję trochę sobie poplotkować i poznać się bliżej. Ponieważ Lisa będzie moją spadkobierczynią, w panu widzę przyszłego właściciela Rahnsdorf. Oby tak się stało.

— Dziękuję, że zechciała pani wyrazić taką nadzieję. Te słowa są dla mnie oznaką pani zaufania. W pani rękach jest przyszłość moja i Lisy i mam przecucie, że dzięki temu wszystko ułoży się szczęśliwie.

— Mam dużo dobrej woli i dołożę wszelkich starań, by do tego doprowadzić. Ach, jeszcze jedno. Co z bagażem podróжным Lisy? Gdzie on się teraz znajduje? Nie zabrała ze sobą nawet koszuli nocnej.

— Został nadany do Monachium. Załatwiał to służący i nie zdążyłem temu już zapobiec.

— Wobec tego chciałabym pana prosić, by zechciał się pan zająć sprowadzeniem rzeczy mojej bratanicy.

— Naturalnie, zaraz się tym zajmę.

— Poza tym powinien pan wiedzieć, w jaki sposób wypełnić sobie czas w Rahnsdorf. Okolica jest wyjątkowo urokliwa. Jeśli będzie pan miał ochotę wybrać się na polowanie, to proszę zwrócić się do Gustawa. Tego, który przyprowadził pana do mnie. On doskonale orientuje się w arsenale mojego zmarłego męża. W lasach mamy tu najdorodniejsze okazy dzikiej zwierzyny. Jeżeli zapragnie pan pojeździć konno, w mojej stajni powinien pan znaleźć dla siebie odpowiedniego rumaka. Nie może być pan jednak zbyt wybredny, bowiem konie pełnej krwi nie na wiele przydają się w Rahnsdorf. Może pan też zagłębić się w lekturze. W bibliotece, którą pokaże panu Gustaw, znajdzie pan wszystkie najnowsze pozycje literatury pięknej. W czasie pobytu na takim odludziu trzeba zawsze mieć jakieś zajęcie, by nie popaść w melancholię i nie zacząć zastanawiać się nad marnością ludzkiego żywota. Teraz jednak muszę już pana opuścić, chcę bowiem zająć się naszą drogą pacjentką. Przyślę tu pannę Birkner, dobrego ducha tego domostwa. Już ona zatroszczy się o pana w należyty sposób. Służy w tym domu od prawie czterdziestu lat i przez to nabyła prawo równania się ze mną. Wtajemniczyłam ją w naszą sprawę, ale nie zdradzi pana obecności przed Lisą. Oprócz mnie, panny Birkner i lekarza nikt inny nie ma dostępu do chorej.

Ronald pokłonił się pani Rahnsdorf.

— Jakże mnie pani zawstydza swą dobrocią!

— Ach, cóż by to była za dobroć, która zawstydza? Proszę już więcej nie mówić. I głowa do góry! Nie ma ludzi doskonałych i każdy czasem popełnia jakieś głupstwo. Ważne, żeby się do niego przyznać i starać się je naprawić, a jak widzę, pan ma szczerą chęć to zrobić.

Pani Rahnsdorf ruszyła w stronę drzwi. Po kilku krokach ponownie odwróciła się do Hechingena.

— Proszę zaczekać na pannę Birkner. O ósmej, zgodnie z tutejszym obyczajem, siadamy zwykle do kolacji. Będę rada, jeśli dotrzyma mi pan towarzystwa. — Skinęła lekko głową i sprężystym krokiem wyszła z salonu.

Ronald patrzył za hrabiną, dziękując Bogu, że okazała się tak uczynną i mądrą kobietą. Sposób bycia pani Rahnsdorf i ich długa rozmowa napawały go nadzieją na znalezienie szczęśliwego wyjścia z tej przykrew sytuacji.

TLR

X

Panna Birkner przysłała po kilku minutach, gdy tylko otrzymała dyskretne instrukcje od pani Rahnsdorf. Bez żadnych ceregieli kiwnęła na Ronalda.

— No, niechże pan idzie za mną. Zaprowadzę pana do jego apartamentu. A może ma pan zamiar nocować na dziedzińcu albo w ogrodzie?

Ronald roześmiał się.

— Jest mi to najzupełniej obojętne, panno Birkner.

Przeszli przez wielki, wyłożony marmurem hall i znaleźli się w bocznym skrzydle zamku. Naprzeciw nim wyszedł Gustaw.

— Przynieś łaskawemu panu świeżej wody, Gustawie. A potem idź do jadalni i nakryj ten mały stolik przy oknie — rozkazała krótko panna Birkner.

— Życzy pan sobie kawy czy herbaty, a może wolałby pan butelkę wina? — zwróciła się do Ronalda.

— Proszę nie robić sobie kłopotu. Niech mi pani poda to, co będzie dla pani najwygodniejsze.

Marianna popatrzyła na bladą, zmęczoną twarz gościa.

— No, niech się pan już tak nie zadrecza, łaskawy panie — odezwała się po chwili, poprawiając przy tym kilka drobiazków w pokoju.

— Już my postawimy naszą panienkę na nogi, tego może pan być pewien.

Ronald spoważniał.

— Czy moja żona ma poważne bóle?

— Tak, trochę kłuje ją w piersi, no i męczy ją wysoka gorączka, ale myślę, że niedługo powinno się jej poprawić. Ja również przechodziłam zapalenie płuc, kiedy byłam jeszcze podlotkiem, no i niech mi się pan teraz przyjrzy — z młodszymi mogłabym stawać w konkury. O, jest Gustaw z wodą. Niech się pan trochę odświeży. Ja w tym czasie przygotuję coś do jedzenia. Jadalnia znajduje się zaraz obok salonu. Kiedy tylko będzie pan gotów,

proszę tam przyjść.

Wychodząc panna Birkner pokręciła z dezaprobatą głową, myśląc sobie w duchu: „Cóż za dziwne problemy ma ta nasza szlachta! Ci młodzi sami za bardzo nie wiedzą, czy są małżeństwem, czy nie. Mojej pani najwyraźniej bardzo na tym zależy, żeby się ze sobą porozumieli. Gdybyż tylko ta gorączka nie skakała tak wysoko! Ta dziewczyna to przecież takie chucherko.”

Kiedy Anna Rahnsdorf wróciła do Lisy, natychmiast zauważyła, że temperatura znów jest niebezpiecznie wysoka. Lisa leżała nieruchomo, oddychając z wyraźnym trudem. Wieczorem znowu przyjechał doktor Streubel. Gorączka wzmogła się jeszcze bardziej i była nawet wyższa niż poprzedniego wieczora. Ale to było, jego zdaniem, do przewidzenia. Uspokajał mocno podenerwowaną hrabinę.

Po badaniu lekarz został na kolacji i miał okazję poznać Ronalda, który przestraszył się nie na żarty, gdy tylko dowiedział się, że stan Lisy uległ pogorszeniu. Zapewnienia doktora, że nie należy na razie popadać w rozpacz, nie stanowiły dla niego wystarczającej pociechy. Po kolacji Ronald wrócił więc pełen najgorszych obaw do swego pokoju.

Nastaly niespokojne i smutne dni. Pani Rahnsdorf opuszczała pokój chorej tylko w porach posiłków. Nocą przy Lisie czuwała na zmianę z panną Birkner. Ponieważ hrabina miała wiele bieżących spraw do załatwienia, Ronald spostrzegł, że może okazać się przydatny i odciążyć trochę gospodynię. Powoli stawał się jej pomocnikiem w administrowaniu majątkiem, załatwiając wiele spraw w jej imieniu. Pani Rahnsdorf z uśmiechem przyjmowała tę pomoc. Jego zapał i obrotność w gospodarowaniu dobrami natychmiast przypadły jej do gustu.

To naprawdę wielka szkoda, że nie został pan właścicielem ziemskim. Ma pan ku temu wszelkie uzdolnienia, panie Hechingen — powiedziała pewnego wieczora. — Jestem bardzo rada, że mogę liczyć na pana pomoc. Gdyby nie pan, nie mogłabym poświęcać opiece nad Lisą tak wiele czasu, jak bym chciała.

— Gdyby pani wiedziała, jak wielką radość sprawia mi służenie pani

moją pomocą! Czasami mam uczucie, jakbym znowu znalazł się w Hechingen, w dawnej posiadłości moich rodziców. Jest mi tu nadzwyczaj dobrze. Tylko ten nieustanny ucisk w dołku przypomina mi o wielkiej trosce, która mnie tu sprowadziła.

— Dzisiaj nie powinien się pan tak zadreć. Po raz pierwszy gorączka opadła, a lekarz jest zadowolony z dotychczasowego przebiegu leczenia.

Myśli Ronalda zaprzątnięte były cały czas chorobą Lisy. Zawsze przy posiłkach pierwsze jego pytanie dotyczyło jej samopoczucia, a kiedy tylko spotkał na korytarzu pannę Birkner, musiała zdawać mu szczegółowe relacje o stanie zdrowia Lisy.

Anna Rahnsdorf nie zatajała przed Ronaldem niczego, nie wyłączając swych najgorszych obaw. Wiedziała, że lęk o inną osobę jest doskonałym podłożem, na którym z czasem może rozwinąć się prawdziwe uczucie. Przy każdym spotkaniu aplikowała Ronaldowi odpowiednią dawkę zmartwień, jak niezawodne lekarstwo. Hrabina czuła też, że z każdym dniem coraz bardziej ufa mężowi swej bratanicy i że staje się jej coraz bliższy. Poważny i odpowiedzialny sposób bycia Hechingena bardzo się jej podobał. Bez trudu mogła zrozumieć Lisę, która zakochała się w nim do szaleństwa. Największym pragnieniem pani Rahnsdorf, obok powrotu Lisy do zdrowia, stało się doprowadzenie do pojednania tych dwojga nowożeńców.

Hrabina napisała, zgodnie z zapowiedzią, wyczerpujący list do swego brata Karola. Rozpoczęło to ożywioną korespondencję między nimi. Miała mu tyle do opowiedzenia — nie kontaktowali się przecież od kilku ładnych lat.

Karol Limbach był bardzo zły na swoją żonę i po raz pierwszy jej to okazał. Pani Hermina tymczasem uparcie milczała, demonstrując w ten sposób, że czuje się urażona jego zachowaniem. Atmosfera w domu Limbachów stała się więc jeszcze o kilka stopni chłodniejsza niż zwykle.

Karol pisał, że nie zważając na gniewne pomruki swej połowicy chciałby przyjechać na parę dni do Rahnsdorf, jak tylko stan Lisy się poprawi. Zgadzał na wszystkie środki zaradcze, jakie podjęła jego siostra. O tym, że nie żywił do Hechingena urazy, świadczył fakt, że przesłał mu pozdrowienia. Wyraził także nadzieję, że nie dojdzie do rozwodu.

Ronald napisał z Rahnsdorf do swojej rodziny, opisał wszystko, co się wydarzyło i przedstawił własne zamierzenia. Dość szybko otrzymał odpowiedź bardzo niepokojącej się o jego przyszłość matki.

Nadszedł też list od siostry Ronald, Lotty. Był pełen ciepła i otuchy, której tak Ronaldowi w ostatnich dniach brakowało. Lotta zawsze potrafiła go zrozumieć. Nie lamentowała jak matka, lecz wyrażała satysfakcję, że Ronald nie musi dłużej prowadzić swej gry. Oto treść tego listu:

Mój drogi Ronaldzie!

Pisziesz w liście do matki, że Lisa stała się teraz dla Ciebie o wiele ważniejsza niż Lili Sanders była kiedykolwiek i że zaręczyny Lili nic Cię nie obchodzą. Bardzo mnie ucieszyło to zapewnienie i mam nadzieję, że skoro Twoje serce uwolniło się od starej namiętności, znajdzie się w nim teraz wystarczająco dużo miejsca dla Twojej żony. Jeżeli tak będzie, to o Twoją przyszłość jestem spokojna. O ile znam Lisę, nie będzie zbyt długo żywiła urazy do Ciebie i gdy tylko się przekona, że Twoje słowa mają pokrycie w uczuciach, wszystko się między Wami ułoży. Rozumiem doskonale motywy, które kierowały jej postępowaniem i muszę przyznać, że sama zachowałabym się podobnie. Wykazała wielką odwagę, uciekając przed Tobą, ale było to chyba jedyne rozwiązanie. Walcz, mój kochany Bracie, o swoją żonę. Wy, mężczyźni, musicie najpierw walczyć o swoją wybrankę, aby poznać jej wartość — gdzieś to wyczytałam i Twój przypadek zdaje się tę prawdę potwierdzać. A więc do boju, Ronaldzie! Nie trać nadziei! Tylko Lisa jest warta Twoich zabiegów. Zawsze Ci powtarzałam, że jest po stokroć lepsza niż Lili Sanders. Piszę to, chociaż Lili jest moją przyjaciółką. Przyjmij moje rady, Braciszku, ze zrozumieniem. Całuję Cię mocno

Twoja Lotta

Ronald dał pani Rahnsdorf list swojej siostry do przeczytania. Oddając go po chwili oświadczyła z uśmiechem:

— Ma pan bardzo rezolutną siostrzyczkę, panie Hechingen. Podoba mi się. To, co panu radzi, ma bez wątpienia ręce i nogi. Mam nadzieję, że będę

miała możliwość ją kiedyś poznać.

— Tak, to bardzo rozsądna i sympatyczna dziewczyna. I zna mnie dużo lepiej niż ktokolwiek inny, nie wyłączając mojej matki — odparł Ronald.

Przyszło też parę zdań od Mallwitza. Zapewniał o swej lojalności i obiecywał zrobić wszystko, by nie dopuścić do upublicznienia problemów Ronalda.

Po kilku dniach niepewności doktor Streubel uznał, że nie ma już bezpośredniego zagrożenia życia pacjentki. Trudno rozstrzygnąć, kto cieszył się najbardziej. Ronald uścisnął dłoń lekarza z taką siłą, że ten aż jęknął z bólu. Pani Rahnsdorf była bliska płaczu, a panna Birkner gderła i marudziła bardziej niż zwykle.

Kiedy Lisa po raz pierwszy od wielu dni odzyskała pełną świadomość, panna Birkner karmiła ją zupką z kurczaka, a ciotka Anna siedziała tuż przy jej wezłowie.

— No, teraz szybko ją odkarmimy, prawda Marianno?

— Też tak myślę, łaskawa pani — odpowiedziała służąca wycofując się z pustą wazą.

Pani Rahnsdorf delikatnie głaskała swą bratanicę po ręce.

— Czy nic cię już nie boli, Liso?

— Nie, ciociu.

— Widzę jednak tyle smutku w twoim spojrzeniu, dziecko. Będziemy musieli i temu zaradzić.

Lisa zmusiła się do uśmiechu.

— Czy Ronald tu był, ciociu Anno?

— Tak, drogie dziecko. Jeżeli mi obiecasz, że nie będziesz się denerwować, to opowiem ci po kolei, o czym z nim rozmawiałam i do jakich wniosków wspólnie doszliśmy.

Blade policzki Lisy nabrały lekkich rumieńców, a jej oczy spoglądały bystro na hrabinę.

— Opowiedz mi proszę wszystko, moja droga cioteczko! — poprosiła cicho.

Pani Rahnsdorf opowiedziała pobieżnie o pobycie Ronalda. O tym, że przyjechał już następnego dnia i że już po kilku godzinach wyjechał. Wy-

bierała przy tym fragmenty rozmów, które miały wpłynąć na Lisę uspokajająco. Przytoczyła słowa RONALDA, iż pozostawia swojej żonie pełną swobodę w podjęciu decyzji co do przyszłości ich związku. Opowiadała Lisie, jak zmartwiony i niepocieszony jest jej mąż, i jak bardzo chciał ją zobaczyć, żeby móc się osobiście wytłumaczyć. RONALD ma przy tym nadzieję, że niedługo, kiedy tylko LISA przyjdzie do siebie, będą mogli się spotkać.

Hrabina poinformowała także swoją siostrzenicę o środkach podjętych w celu uniknięcia rozgłosu. Pomięła jednak wiele innych kwestii, jak na przykład przygnębiający nastrój RONALDA i przede wszystkim fakt, że on wciąż tu jest. LISA nie mogła się na razie o tym dowiedzieć, gdyż nadmiar wrażeń mógłby spowodować nawrót choroby. Pani RAHNSDORF wspomniała tylko jeszcze, że RONALD był bardzo zatroskany stanem zdrowia LISY i prosił, żeby codziennie go o nim informować. Na koniec hrabina pozwoliła sobie na uwagę natury osobistej:

—Zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie i naprawdę nie powinnaś się wstydić, że takiemu właśnie człowiekowi ofiarowałaś swoją miłość.

—Ja się wcale nie wstydzę tego, że go pokochałam — odparła LISA —lecz tego, że swe uczucie okazywałam mu w tak nieskrępowany sposób i że wskutek tego stałam się mu ciężarem. Tego się właśnie wstydzę. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie to przeboleć.

—Ach, dajże spokój, mój ty głuptasku! To są błahostki. Będziemy musieli się ich pozbyć. Ale na razie nie mówmy o tym. Chcę napisać kartkę do wuja KAROLA. Musi się zaraz dowiedzieć, że przetrwała swoją niemoc.

—Pozdrów go ode mnie gorąco, ciotkę HERMINĘ też.

—Nie w głowie mi dzisiaj przesyłanie jej pozdrowień. Przepelnia mnie radość, że wreszcie czujesz się lepiej.

Siedząc na dole w jadalni pani RAHNSDORF wpatrywała się w RONALDA, niecierpliwie oczekującego na wieści z pokoju LISY.

—Dziś wygląda pan zupełnie inaczej, drogi RONALDZIE. Widać, że największe zmartwienie już pana opuściło. Szkoda, że LISA nie może zobaczyć, jak promienieją pańskie oczy na wieść o jej powrocie do zdrowia.

— Czy jest przytomna?

— Tak i zdażyłam jej już nawet opowiedzieć o pana przyjeździe i o

przebiegu naszych rozmów.

— Jak ona to przyjęła? — spytał Ronald z przejęciem.

— Dość spokojnie. Mam nadzieję, że choroba już się cofa i że Lisa stopniowo będzie wracać do zdrowia.

— Miejmy taką nadzieję.

Po chwili ciszy ponownie odezwał się Hechingen, ostrożnie dobierając słowa.

— Teraz, skoro stan zdrowia Lisy nie stanowi aż tak dużego powodu do niepokoju, zamierzam opuścić Rahnsdorf. Wystarczająco długo byłem pani ciężarem.

— Z pewnością jest pan zadowolony, że ucieka pan od nudy Rahnsdorf — powiedziała hrabina z lekkim uśmiechem.

Hechingen potrząsnął energicznie głową.

— Ależ skądże, łaskawa pani. Jakże mógłbym się z tego cieszyć. Ani przez chwilę się nie nudziłem, wprost przeciwnie — wielką satysfakcję sprawiła mi możliwość współgospodarowania tak wspaniałym majątkiem.

— Jeśli naprawdę sprawiało to panu przyjemność, to nie widzę przeszkód, by pełnił pan swe funkcje nadal. Właśnie zamierzałam pana prosić, by zechciał pan jeszcze przez pewien czas być moją prawą ręką. Dopóki Lisa jest przykuta do łóżka, chciałabym jej poświęcać jak najwięcej czasu. Moi ludzie są wprawdzie pracowici, ale są przyzwyczajeni do tego, że to ja się o wszystko troszczę i potrzebują kogoś, kto nimi pokieruje. Gdyby zechciał więc pan jeszcze na ten czas mnie zastąpić, byłabym panu niezmiernie wdzięczna.

Ronald trochę się zdziwił.

— Naprawdę mógłbym być jeszcze potrzebny?

Anna Rahnsdorf roześmiała się serdecznie, słysząc niedowierzanie w jego głosie.

— Czyż inaczej w ogóle o tym wspominałabym?

— Łaskawa pani, jakże się cieszę, że mogę służyć pani pomocą! To dla mnie wielkie wyróżnienie. Teraz jestem pewien, że nie żywi pani do mnie urazy i że moja tu obecność nie była dla pani męcząca.

— Oczywiście, że nie. Mogę panu powiedzieć otwarcie, że jestem rada,

mogąc gościć pana jeszcze przez najbliższe dni. Pana oddanie ujęło mnie bardzo, a wydaje mi się, że mogę polegać na swojej ocenie ludzkich charakterów. Jest pan człowiekiem, do którego nie sposób nie mieć zaufania, panie Hechingen.

Młody mężczyzna zaczerwienił się, słysząc ten nieoczekiwany komplement.

— W każdym razie jestem człowiekiem oddanym pani ciałem i duszą. Z wdzięcznością przyjmuję całe to dobro, które tu mnie spotkało. Ani razu nie dała mi pani odczuć, że pada na mnie podejrzenie ożenku dla posagu.

— Nie chodzi wcale o to, co się robi, ale jak się to robi. Dla każdego postępu jest wytłumaczenie. Gdybym była sędzią w pana sprawie, nakazałabym uniewinnienie. Wystarczającą karą dla pana był lęk o stan zdrowia Lisy.

— Szanowna pani, jestem szczęśliwy, że ma pani o mnie tak dobre mniemanie.

— Oboje wiemy, czego możemy się po sobie spodziewać. To już o czymś świadczy. A więc proszę pozostać do chwili, gdy kuracja Lisy dobiegnie końca. Wówczas będę musiała pana niestety pożegnać. Trzeba będzie dać Lisie jeszcze trochę czasu.

— Ponieważ uważa pani, że tak będzie najlepiej, zgadzam się na to bezkrytycznie, chociaż z utęsknieniem oczekuję chwili spotkania z Lisą. Oddałbym wszystko, co mam, w zamian za odzyskanie zaufania mojej żony. Chciałbym ją przekonać, jak bardzo stała mi się bliska.

— Będzie to trudniejsze, niż pan przypuszcza. Proszę na razie na to nie liczyć.

— Zdaję sobie sprawę, że nie będzie to łatwe, ale jestem gotów o nią walczyć.

Pani Rahnsdorf skarciła swego rozmówcę wzrokiem. — Proszę mi obiecać, że będzie pan cierpliwy i że nie podejmie pan żadnych starań, by przyspieszyć rozmowę ze swoją żoną! Ja sama pana powiadomię, gdy nadejdzie odpowiednia pora.

— Podporządkuję się pani bezwarunkowo, łaskawa pani. Proszę jednak nie kazać mi żyć w niepewności dłużej, niż to będzie absolutnie konieczne!

Ronald przebywał w Rahnsdorf jeszcze przez tydzień. Potem musiał wyjechać, ponieważ Lisa szybko wracała do zdrowia i mogła już wstawać z łóżka. Ze swojej ostatniej konnej przejażdżki do lasu przywiózł bukiet pierwiosnków i zawilców. Poprosił panią Rahnsdorf, by postawiła je w pokoju Lisy. Zrobiła to z ochotą i nie omieszkała opowiedzieć mu, jak bardzo ucieszył jej bratanicę widok świeżych kwiatów. „On naprawdę zachowuje się jak zakochany” — pomyślała z zadowoleniem.

Następnego ranka pożegnała gościa i długo patrzyła za znikającym w lesie powozem.

TLR

XI

Lisa przechadzała się po ogrodzie. Pani Rahnsdorf szła obok, trzymając ją pod rękę.

— Chyba za bardzo mnie rozpieszczasz, ciociu Anno. Jestem już zdrowa i czuję się lepiej niż kiedykolwiek — stwierdziła Lisa spoglądając na hrabinę.

— Czy ma to znaczyć: „pozволь mi samej trochę pospacerować, ciociu Anno. Zmęczyło mnie już twoje towarzystwo”?

Lisa zachichotała.

— Ależ skądże, droga ciociu, nie o to mi chodziło. Wiesz dobrze, że nie chciałabym, żebyś ze względu, na mnie zaniedbywała swoje rozliczne obowiązki. Twój czas jest dużo ważniejszy.

— Ach, musisz się wreszcie odzwyczaić od tych twoich obaw, płochliwa przepióreczko. Jeśli nie ma po temu powodów, nie trzeba się lękać. Chyba większość swego życia spędziłaś na zamartwianiu się. Musisz się zmienić. Mówię zupełnie poważnie, Liso. Musisz sobie uzmysłwić, że jesteś panią swojej woli. To chwalebne, gdy młoda dziewczyna podporządkowuje się woli osób starszych, ale taka uległość nie może zamienić się w ślepe posłuszeństwo. Widzisz, znowu musisz wysłuchiwać kazania.

— Miła ciociu, ty potrafisz prawie tak ładne kazania, że mam ochotę ciągle dawać ci powody do ich wygłaszania. Ciebie nie lękam się w ogóle.

— Przemawiasz w bohaterski sposób, ale w twojej piersi bije zajęcze serce. Gdy tylko panna Birkner jest z czegoś niezadowolona i zaczyna kwękać, czym prędzej schodzisz jej z drogi.

— Cioteczko, przecież nawet ty wycofujesz się często, gdy pannie Birkner nie spodoba się to czy tamto.

Pani Rahnsdorf roześmiała się.

— Brawo, to była znakomita riposta. Spójrz, nadchodzi nasz wspólny tyran. Zobaczmy, która z nas wykaże większą odwagę w obliczu wroga.

Po chwili panna Birkner stała już obok nich. Miała na ramionach ciepłe,

wełniane okrycie.

— Cóż za lekkomyślność! — zaczęła karcąco. — Nasza panna biega po ogrodzie tak lekko odziana! I pani jej na to pozwala, łaskawa pani? Czy panienka Lisa ma się znowu przeziębic?

— Przecież jest ciepło, Marianno. Naprawdę nie potrzebuję cieplejszego okrycia.

— Ciepło? W nocy był siarczysty mróz. Tutaj jest palto, proszę się nim natychmiast otulić!

— A jednak świeci słońce, panno Birkner i doprawdy powietrze jest przyjemnie ciepłe. Zabierz, proszę, to okrycie z powrotem.

Nie pojmuję, łaskawa pani. Panienka powinna się czymś okryć. Ostrożności nigdy za wiele. Nie chcę mieć potem wyrzutów sumienia — mówiąc to, panna Birkner zarzuciła palto na ramiona Lisy, po czym oddaliła się wyraźnie zadowolona.

Ciotka i jej bratanica popatrzyły na siebie i wybuchnęły śmiechem.

— Dziewczyno, ty potrafisz śmiać się jak mała, figlarna szelma. Ze śmiechem jest ci bardzo do twarzy. Tylko smutek nie pasuje do twych oczu. Zbyt często popadasz w melancholię. Poczekaj do jutra — mam dla ciebie skuteczne lekarstwo! Od jutra zaczynamy nową kurację.

— Już nie mogę się doczekać, ciociu Anno. Strasznie dłuży mi się czas, gdy jestem taka beczynna. Kiedy widzę was wszystkich tak ciężko pracujących, wstydzę się za siebie. Całe życie spędzałam na nikomu niepotrzebnych robótkach ręcznych.

— Teraz to się zmieni, moje dziecko. Zacznie się dla ciebie nowe życie. Cieszę się, że sama doszłaś do przekonania, że człowiek powinien być przydatny innym ludziom. Zaczynasz wreszcie samodzielnie i odpowiedzialnie myśleć.

Podczas swej rekonwalescencji Lisa bardzo zbliżyła się do swej ciotki. Pani Rahnsdorf miała bardzo dobry wpływ na swoją bratanicę.

Spowodowało, że rana zadana jej przez Ronalda zdawała się powoli goić. Wielką pociechę stanowiły dla niej miłość i troska, z jaką spotykała się w Rahnsdorf na każdym kroku. Była wdzięczna tym pomyślnym wiatrom,

które przygnały ją do tak spokojnej przystani. Obie panie unikały rozmowy o Ronaldzie. Pani Rahnsdorf nie chciała niepokoić swojej bratanicy. Potrzeba było czasu, żeby Lisa sama wróciła do tego tematu i podjęła decyzję, czy chce już rozmawiać z mężem.

Anna Rahnsdorf znowu była w rzewnym nastroju. Przelewała na Lisę całą swą nigdy nie spełnioną matczyną miłość i odkrywała przy tym w sobie coraz to nowe pokłady czułości. Wszystko w Rahnsdorf kręciło się teraz wokół jej bratanicy i najważniejszą rzeczą było zapewnienie jej dobrego samopoczucia.

Drugą po hrabinie osobą, która troszczyła się o Lisę w dzień i w nocy, była panna Birkner. Nie robiła tego jednak z tak ostentacyjną czułością jak hrabina. Przygotowywała różne specjały, które z pochmurną miną podawała dziewczynie, dbając o to, żeby na talerzu nie został ani okruszek. Punktualnie co dwie godziny stawiała przed Lisą szklanekę świeżego mleka i nie odeszła, dopóki szklanka nie została opróżniona do dna. Gdy raz Lisa podjęła próbę buntu, natychmiast nastąpiła wojownicza oracja, karcąca ją za nieposłuszeństwo. Czy już do końca życia ma zamiar być takim chuchrem, co nie ma na sobie ani odrobiny ciała? Tego w Rahnsdorf jeszcze nie było. Tu trzeba zjadać i wypijać wszystko, co przygotowano. I basta!

Początkowo Lisa była onieśmielona sposobem bycia panny Birkner, jej przemowami i grymasami. Stopniowo jednak przyzwyczajała się do tego, aż wreszcie nauczyła się śmiać serdecznie z groźnych pomruków i marsowej miny służącej. Piła i jadła jednak wszystko zgodnie z przykazaniem Marianny, tak że na efekty nie trzeba było długo czekać. Jej kształty się zaokrągliły, a twarz nabrała rumieńców. Nareszcie wyglądała na zdrową, rześką dziewczynę. Starania panny Birkner zostały więc wynagrodzone.

Pani Rahnsdorf przesiadywała często ze swoją bratanicą w mieniącym się wiosennymi ozdobami ogrodzie. Miały stąd wspaniałe widoki na gęsty, dziewiczy las i góry ponad nim, często osłonięte dyskretnym, błękitnym oparem mgły. Powietrze u stóp Lasu Turyńskiego wypełniał zapach kwitnących bzów, rosnących długim, fioletowym szpalerem wzdłuż ogrodu.

Lisa westchnęła cicho.

— Jak tu u ciebie pięknie, cioteczko Anno!

Hrabina rozejrzała się z zadowoleniem.

— Tak, drogie dziecko, kocham Rahnsdorf. Jednak od śmierci mojego męża nie potrafiłam docenić piękna tego miejsca. Żyjąc samotnie, człowiek traci stopniowo poczucie piękna. Teraz, kiedy jesteś przy mnie, mam wrażenie, jakbym odkrywała Rahnsdorf z powrotem, jakby mi ktoś podarował moje dobra po raz wtóry, jakbym stała się innym człowiekiem. Widzisz, ptaszyno, jak wielka jest twoja moc.

Lisa przytuliła się do ciotki. Była szczęśliwa, dając jej tyle radości. Dla niej też starała się usilnie pozbyć swych fobii i swego płochliwego usposobienia.

— Jak wspaniale ułożyłoby się moje życie, gdybym zaraz po śmierci rodziców zamieszkała u ciebie, droga ciociu! — powiedziała cicho.

Pani Rahnsdorf przytuliła ją jeszcze mocniej.

— W każdym razie ułożyłoby się inaczej. Przede wszystkim mogłabyś się tu swobodnie rozwijać. Czy byłabyś szczęśliwsza, tego nie wiem. Szczęście przybiera dla każdego człowieka inną postać. To, co jednych bawi nieprzytomnie, u innych nie wywołuje nawet cienia uśmiechu. Nie ulega wszakże najmniejszej wątpliwości, że pod moją pieczę twoja osobowość byłaby silniejsza. Nie sprawia ci, zdaje się, przykrości, że tak często utyskuję na ciotkę Herminę. Masz rację. Wprawdzie starała się na swój sposób zapewnić ci szczęście, ale zbyt dużo było w tym jej własnego interesu, a zbyt mało rzeczywistej troski

o twoje psychiczne potrzeby. Każdą próbę samodzielnego myślenia tłumiała w zarodku. Nie zważała na cechy osobowości, które przecież odróżniają ludzi od siebie, lecz próbowała zawsze wcisnąć cię siłą w gotowy szablon. Ten szablon pasuje niestety wyłącznie do niej. Dlatego pozostałaś takim zwiewnym kwiatuszkiem, niezwykle podatnym na wszelkie porywy wiatru. Nie jest jeszcze za późno, żeby to zmienić. Możesz stać się stabilnym dębem. Musisz tylko dużo jeść i często przebywać na świeżym powietrzu, a wkrótce sama siebie nie poznasz.

Lisa westchnęła. Wydawało jej się, że już za późno na zmiany, a poza tym nie czuła w sobie siły, dzięki której miałyby stać się drzewem.

— Wiem, że masz wobec mnie szlachetne zamiary, cioteczko, ale nie rób sobie zbyt wielu nadziei. To, że taka jestem nie jest winą ciotki Herminy, to jest raczej we mnie.

Pani Rahnsdorf potrząsnęła głową, pewna swego.

— Nie sądzę. Zastanów się dobrze nad swoją osobowością, nad tym, czego pragniesz, nad prawem do stanowienia o sobie. Kim właściwie jesteś? Czy nie jesteś w istocie małą, zakompleksioną dziewczynką, która w obliczu pierwszego poważnego problemu w swym życiu wpada w panikę i na dodatek opada na tyle z sił, że gotowa jest wyzionąć ducha? Podnieś się, wyprostuj i rozejrzyj dokoła. Ale nie na kilka metrów od siebie, lecz tak daleko, jak sięga twój wzrok. Tam zobaczysz swoją przyszłość. Na razie nie zdajesz sobie w ogóle sprawy, jaka ona może być. Życie nie kończy się na haftowaniu, dworskich rozmowach po francusku i graniu na pianinie. Ani nawet na tak wielkim rozczarowaniu, jakie cię spotkało. Człowiek nie może pełzać całe życie po ziemi, przygnieciony ogromem życiowych problemów i sparaliżowany strachem przed ich rozwiązaniem. Trzeba się bronić przed życiem i wziąć swój los we własne ręce. Jako młoda jeszcze kobieta zostałam nagle wdową. Też wydawało mi się, że moje życie mogłoby już się zakończyć. Kochałam mego męża nade wszystko i nie wiedziałam, jak sobie poradzić bez niego i jego miłości. Na szczęście miałam jednak pracę i obowiązki, które wymagały ode mnie zdecydowania i nie pozostawiały mi zbyt dużo czasu na rozpamiętywanie. Ty również powinnaś mieć swoją pracę i obowiązki, moje dziecko! Będziesz w Rahnsdorf moją następczynią, a to zobowiązuje. Pod moim oknem powinnaś nauczyć się, jak zarządzać takim majątkiem. Czy chcesz tego?

—Z całego serca, cioteczko Anno. Możesz mi wierzyć, że sama czułam często, jak puste jest moje życie. Raz nawet zaczęłam o tym rozmawiać z ciotką Herminą, ale ona bardzo się uniosła i nawymyślała mi od emancypantek. Stwierdziła, że szlachetnie urodzonej damie nie przystoją pospolite zajęcia. Nigdy więcej nie odważyłam się już wrócić do tego tematu.

—Nie odważyłaś się? Ty mały tchórze! O, i znowu patrzysz na mnie przestraszona i blada. Głowa do góry, Lisuniu! U mnie możesz się odważać na wszystko, słyszysz?! Wolno ci mówić bez ogródek, czego sobie życzysz.

— Ach, droga ciociu, chciałabym być taka jak ty. Tak silna i konsekwentna, tak pilna, i mądra. Wzbudzasz powszechny szacunek.

— Pomijając pannę Birkner — dorzuciła z uśmiechem hrabina.

— O, nie. Ona szanuje cię najbardziej, chociaż nie ma zwyczaju pokazywania tego po sobie. Nie dalej jak wczoraj powiedziała mi, że chyba nie ma drugiej takiej dziedziczki. Podobnie wyraził się o cioci Henryk, kiedy wiozł mnie tu swoim wozem mleczarskim. Wszyscy twoi ludzie bardzo cię cenią i jestem pewna, że wskoczyliby za tobą w ogień.

— Wolałabym nie ryzykować takiej próby ogniowej. A poza tym mam całą masę wad. No, ale któż ich nie ma! W gruncie rzeczy niewiele mam sobie do zarzucenia i jeśli tylko masz ochotę, mogę spróbować nauczyć cię, jak wzbudzić w ludziach szacunek do siebie. Ja z kolei nauczyłam się tego od mojego drogiego męża. Byłam bardzo młodą dziewczyną, gdy za niego wychodziłam. Było to zaraz po kampanii francuskiej, w której uczestniczył także mój mąż i z której przywiózł tę swoją przypadłość, która tak młodo mi go odebrała. Majątek był wtedy w opłakanym stanie i trzeba było zabrać się do wytężonej pracy, by go przywrócić do dawnej świetności. Od samego początku miałam mnóstwo przerastających mnie obowiązków. Ale nie poddawałam się i byłam dumna, gdy mój mąż chwalił mnie: „Aneczko, świetnie sobie z tym radisz, jesteś niezastąpiona”. Czułam się wtedy co najmniej tak, jakbym dostała order od cesarza. I te właśnie obowiązki pozwoliły mi potem znieść jakoś myśl, że mojego męża już nie ma. Praca jest najlepszą pocieszycielką, Liso.

Twarz młodej dziewczyny zaróżowiła się, nic jednak nie odpowiedziała. Przez chwilę panowała cisza, którą zdecydowała się przerwać pani Rahnsdorf:

— Wejdźmy do domu, Liso. Robi się coraz chłodniej. Jeśli masz ochotę, możemy w spokoju zająć się uporządkowaniem twoich rzeczy. Pana Birkner ułożyła je na razie prowizorycznie.

— Tak, cioteczko, zajmijmy się tym. Skąd w ogóle wzięły się tutaj moje rzeczy? Przecież były wysłane do Monachium.

— Poprosiłam twojego męża, aby postarał się o przysłanie ich.

Lisa drgnęła. „Twojego męża!” Jak dziwnie brzmiały te dwa słowa i jak

bardzo przyspieszały bicie jej serca! Pani Rahnsdorf zauważyła, jakie wrażenie wywarła jej odpowiedź. Jeszcze nie czas na bezpośrednią rozmowę między tym dwojgiem.

Znowu na chwilę zapadła cisza. Wreszcie hrabina podniosła się i poprowadziła Lisę w kierunku pałacu.

Panna Birkner przygotowała tymczasem w salonie stolik do herbaty. Kiedy pani Rahnsdorf wstała, by obsłużyć dziewczynę, Lisa powstrzymała ją ruchem dłoni, oświadczając przy tym:

— Od dzisiaj zamieniamy się rolami, cioteczko. Jak najszybciej powinnaś się przekonać, że mam naprawdę dużo chęci, żeby się zmienić. Rozsiądź się więc wygodnie w fotelu i pozwól mi się obsłużyć.

— Wspaniale, wreszcie będę mogła sobie posiedzieć z założonymi rękami, a miła memu sercu osoba będzie mnie rozpieszczać.

Lisa podała herbatę, cukier i ciasto, jak zawsze wspaniale przyrządzone przez pannę Birkner. Ciotka mrugnęła do bratanicy z zadowoleniem.

— Sympatyczna jest taka herbatka we dwójkę, nie uważasz? Powiedz mi jednak, moja droga, dlaczego czeszysz się jak zakonnica? Przecież w ten sposób skrywasz przed światem swoje wspaniałe włosy. Już dawno chciałam ci to powiedzieć.

Lisa pogładziła swe włosy drżącą ręką. Ta szkaradna fryzura, jak ją określił Ronald tamtego dnia, towarzyszyła jej raczej z przyzwyczajenia niż z wyboru. Poczerwieniła na myśl o druzgoczącej krytyce męża.

— Ciotka Hermina uznała, że jest mi w niej bardzo do twarzy i tak już zostało.

— A podoba ci się ta fryzura?

— Właściwie to nie.

— Mnie się ona nie podoba ani właściwie, ani niewłaściwie. Kompletnie do ciebie nie pasuje. Jeżeli masz ochotę, spróbujemy coś z tym zrobić.

Lisa znowu zaczęła rozpamiętywać dzień swojego ślubu. Miała wówczas ochotę, żeby służąca uczesała ją inaczej niż zwykle. Ach, jakże inny był wtedy jej świat! Cóż to miało teraz za znaczenie, jaką fryzurę będzie nosiła?

Potrząsnęła przecząco głową.

— Dajmy temu spokój, ciociu. Przecież to obojętne, a do tej fryzury jestem przynajmniej przyzwyczajona.

— Obojętne? Drogie dziecko, to wcale nie jest obojętne, jaką fryzurę nosisz. Nic nie potrafi tak kobiety upiększyć lub zeszpecić, jak odpowiednia bądź nieodpowiednia fryzura. A zawsze mamy obowiązek wyglądać tak dobrze, jak to tylko możliwe. Ty również powinnaś się postarać pokazać wszystkim swe atuty. Nie obawiaj się, nikt nie posądzi cię o próżność. Przyjrzyj się mojej fryzurze. Jestem już w podeszłym wieku i możesz mi wierzyć, że nie chcę kokietować swoim wyglądem, ale nigdy nie zdecydowałabym się na ułożenie swoich włosów w zwykły kok. Kiedy leżałaś z potarganymi i pozlepianymi włosami w czasie choroby, wyglądałaś o wiele lepiej niż z tą swoją fryzurą. Masz takie wspaniałe włosy, a układasz je w tak okropny sposób, że przynosi to efekt odwrotny do zamierzonego. Moja mała Liso, dla siebie samej, dla lepszego samopoczucia, powinnaś czym prędzej zmienić uczesanie.

Na wargach Lisy pojawił się gorzki uśmiech.

— Nawet najbardziej radykalne zmiany nie spowodują, że z dnia na dzień stanę się piękna. Przy moim wyglądzie lepiej będzie, jak od razu zrezygnuję z wszelkich prób. To nie ma sensu, ciociu Anno.

— Przy twoim wyglądzie? A co ty masz sobie do zarzucenia? Jesteś zgrabna, masz piękne, duże oczy, zdrowe zęby, wspaniałe gęste włosy i gładką, choć może trochę zbyt bladą cerę. Mając takie warunki każda kobieta na twoim miejscu skakałaby z radości. Wierz mi, najbardziej ponętne kobiety, jakie w życiu spotkałam, nie były wcale klasycznymi pięknościami. Musisz tylko poświęcić swemu wyglądowi więcej czasu. Musisz też nabrać nieco kształtów — no, ale o to już zatroszczy się nasza panna Birkner. Później poprzymierzamy trochę sukien, żeby wybrać najodpowiedniejsze dla ciebie. Zobaczysz, jaką jesteś atrakcyjną kobietą. Musisz to zrobić choćby ze względu na mnie, na moje poczucie estetyki.

Lisa westchnęła i powiedziała cicho:

— Nie masz do mnie szczęścia, ciociu.

— Liso, potrzebujesz tylko trochę czasu. Na początek spróbuj się inaczej uczesać.

— Obawiam się, że nie mam zbyt wyrobionego smaku.

— W takim razie ja ci pomogę. Niestety nie ma w tej chwili w Rahnsdorf francuskiej pokojówki. Spróbujemy, co?

— Jeśli tylko sprawi ci to przyjemność.

— Oczywiście, że mi to sprawi przyjemność, skarbie.

Po herbatce obie panie udały się do pokoju Lisy. Tam dziewczyna musiała usiąść przed swą toaletką i założyć wokół szyi fartuch fryzjerski, a pani Rahnsdorf z zapalem zabrała się do czesania i modelowania długich, bujnych włosów bratanicy. Ułożyła je nad czołem w taki sposób, że naturalnie i bardzo efektownie opadały po obu stronach twarzy. Potem zebrała je w delikatne sploty i utworzyła z nich coś na kształt wianka, który wieńczył obfitą fryzurę nad czołem. Była niezmiernie zdziwiona zmianą, jaka dokonała się w wyglądzie Lisy — była to nieomal inna dziewczyna. Podała więc swemu modelowi lustro.

— No, powiedz sama, Liso, czy nie wyglądasz ładniej? Cóż to za atrakcyjna dziewczyna spogląda na nas z lustrem?

Lisa uśmiechnęła się.

— Tak, cioteczko. Jestem mile zaskoczona moim obecnym wyglądem. To zadziwiające, czego potrafią dokonać twoje zręczne dłonie! Jakże szpetna musiałam wydać się Ronaldowi w poprzednim uczesaniu! Dopiero teraz to widzę.

— Nieprawda! A skoro już jesteśmy przy poprawianiu twojego wizerunku, zrobmy też przegląd twoich ubrań. Oglądając pobieżnie twoje suknie, doszłam do wniosku, że przy ich doborze nie kierowano się zmysłem kolorystycznym. Będiesz przymierzać jedną po drugiej i wspólnie zastanowimy się, czy dany ubiór przydaje ci wdzięku, czy może wręcz przeciwnie. Poddamy twoje sukienki wyjątkowo ostrej krytyce i ta, która nam się nie spodoba, będzie bezwzględnie wyrzucona. Obiecuję ci jednocześnie, że za każdy kostium, którego się pozbedziemy, otrzymasz ode mnie w prezencie inny.

Z pomocą ciotki Lisa zaczęła przymierzać po kolei wszystkie ubiory ze swej garderoby. Wobec większości z nich pani Rahnsdorf formułowała kategoryczne zarzuty, pokazując przy tym Lisie, jakie mankamenty

może skrywać nawet tak drogie ubranie. Dziewczyna, nie chcąc urazić pełnej zapału ciotki, starała się wysłuchiwać każdorazowego wykładu jak najuważniej. Hrabina potrafiła równocześnie uzasadnić swą krytyczną ocenę w tak przekonujący sposób, że Lisa traktowała jej słowa jako dobrą lekcję kobiecej Ioalety i dawała się przekonać.

— Mam wrażenie, Liso, że wybierałaś swoje kostiumy w sposób mało przemyślany, a być może nawet przypadkowy. Jak możesz nosić szarą suknię do kasztanowych włosów i bladej cery, a do tego jeszcze fioletowe ozdoby! To są przecież ulubione kolory starszych pań.

— Ciotka Hermina bardzo lubi barwę szarą i fioletową.

— Ciotka Hermina? Do niej to one może i pasują. Ale ty przecież nie jesteś ciotką Herminą. Czy tobie także podobają się te kolory?

— Nie, w gruncie rzeczy nie. To ciotka Hermina wybierała mi takie sukienki.

— Nie pytając cię w ogóle o zdanie?

— O takie rzeczy nigdy mnie nie pytała.

No, oczywiście, że nie. Byłam tego pewna. Jednak uważam, że ciotka Hermina, pochodząca w końcu z tak znamienitego domu, mogłaby, dobierając własne kreacje, kierować się znacznie lepszym gustem. Zdejmij, Liso, szybko tę przerażającą suknię! Wyglądasz w niej jak wiekowa matrona. Powinnaś nosić jak najwięcej bieli, do twarzy będzie ci też w granacie i w stonowanej zieleni. Myślę również, że czasem mogłabyś ubierać coś czarnego lub ciemnoczerwonego. Ale właśnie tych kolorów brakuje w twojej bogatej garderobie. Zamówię ci kilka nowych, modnych strojów, które wspólnie wybierzemy. Tej sukni nie musisz nawet zakładać, ani tej, ani tej tam. Te dwie białe mogą zostać — nie są wcale takie złe. A te dwie kreacje wyglądają dość praktycznie i będziesz je mogła nosić przy pracach gospodarskich. Wszystkich pozostałych trzeba się będzie pozbyć!

— Cóż jednak z nimi zrobimy, cioteczko? Przecież większość jest zupełnie nowa.

— Hm, zastanówmy się!

Pani Rahnsdorf przyglądała się dłuższą chwilę odrzuconym sukienkom, by wreszcie z uśmiechem oświadczyć:

— Ta tutaj, ta szara z fioletowymi ozdobami, będzie prezentem dla żony nauczyciela z wioski. Pani Janke jest koło czterdziestki i ma mniej więcej twoją figurę. Nawet nie wiesz, jak się ucieszy! A te dwie jedwabne suknie wieczorowe — jestem zdania, że w różowym jest ci równie nie do twarzy jak i w turkusowym — подарujemy córkom mojego zarządcy, pewnie chodzą czasem na bale w Jenie, więc przyszłej zimy będą mogły się nimi pochwalić. Obie są brunetkami o rumianych cerach i z pewnością będzie to coś dla nich. Zaraz polecę zawołać je tutaj. Będiesz mogła cieszyć się ich radością z tego prezentu. Suknie z prawdziwego jedwabiu to dla nich coś bajkowego. Przygotuj się, bo mogą nas zamęczać uściskami!

— Czy to te dwie ładne dziewczyny, które przyniosły mi wczoraj takie wielkie bukiety fiołków?

— Tak, to Małgorzata i Fryderyka. Trzymałam je obie do chrztu i ponieważ wyrosły na bardzo miłe dziewczyny, czasem z przyjemnością daję im jakiś prezent. Małgosia mogłaby dostać też tę żółtą bluzkę, Frydzia tę błękitną.

Lisa zaśmiała się do siebie.

— Och, cioteczko, gdyby ciocia Hermina się o tym dowiedziała, chyba doznałaby szoku.

— Może by jej to pomogło. No, ale cóż my tam jeszcze mamy?

Końcami palców uniosła poranną sukienkę o ostrej, czerwonej barwie, przystrojoną niezliczoną ilością koronek.

— A cóż to takiego?! Czy i to musiałaś na siebie zakładać?

— Mnie się to też nie podobało, ciociu Anno.

Dzięki Bogu, że chociaż zdajesz sobie sprawę z jej brzydoty. Gdybyś powiedziała coś innego, nigdy bym ci nie wybaczyła takiego braku gustu. Ta sukienka nadaje się w sam raz na scenę jakiegoś prowincjonalnego teatrzyku. Może przy skąpym oświetleniu, czarnych włosach i ostrym makijażu wyglądałaby ciekawie. Ale w świetle poranka i na czczo — nie, ciocia Hermina ma najwyraźniej nie po kolei w głowie.

Ten ostatni komentarz wywołał u Lisy wesołość.

— No, ale co my z nią zrobimy? Przecież nie damy jej córkom zarządcy. Pannie Birkner też się nie spodoba.

Pani Rahnsdorf pocałowała bratanicę w policzek.

Popatrzcie państwo, jajko robi się mądrzejsze od kury! Twój pomysł jest naprawdę zabawny: panna Birkner każdego ranka w takim kostiumie! Ale jak byśmy ją nakłonili, żeby zaczęła się tak stroić? Przecież od razu by nas wyśmiała. Nie, nie zamierzam się poddać i nawet dla tak przerażającego wytworu ludzkich rąk mam pewne zastosowanie. I myślę nawet, że całkiem niezłe. Ta sukienka może stać się sławna.

— Ale w jaki sposób?

— W bardzo prosty. Widziałam tej zimy w teatrze w Jenie pewną niezwykle powabną i utalentowaną aktoreczkę. Jest to niewątpliwie osóbka początkująca w swojej profesji i posiada wyjątkowo ubogą garderobę. Jako sukienkę poranną nosiła coś lnianego, trudnego do opisanego, w białym, a raczej w ciemnobiałym kolorze. Zapakujmy więc szybko tę sukienkę w paczkę, dołączmy do niej jeszcze tamte dwa kapelusze, które cię postarzają i wyślijmy pocztą tej małej aktoreczce. Powinna być jeszcze w Jenie. Za jednym zamachem zrobimy dobry uczynek i pozbędziemy się tego straszysła. Zgoda?

— Zgoda, droga cioteczko.

W ten sposób udało się niemal wyczerpać garderobiane zapasy Lisy i jeszcze tego samego wieczora obie panie zajęły się przeglądaniem żurnaliów mody, w celu wyszukania dziewczynie efektownych i modnych kreacji.

Lisa była początkowo wniebowzięta, gdy mogła samodzielnie podejmować tego typu decyzje. Jednak po pewnym czasie przypomniała sobie słowa, jakimi opisał ją Ronald zupełnie obcemu przecież człowiekowi. Od tamtej pory inaczej patrzyła w lustro i mimo najlepszych chęci ciotki Anny, nie wierzyła, by te zabiegi mogły zmienić jego opinię.

XII

Upłynęły z górą trzy miesiące od wesela i ucieczki Lisy. Dziewczyna zdażyła się już świetnie zaaklimatyzować w Rahnsdorf i traktowała to miejsce jak własny dom, o co usilnie zabiegała hrabina Anna. W sercu Lisy kryły się jednak wciąż dawne zmartwienia. W obecności ciotki starała się wyglądać pogodnie i beztrasko, kiedy jednak zostawała sama, powracały wspomnienia cudownych dni oczekiwania na ślub z Ronaldem i gorzkiego przebudzenia z tego bajkowego snu. Przygnębiało ją to i nie pozwalało radować się z pobytu w Rahnsdorf.

Hrabina doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co działo się w sercu dziewczyny. Z wielką ostrożnością starała się pocieszać bratanicę. Robiła to bardzo delikatnie, w przeciwieństwie do metod stosowanych przez Konsulową. Starła się wszelkimi sposobami wzmocnić Lisę psychicznie. Zawsze gruntownie zastanawiała się nad każdą dotyczącą jej sprawą — czy był to rozkład dnia, czy ubiór, czy dobór lektur. Najważniejsze było, aby charakter Lisy umocnił się. Wypełniła jej czas w taki sposób, że zagospodarowała go zupełnie, nie przemęczając jej przy tym nadmiarem obowiązków. Miała zawsze samodzielnie podejmować wszelkie decyzje, a hrabina i panna Birkner służyły jej radą do czasu, aż nabierze pewności siebie.

Lisa znalazła się więc w zamkniętym kręgu stałych zajęć, w którym miała praktycznie nieograniczoną swobodę działania. Miało to kojący wpływ na jej problemy sercowe i była wdzięczna ciotce za tak nieocenioną pomoc. Jednocześnie też zmieniał się jej wygląd. Figura stała się bardziej kobieca, a ruchy pewniejsze i zgrabniejsze. Policzki nabrały zdrowych rumieńców, a twarz emanowała spokojem i powagą, z którymi mimo młodego wieku było Lisie dobrze. Chodziła teraz z wysoko uniesioną głową i swobodnie rozglądała się wokół siebie. Coraz mniej przypominała to wylęknione stworzenie, hodowane w klatce przez panią Limbach. Pani Rahnsdorf była dumna, że to dzięki pobytowi Lisy w jej majątku dokonała się w niej tak

cudowna przemiana.

— Marianno, popatrz tylko, w jak wspaniałego łabędzia rozwinęło się nasze nieopierzone pisklą — mawiała często z satysfakcją.

Panna Birkner robiła tę swoją chmurną minę i odpowiadała:

— A cóż w tym dziwnego?! Gdyby ktoś tutaj, w Rahnsdorf, nie odzyskał sił i nie nabrał chęci do roboty, znaczyłoby to, że i tak nic by z niego nie było. Od samego początku mówiłam, że już my ją tu wykurujemy, to też i wykurowaliśmy.

— Nie bądźże taka wojownicza, Marianno. Przecież i tobie bardzo zależało na powrocie Lisy do zdrowia.

— Tak, ale nie ma powodu, żeby ciągle strzepić sobie język.

Zgodnie z zapowiedzią w kilka dni po wyzdrowieniu bratanicy wizytę w Rahnsdorf złożył Karol Limbach. Anna Rahnsdorf była szczęśliwa widząc go po tak długiej przerwie. Na przemian to śmiała się, to płakała. Ten nastrój udzielił się zresztą i jej bratu. Rodzeństwo puściło sobie wzajemnie w niepamięć wszelkie urazy, obiecując utrzymywać od tej chwili stały kontakt. Na wyraźną prośbę siostry konsul nie wspomniał w obecności Lisy ani słowem o Ronaldzie, ograniczając się jedynie do słów zachwytu nad jej wdziękami i ubiorem.

Wyjeżdżając Karol Limbach ujął dłoń Lisy i poważnie spojrzał jej w oczy.

— Nie chciałbym cię popędzać ani w żaden sposób wpływać na twoją decyzję, droga Liso. To, co zamierzasz uczynić, musisz we własnym sercu dokładnie rozważyć, nie oglądając się na czyjeś rady. Ale pragnę ci przypomnieć, że na twoje postanowienie oczekuje w udreće osoba, dla której twoje szczęście jest najwyższym nakazem. Nie trzymaj go dłużej w niepewności i podejmij decyzję najszybciej, jak tylko będziesz w stanie. Jeżeli będziesz potrzebowała mojego wsparcia, daj mi tylko znać.

Lisa wysłuchiwała w milczeniu słów wuja. Nie wiedziała za bardzo, co odpowiedzieć.

Napisała list do ciotki Herminy, w którym prosiła ją o wybaczenie. Odpowiedzi nie otrzymała. W swym gniewie ciotka była nieprzejednana.

Ronald tymczasem pozostawał w stałym kontakcie listownym z hrabiną

Rahnsdorf, o czym Lisa nie mogła wiedzieć. Był istotnie niespokojny i wypytywał o decyzję żony. Ostatni list od niego nadszedł pewnego pięknego czerwcowego poranka. Hrabina mogła zapoznać się z jego treścią dopiero po śniadaniu, kiedy Lisa zajęła się swymi domowymi obowiązkami. Ronald pisał między innymi:

Nie mogę już znieść niepewności, łaskawa pani. Czy naprawdę nie mogę jeszcze przyjechać, by porozmawiać z Lisą? Jakże długo to trwa! Znajomi zaczynają już przyglądać mi się nieufnie i wypytywać, gdzież to podziewa się moja młoda małżonka. Panie z towarzystwa są jeszcze bardziej nieufne. Gdyby nie mój wierny druh, Mallwitz, który jest mi nieocenioną podporą w tych ciężkich chwilach, niechybnie bym się załamał. W tym wielkim mieszkaniu, do którego się z konieczności wprowadziłem, czuję się bardzo nieswojo. Nie wiem nawet, czy Lisa kiedykolwiek da mi prawo traktować to mieszkanie jak moje własne. Tymczasem czuję się tutaj jak intruz. Nawet służba przygląda mi się ukradkiem, chociaż pozwalam im prowadzić wygodne, niemal próżniacze życie. Koniec końców, szanowna pani hrabino, tak dalej być nie może. Muszę się koniecznie spotkać z Lisą i usłyszeć od niej, co z nami będzie, by mieć przynajmniej tę pewność. Do prośby pani, żeby zachować cierpliwość i pozwolić Lisie dojść do siebie, stosowałem się, póki mogłem. Proszę mnie już dłużej nie torturować! Znosiłem swe cierpienia z pokorą, ale tęsknota za Lisą nie daje mi spokoju. Kocham moją żonę i pragnę z nią być. Nie mam pojęcia, dlaczego dokonała się we mnie tak radykalna zmiana, ale w tej chwili moim najgorętszym pragnieniem jest wziąć Lisę w ramiona i spojrzeć w jej niewinne, pełne czułości oczy, mając nadzieję, że będzie patrzyła na mnie tak, jak przed tym nieszczęśliwym incydentem.

Proszę więc raz jeszcze, żeby przekazała pani Lisie, iż muszę się z nią jak najszybciej zobaczyć. Wina wobec niej ciąży mi jak kamień. Muszę usłyszeć z jej ust, że mi przebacza. Z niecierpliwością czekam na pani odpowiedź i odliczam już godziny, dzielące mnie od spotkania. Szczerze oddany

Anna Rahnsdorf bardzo dokładnie przeczytała list i na jej twarzy zagościł radosny uśmiech. Powoli złożyła pismo. Potem wyszła, żeby odszukać Lisę.

Znalazła ją w ogrodzie, gdzie wspólnie z panną Birkner zajęta była zbieraniem poziomek. Pierwszy rzut owoców już dojrzał i można było zacząć zbiory. Z uśmiechem podeszła do bratanicy.

— I cóż, moje dziecko, podoba ci się praca w ogrodzie?

Lisa zerknęła na nią znad rabatki, odwzajemniając jej uśmiech.

— Jest wspaniale, cioteczko Anno. Popatrz tylko na te wszystkie cudowne owoce! To zakwitanie i owocowanie dokoła jest dla mnie jak objawienie. Jakże byłam ślepa, gdy mieszkałam w mieście! Tylekroć przechodziłam obok straganów z owocami, nie wiedząc skąd się biorą. Teraz wiem, ile pracy trzeba włożyć, żeby zebrać owoce. Z nabożeństwem biorę do ręki każdy z tych wspaniałych darów przyrody.

Pani Rahnsdorf pokiwała głową, ciesząc się w duchu z tego, że dziewczyna doceniła jej wysiłki.

— Tak, Liso, natura jest najwspanialszym kościołem, który naucza nas tysiącami języków o dobroci i potędze Boga. My, niedowiarki, myślimy o cudach i objawieniach jako o czymś wielkim i niepojętym, podczas gdy każde ziarenko, każdy liść i każdy kwiat jest tym właśnie cudem. No, ale myślę, że na dzisiaj masz już chyba dość zbierania poziomek. Chodźmy do altany! Musimy o czymś poważnie porozmawiać.

Lisa podniosła się powoli.

— Marianna uważa, że trzeba jeszcze przejrzeć tę grządkę — powiedziała.

— No, jasne, że trzeba, bo inaczej owoce zgniją. A jeśli by popadało, to będą brudne i porozgniatane. Ale mogę wziąć sobie do pomocy Linę. Proszę iść z łaskawą panią. Poradzę sobie — oświadczyła pani Birkner.

Pani Rahnsdorf i Lisa mogły więc spokojnie pójść do altany. Ogród przy zamku Rahnsdorf był tak wielki, że nie było widać jego drugiego końca.

Większą jego część pokrywały drzewa owocowe. Mniejsza część była przeznaczona pod uprawy, przede wszystkim różnego rodzaju owoców jagodowych. Za nimi rozciągał się spory warzywnik, graniczący po lewej stronie z rabatami kwiatów, spośród których największe wrażenie robiły okazałe róże, będące właśnie w okresie kwitnienia. Altana znajdowała się bezpośrednio za kwiatową częścią ogrodu. Jej wyposażenie stanowiły pięknie wyplatane meble, w tym również wygodne fotele.

Pani Rahnsdorf posadziła swą bratanicę naprzeciw siebie.

— Wiesz, ciociu Anno, nigdy nie wyjadę z Rahnsdorf — oświadczyła Liso. — Nigdzie na świecie nie może być cudowniej.

— Ach, jaka piękna z ciebie kobieta, moja mała! Jak tylko sobie pomyślę o tej zaszczutej, chuderlawej dziewczynie, którą mi tu Henryk przywiózł na swym wozie mleczarskim parę miesięcy temu, nie chce mi się wierzyć, że to byłaś ty.

— To twoje dzieło, cioteczko, no i trochę też panny Birkner.

— A więc jesteś w Rahnsdorf szczęśliwa, Liso?

— Tak, nawet sobie nie wyobrażasz, ciociu, jak bardzo!

Hrabina spoważniała nagle i obrzuciła Lisę przenikliwym spojrzeniem.

— Teraz nie mówisz mi prawdy, dziecko!

Lisa poczerwieniała.

— Jestem szczęśliwa, na ile mogę — powiedziała cicho.

— To co innego! Mówisz mi, że chciałabyś tu zostać. Byłoby to również moim życzeniem, ale musisz pamiętać jeszcze o osobie, która również ma do ciebie pewne prawa.

Dziewczyna dla odmiany zbladła, poderwała się z fotela, jakby chciała uciec.

— Nie, proszę, nie mów mi o tym! — wyrzuciła z siebie, patrząc na ciotkę w ten swój dawny, pełen lęku sposób.

Pani Rahnsdorf chwyciła ją za rękę, powstrzymując przed odejściem.

— Siedź, proszę, moje dziecko! Nie na wiele ci się zda ciągle chowanie głowy w piasek. Musimy o tym porozmawiać. Dotychczas zawsze starałam się unikać tego tematu, wiedząc, że taka właśnie będzie twoja reakcja. Dzisiaj jednak musisz przez to przejść. Czy chociaż raz zastanowiłaś się, w jak

trudnym i przykrym położeniu znalazł się twój mąż?

Lisa zagłębiła się w fotel, zaciskając spazmatycznie dłonie.

— Przecież jest wolny — powiedziała bezbarwnym głosem.

— Nie, mylisz się, Liso. Nie jest ani wolny, ani związany. I z tobą jest podobnie, moja droga. Różnica między twoim położeniem a jego polega na tym, że ty mieszkasz tu sobie spokojnie w odosobnieniu, podczas gdy on z racji swojego zawodu jest codziennie narażony na ciągłe pytania i uwagi na twój temat. Musi odpowiadać na sztandarowe pytanie: A jak się miewa pańska czcigodna małżonka? Czy powróciła już do zdrowia? Tak dalej być nie może! Musisz podjąć decyzję i wyjaśnić całą tę sprawę!

Lisa wpatrywała się z niepokojem w swą ciotkę.

— Nie mogę do niego wrócić, cioteczko. Napisz do niego, proszę cię!

— Musisz mu to sama powiedzieć, moje drogie dziecko. W każdym liście prosi mnie o to, bym pozwoliła mu na przyjazd tu i bezpośrednią rozmowę z tobą. Nie mogę już dłużej mu tego zabraniać, chyba to rozumiesz?

— To ty z nim korespondujesz? — Lisa zrobiła wielkie oczy ze zdziwienia.

— Tak, od czasu, gdy był w Rahnsdorf.

— Nic o tym nie wiedziałam.

— Przemilczałam to przed tobą, by zaoszczędzić ci trosk. Z tego samego też powodu nie wyjawiałam ci, że przez trzy tygodnie mieszkał tu w Rahnsdorf.

Lisa była wstrząśnięta.

— Trzy tygodnie? Tutaj, w Rahnsdorf? — zapytała ochryple.

— Tak, Liso, tak długo, jak leżałaś w łóżku zmożona gorączką.

— Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? — Dziewczyna była wyraźnie w szoku, chociaż starała się nad sobą panować.

— Nadmiar emocji mógł mieć dla ciebie tragiczne skutki. Byłaś przecież ciężko chora i potrzebowałaś przede wszystkim spokoju. Dlatego wyjechał dzień wcześniej, nim wstałaś z łóżka. Pamiętasz jeszcze tamten bukiet pierwiosnków i zawilców, który panna Birkner postawiła obok twojego łóżka? Bardzo się z niego ucieszyłaś.

Lisa skinęła głową.

— Te kwiaty zerwał dla ciebie Ronald.

Lisa ukryła twarz w dłoniach i siedziała dłuższą chwilę nieruchomo. Tylko ciężki oddech zdradzał stan duszy dziewczyny.

— Tak, drogie dziecko. Gdybym z twoich własnych ust nie usłyszała, że Ronald cię nie kocha, nigdy bym w to nie uwierzyła i sądziłabym, że jest odwrotnie. Być może dopiero po twojej ucieczce przejrzał na oczy i odkrył, jak bardzo mu na tobie zależy. Serce człowieka jest wielką niewiadomą.

Lisa opuściła ręce, ukazując zbolące oblicze. Siedziała przez moment w bezruchu, po czym wstała.

— Wybacz mi, ciociu, tak tutaj gorąco — powiedziała drżącym głosem i pospiesznie oddaliła się w kierunku domu.

Pani Rahnsdorf nie zatrzymywała jej, odprowadziła ją tylko wzrokiem, myśląc w duchu: „Biedne dziecko! Od początku musi zmagać się ze swym zmartwieniem, a jej nie mogę w niczym pomóc.”

Do południa Lisa nie opuszczała swego pokoju. Wszystkie rany w jej sercu otworzyły się na nowo. Siedziała na kanapie, roztrząsając po kolei każde słowo dzisiejszej rozmowy z ciotką i porównując je z tymi usłyszanymi przed trzema miesiącami w pokoju hotelowym. Ronald był tyle czasu w Rahnsdorf, martwił się o nią i troszczył, a nawet zerwał dla niej bukiet kwiatów! I wyglądało to na miłość. Na miłość!

Za chwilę jednak inaczej zinterpretowała sobie zachowanie męża i gorzki uśmiech pojawił się na jej ustach. Przecież on kochał inną, więc to nie mogła być miłość, lecz poczucie winy, żal za grzechy. Ale przecież nie powinien czuć się winny, nie powinien zadrećcać się tym, co zaszło. Powinien czuć się wolny, szczęśliwy, że został nieoczekiwanie uwolniony z kajdanów niechcianej miłości.

Chciał z nią rozmawiać! Zadrzała. Jego widok sprawiłby jej niewysłowiony ból, tego była pewna. Ale kiedyś musi się zdecydować, by stanąć z nim twarzą w twarz. Czy nie lepiej mieć to jak najszybciej za sobą? Myśli zaczęły jej się kotłować w głowie. Starła się je okiełznać, żeby wreszcie podjąć właściwą decyzję.

Kiedy zeszła na obiad do jasno oświetlonej późnowiosennym słońcem jadalni, hrabina siedziała już przy stole. Lisa była bardzo blada i zatroska-

na, a jej powieki były zaczerwienione od płaczu. Lista jednak wyrażały determinację i upewniały panią Rahnsdorf, że jej bratanica podjęła decyzję.

Lisa podeszła do ciotki, by ją uściskać.

— Wybacz mi, że byłam taka nieokrzesana i uciekłam z altany.

— Nie mówmy o tym. Wiem doskonale, moje dziecko, jak ciężko ci to znosić.

— Czy naprawdę nie ma innego wyjścia, cioteczko? Muszę się z nim zobaczyć? — Upewniała się, wpatrując się w hrabinę swymi wielkimi oczami.

— Niestety nie ma, moja mała. Musisz się z nim niezwłocznie rozmówić. W końcu ty też nie jesteś bez winy. On wziął cię za żonę, mimo iż cię nie kochał, a ty od niego odeszłaś, mimo że go kochałaś. Pomyśl o tym, w jakiej stawiasz go teraz sytuacji. Mieszka tam sam w wielkim mieszkaniu, przeznaczonym dla was dwojga i wydaje wasze wspólne pieniądze. Jak to dla niego uciążliwe, opisywał mi w ostatnim liście. Drogie dziecko, nie ma nic gorszego niż niepewność. Dlatego też powinnaś mu jasno powiedzieć, że chcesz rozwodu, a wtedy on dołączy do ekspedycji na biegun południowy. Stanu, który między wami panuje obecnie, nie sposób dłużej utrzymywać.

— Nie, tego nie może zrobić swojej biednej matce! Przecież ona się zamartwi na śmierć!

— Jeśli jednak ty będziesz obstawała przy rozwodzie, to cóż innego mu pozostanie? Jego sytuacja byłaby wtedy pod każdym względem nie do pozazdroszczenia.

— Ale przecież my wcale nie musimy się rozwodzić. Możemy po prostu żyć oddzielnie.

— W sytuacji twojego męża niewielka to różnica. Jak wynika z jego listów, za czynsz, posłańca i inne wydatki jest zmuszony płacić z twoich pieniędzy. Znosi to jakoś w nadziei, że do niego wrócisz. Jeżeli to jednak dłużej potrwa, to wówczas przestanie korzystać z tego typu pomocy i jak łatwo się domyślić, nie pozostanie mu nic innego, jak jakieś radykalne rozwiązanie.

Lisa zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. Nagle jednak zatrzymała się

przed swoją ciotką i objęła ją mocno.

— Musisz mi pomóc, cioteczko Anno, proszę! Powiedz mi, jak znaleźć wyjście z tej sytuacji! Nie mogę z nim żyć, po prostu nie mogę! Pomóż mi! Jesteś taka mądra i doświadczona. W jaki sposób mogę mu pomóc, żeby go nie urazić. Jestem przecież bogata i na pewno jest jakieś wyjście.

— Tak bardzo go kochasz, a mimo to nie chcesz z nim być. — Pani Rahnsdorf pogładziła bratanicę po policzku.

— Właśnie dlatego, że go bardzo Kocham. Nie chcę żyć u jego boku w przeświadczeniu, że on mojej miłości nie potrzebuje. Zrozum mnie, ciociu!

— Uspokój się, dziecko! Najpierw z nim porozmawiaj i wyjaśnijcie sobie wszystko. Może wszystko się między wami ułoży.

— A jeżeli nie, to wtedy mi pomożesz?

— Tak, moja mała, pomogę ci.

— Jestem ci taka wdzięczna za to, co dla mnie robisz, cioteczko powiedziała Lisa, tuląc się do hrabiny.

— Daj spokój, dziecko. Zaraz do niego napiszę, żeby niezwłocznie przyjechał.

— Jeśli już tak musi być, to napisz.

— To konieczne. Pomyśl tylko, o ile swobodniej się poczujesz, kiedy będziesz miała to wreszcie za sobą. W tej chwili spotkanie z Ronaldem wydaje ci się przerażającym przeżyciem. — Pani Rahnsdorf powoli uwolniła się z objęć dziewczyny. — Teraz jednak, moja droga, zabierzmy się do jedzenia. Panna Birkner przygotowała nam wspaniałe potrawy, a na deser ubiła śmietaną, którą dostaniesz z własnoręcznie zebranymi poziomkami. Dobrze wiesz, że jeśli się zjedzeniem dobrze nie sprawisz, to dostaniesz od niej bukę.

XIII

Przez następne dwa dni Lisa była na zmianę przygnębiona i przejęta. Paniecznie obawiała się spotkania ze swym mężem. Pani Rahnsdorf przyglądała się jej z niepokojem, nie wiedząc, jak dziewczynie pomóc. Ponieważ jednak reakcja Lisy na samą myśl o spotkaniu z Ronaldem miała od trzech miesięcy charakter permanentnej fobii, zaczęła powoli tracić cierpliwość.

— Wstydz się, Liso! — oświadczyła wreszcie.

Dziewczyna przestraszyła się tak stanowczej przygany swej zazwyczaj bardzo opanowanej ciotki.

— Ależ, ciociu...

— Nie, dziecko, nie chcę nic słyszeć! Doprawdy zasmucasz mnie swoim zachowaniem! Wszystkie moje wysiłki poszły chyba na marne, skoro zachowujesz się tak, jak przed trzema miesiącami. Jak wystraszone piskłę. A już sądziłam, że udało mi się zrobić z ciebie silną kobietę.

Przez kilka chwil Lisa stała skulona pod pręgierzem tak dobitnych słów. Potem jednak wyprostowała się, wzięła głęboki oddech i spojrzała pewnym siebie wzrokiem na hrabinę.

— Nie powinnaś odczuwać zawodu, ciociu Anno. Udowodnię ci, że nie trudziłaś się daremnie. Obiecuję ci teraz dobrowolnie, że postaram się zachowywać spokojnie i godnie.

— Moja dzielna Lisa! Sprawiałabyś mi wielką radość.

Lisa dotrzymała słowa. Od tej chwili zachowywała się zupełnie inaczej. Nawet jeśli w głębi serca drżała na samą myśl o spotkaniu z Ronaldem, to nie dawała nic po sobie poznać. Zdała sobie sprawę z nieuchronności tej rozmowy i starała się opanować swój strach.

Rankiem czwartego dnia od chwili, gdy Lisa zdecydowała się przyjąć Ronalda, nadszedł telegram. Ronald informował o swym przyjeździe południowym pociągiem. Pani Rahnsdorf postanowiła zatrzymać to w tajem-

nicy przed Lisą. Nie była pewna, czy taka wiadomość znowu nie wytrąci jej z równowagi. Pomyślała, że będzie lepiej, gdy młody małżonek zrobi swej żonie niespodziankę. Być może wyjdzie to dla nich obojga z korzyścią. Lisa nie będzie miała czasu, żeby się przygotować. W każdym razie szkody nie powinno to raczej nikomu wyrządzić.

O odpowiedniej porze hrabina wysłała na stację powóz, bacząc przy tym, żeby Lisa tego nie zauważyła. A tuż przed przybyciem gościa wzięła dziewczynę pod rękę i zaprowadziła do ogrodu pod pretekstem podwiązywania grochu na tyczkach. Lisa ochoczo zabrała się do pracy, której nigdy jeszcze nie wykonywała, a która wydała jej się i zabawna, i pożyteczna zarazem. Pani Rahnsdorf udzielała jej niezbędnych wskazówek, z przyjemnością przyglądając się zręczności bratanicy.

Lisa miała na biodrach białą, obcisłą spódnicę z falbanami. Do tego delikatną, białą, batystową bluzkę, ozdobioną wspaniałym ażurowym haftem i serdak. Ten prosty, ale gustowny strój uzupełniał wąski, złoty pasek. Obficie opadające włosy kłębiły się wokół lekko zaróżowionej twarzy, wyrażającej i wesołość, i kobiecą dojrzałość.

Ciotka Anna była bardzo zadowolona z wyglądu bratanicy. Była to zupełnie inna istota, niż ta, którą Ronald zachował w pamięci. Tamta była bezbarwna, źle uczesana i fatalnie ubrana. Tak wspaniały widok, jakim Lisa mogła go obecnie uraczyć, musiał rozniecić w nim uczucie, które i tak tliło się już w jego sercu. Była tego pewna.

Ronolda była pewna. Miała jednak spore wątpliwości co do zachowania Lisy. Nie będzie łatwo przekonać ją o tym, że mąż nagle zmienił obiekt swych uczuć i aktualnie to ona jest panią jego serca. Bez takiego przekonania Lisa z pewnością nigdy nie zdecyduje się wrócić wraz z Ronaldem. Trzeba więc będzie postępować z nią bardzo ostrożnie. Jeden fałszywy krok, a związek Ronalda Hechingena i Lisy Limbach może definitywnie zamienić się w ruinę.

Z zamyślenia wyrwało hrabinę turkotanie kół powozu po zamkowym bruku. Jeden rzut oka przekonał ją, że Lisa była zbyt zajęta swoją pracą, żeby cokolwiek słyszeć.

— Przypomniało mi się właśnie, że muszę wydać parę poleceń pannie

Birkner. Pójdę jej poszukać, Liso. Nie przeszkadzaj sobie. Zaraz do ciebie wracam.

Dziewczyna uśmiechnęła się ze zrozumieniem i pani Rahnsdorf mogła spokojnie wyjść na powitanie gościa. Ronald zdążył już wejść do hallu. Przywitała go bardzo serdecznie i zaprowadziła do salonu. W odpowiedzi na jego rozbiegany wzrok, powiedziała:

— Lisa jest w ogrodzie. Nie wie nic o pana przyjeździe. Świadomie zataiłam to przed nią, żeby było to dla niej niespodzianką. Będzie pan mógł do niej iść. W ogrodzie nikt nie będzie wam przeszkadzał. Wcześniej jednak pragnęłabym zamienić z panem kilka słów i prosić, by w rozmowie z moją bratanicą był pan bardzo ostrożny.

— Uważa więc pani, że moje szanse są raczej nikłe? — Spytał z niepokojem.

— Ani nie potwierdzam, ani nie zaprzeczam. Wszystko jest w pańskich rękach. Jeżeli uda się panu ją przekonać, że ją pan naprawdę kocha, to pańska udreka może się wreszcie skończyć.

— Och, co do tego, że uda mi się ją przekonać, jestem zupełnie spokojny — oświadczył Ronald z godną podziwu w tej sytuacji pewnością siebie.

— Proszę sobie jednak nie wyobrażać, że będzie to łatwe, mój drogi Ronaldzie.

Hechingen ucałował dłoń hrabiny.

— Traktuję to jako kolejny przejaw pani dobroci wobec mnie.

— Powiedzmy raczej: mojej sympatii dla pana. A więc tak, jak powiedziałam — proszę się nastawić na trudną rozmowę. Proszę także pamiętać, że po tak wielkim rozczarowaniu, jakie Lisa przeżyła, ma prawo do nieufności. Musi pan być delikatny.

— Proszę się nie obawiać, na pewno ją przekonam.

— Nie da się tego jednak na niej wymóc. Zatem proszę rozmawiać z nią spokojnie i nadzwyczaj ostrożnie! Proszę też być przygotowanym na to, że dzisiaj może się panu jeszcze nie udać. Należy dać Lisie tyle czasu, ile będzie trzeba. Jeśli będzie pan zbyt niecierpliwy, może pan wszystko zepsuć.

Ronald zrobił zawiedzioną minę.

— Pani słowa nie brzmią zbyt zachęcająco, hrabino.

— Ponieważ chcę pana przestrzec, by nie stawiał pan dzisiaj wszystkiego na jedną kartę. Nie uda się za pierwszym razem, to może uda się kiedy indziej. Tutaj potrzeba wiele mądrości. Kobiece serce to specyficzny wynalazek.

— Nie mogę żyć wiecznie w stanie takiego zawieszenia, droga pani, bo oszaleję. Gdy będę wracał jutro do domu, muszę już znać odpowiedź na pytanie, co dalej z moim życiem. Nie można już dłużej tuszować naszej separacji. Albo Lisa do mnie wróci, albo na zawsze zniknę z jej życia. Trzeciego wyjścia nie ma.

— Może jednak jakieś znajdziemy. Proszę iść teraz do Lisy i pamiętać o moich radach. Po waszej rozmowie spotkamy się ponownie.

Ronald pospieszył do ogrodu. Panowała tam niezmacona cisza. Rozglądał się wokół, szukając znanej mu postaci. Szedł główną ścieżką, na której drżące listki owocowych drzew rzucały delikatne smugi cienia. Dzień był piękny, więc cały ogród był skąpany w promieniach stojącego wysoko nad horyzontem czerwcowego słońca. Gdy Ronald minął jeden z krzewów, oddzielających część kwiatową ogrodu od sadu, przystanął nagle. Pomiedzy tyczkami grochu zauważył kobiecą postać, odwróconą do niego plecami. Wspinała się lekko na palcach, trzymając ręce uniesione wysoko ponad głową. Ta naturalna postawa sprawiała, że kształty i ruchy tej kobiety nabrały wyjątkowego wdzięku.

Serce Hechingena zabiło mocniej. Czy to możliwe, żeby to była Lisa? Ta postać wydała mu się większa i nieco cięższa niż Lisa, jaką zapamiętał: szczuplutka, słabiutka, poruszająca się niepewnie. A włosy — włosy wyglądały zupełnie inaczej, piękniejsze, bujniejsze, bardziej powabne, chociaż miały tę samą kasztanową barwę. Nie, to nie mogła być Lisa!

Stał tak przez chwilę, wpatrując się w dziewczynę. Opuściła ręce, gdyż pnącze było już przymocowane do pała. W tym momencie lekko obróciła się w stronę Ronalda, który dopiero teraz rozpoznał w ogrodniczce Lisę. Szybko ruszył w jej kierunku. Ona tymczasem miała już w ręku nową nić i sięgała po następne kłaczki. Wtedy usłyszała za sobą kroki, nie odwróciła się jednak, myśląc, że to ciotka Anna.

— Już wróciłaś, cioteczko? Spójrz tylko jak niepokorne są te dzikusy. Wiją się na wszystkie strony. To trochę tak, jakby broniły się przed kajdanami, które próbujemy im założyć.

Ronald, blady na twarzy, stał za nią, nie wiedząc, co powiedzieć. Ponieważ Lisa nie mogła się doczekać reakcji ciotki, odwróciła się przez ramię i wtedy go zobaczyła. W jednej chwili zbladła jeszcze bardziej niż Ronald, zatoczyła się i ostatkiem sił oparła o drzewo. Z rąk wypadły jej nożyce i nić. Jego pojawienie się wywołało w niej większy wstrząs, niż przypuszczała. Wszelkie próby zapanowania nad swym zachowaniem, jak to jej zawsze radziła ciotka Anna, zawiodły. W jej oczach zagościły dawne lęki. Jakże inaczej reagowała kiedyś na jego widok! Stojąc teraz przed nim czuła niemal fizyczny ból.

Ronald przyglądał się jej jednocześnie z zakłopotaniem i z podziwem. To jakieś czary! Czy to możliwe, żeby aż tak się zmienić! Zbliżył się do niej jeszcze o krok.

— Liso!

Dziewczyna była półprzytomna. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak wielkim szokiem musiały być dla niej tak nieopatrnie wypowiedziane kiedyś słowa. Ból przeszył jego serce.

— Wybacz mi, Liso. Wystraszyłem cię. Najwyraźniej się mnie nie spodziewałaś — próbował się usprawiedliwić.

Lisa podjęła trud opanowania się.

— Nie, nie wiedziałam, że masz przyjechać już dzisiaj — wybełkotała.

— Już? Dla mnie to była cała wieczność na wygnaniu, na które mnie skazałaś.

Wyprostowała się, przyjmując postawę zgodną z naukami hrabiny. Jednocześnie próbowała przypomnieć sobie zdania, które tak starannie układała na to spotkanie. Na jej twarzy pojawiła się, nieoczekiwanie dla Ronalda, pewność siebie.

Hechingen był oszołomiony jej urokiem. Minęły zaledwie trzy miesiące jej pobytu w Rahnsdorf, a widział przed sobą zupełnie inną dziewczynę. A może po prostu kiedyś patrzył na nią w inny sposób? Stali tak naprzeciw siebie dłuższą chwilę, aż wreszcie Lisa postanowiła zacząć rozmowę.

— Przyjechałeś niedawno?

— Tak.

— A więc pewnie masz ochotę trochę się odświeżyć po podróży? Idź, proszę, do domu. Powinna tam być ciocia Anna. Ja niedługo skończę i przyjdę do was.

Ronald popatrzył na nią zdumiony. Jakże szybko potrafiła się opanować i jak spokojnie wypowiedziała te słowa!

— Nie podasz mi ręki, Liso?

Na twarzy dziewczyny ponownie pojawił się rumieniec, lecz zniknął jeszcze szybciej.

— Wybacz mi! — powiedziała uprzejmie, podając mu swą dłoń. Młodzieniec poczuł delikatne drżenie. Uniósł ją niemal nabożnie do swych ust.

— Nie odsyłaj mnie, proszę. Już się widziałem z twoją ciotką i to ona mnie tutaj przysłała, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać. Chciałbym wreszcie zrzucić z siebie ten ciężar, który mnie przytłacza do ziemi i nie pozwala się podnieść.

Lisa najchętniej zostałaaby na parę minut sama, by odzyskać pełne panowanie nad sobą, ale gdy spojrzała na jego bladą twarz, postanowiła z tego zrezygnować. W końcu jakież ma sens opóźnianie tej rozmowy o kilka chwil.

— No więc chodź ze mną do altany. Zapewni nam osłonę przed słońcem — oświadczyła i poszła przodem.

Ronald podążył za nią, nie spuszczając z niej ani na moment wzroku.

— Siadaj, proszę — powiedziała Lisa, wskazując mężowi pleciony fotel.

— Jakże się zmieniłaś, Liso — rzekł Ronald, gdy usiadła obok niego. — Z wielkim trudem cię w ogóle rozpoznałem.

— To skutek mojej choroby — odparła, nie patrząc na niego.

— Po twojej chorobie nie widać ani śladu. Dzięki Bogu! Wyglądasz bardzo dobrze, jesteś chyba silniejsza i o wiele... — Hechingen przerwał w połowie zdania. Chciał powiedzieć „o wiele ładniejsza”, lecz dokończył: — ...zdrowsza.

Lisa ciągle patrzyła gdzieś ponad swym gościem.

—To skutek cudownej opieki cioci Anny. Jest dla mnie taka dobra, że w Rahnsdorf czuję się jak w domu.

Znowu zapadła cisza. Im bardziej Ronald starał się nad sobą zapanować, tym bardziej stawał się niespokojny. Nagle chwycił dziewczynę za rękę.

—Nie, Liso, dłużej tego nie zniosę. Rozmowa z tobą w tak oficjalnym tonie sprawia mi przykrość. Liso, gdybyś wiedziała, jak wielkie czyniłem sobie zarzuty, że coś podobnego mogłem zrobić! Wybacz mi! Od tamtego czasu nie miałem ani jednej spokojnej godziny. Na samo wspomnienie o tym, jaki ból musiały sprawić ci moje słowa, dręczyły mnie wyrzuty sumienia.

Dłoń Lisy ciągle pozostawała zamknięta w uchwycie Ronalda. Dziewczyna zamknęła na moment oczy. Zmusiła się do słabego uśmiechu, który przyszedł jej z wielkim trudem.

— Nie mam ci nic do wybaczenia.

— Ależ tak, Liso!

— Przecież nigdy nie powiedziałeś, że mnie kochasz. To było tylko moje pragnienie. Myślałam, że skoro się o mnie starasz, robisz to z miłości. Ach, jakaż ja byłam głupia! Jak mogłam uwierzyć, że taki mężczyzna jak ty mógłby zakochać się w tak niepozornej, przeciętnej dziewczynie jak ja! Nie sądziłam, że można się z kimś dobrowolnie wiązać, nie ofiarowując mu swojego serca.

W jej słowach nie było goryczy ani żalu, a mimo to Ronald przyjął je jako jeden z najcięższych zarzutów, jakie go kiedykolwiek spotkały.

— Liso! — zawołał wstrząśnięty.

— Nie, nie! Ani przez moment nie miałam do ciebie pretensji.

— To bardzo szlachetnie z twojej strony, ale nie uwalnia mnie to od poczucia winy.

— Ja cię uniewinniam. Przecież nie mogłeś wiedzieć, że cię Kocham i wierzę w twoją miłość. Zachowanie ciotki Herminy musiało upewnić cię w przekonaniu, że i z mojej strony nasz związek jest traktowany jako małżeństwo z rozsądku. Jak widać zawiedliśmy się oboje i doprawdy nie mam ci czego wybaczać. To raczej ja powinnam cię prosić o przebaczenie, że

moja ucieczka postawiła cię w takiej sytuacji.

— Przecież nie mogłaś inaczej postąpić. Doskonale rozumiem, Liso, co tobą kierowało w owym nieszczęśliwym momencie.

— Tak, po prostu nie mogłam się z tobą widzieć. Było mi wstyd. Dlatego też przez cały ten czas starałam się odwlec naszą rozmowę. Nie mogę przeboleć, że moja miłość była dla ciebie tak nieznośnym ciężarem.

Ostatnie zdanie Lisa wypowiedziała bardzo powoli, ciągle ignorując wzrok Ronalda.

— Wstydzisz się, że podarowałaś swoją miłość komuś tak niegodnemu jak ja — powiedział stłumionym głosem.

Spojrzała wreszcie na niego. Bolesny wyraz jego twarzy skłonił ją do złagodzenia swego sądu.

— Nie, nie o to mi chodziło. Nie jesteś człowiekiem niegodnym, Ronaldzie, lecz człowiekiem, który mnie nie pragnął. Nie mogę oceniać cię w innych kategoriach. Wiem już, że to życiowa konieczność, a nie miłość, skłoniły cię do zawarcia tego małżeństwa. Nigdy mnie nie okłamałeś, wyznając mi wymyślone uczucie. Nie ponosisz więc odpowiedzialności za to, co się między nami wydarzyło.

— Twoja wielkoduszność, Liso, powiększa tylko gorycz, która mnie przepelnia. To właśnie twoja szlachetność zawsze spędzała mi sen z powiek, zanim jeszcze doszło do owej rozmowy z Mallwitzem. Czułem, że nie jestem ciebie godny, czułem się przy tobie jak przestępca i to poczucie skłoniło mnie do wyżalenia się mojemu najlepszemu przyjacielowi.

— Dzięki Bogu, że mówiłeś na tyle głośno, że mogłam zrozumieć każde słowo. Gdybym później odkryła, że to nie ja jestem kobietą, którą kochasz i pożądasz, oznaczałoby to moją śmierć. Mimo że wiążą nas prawo i przysięga kościelna, jeszcze nie jestem twoją żoną, jeszcze jestem wolna i jest to jedyna rzecz, która pozwoliła mi przetrwać tak straszne poniżenie.

— Nigdy byś się o tym nie dowiedziała, Liso. Nigdy nie dałbym ci tego odczuć.

Dreszcz wstrząsnął ciałem dziewczyny. Zamknęła oczy.

— Za jakiś czas dowiedziałabym się pewnie w równie przypadkowy sposób i wówczas bym tego nie przeżyła — powiedziała łamiącym się głosem.

Ronald przyglądał się Lisie z niepokojem. Był wdzięczny losowi, że mógł ją kochać. Tylko jego miłość mogła ją wyleczyć z ran, które najwyraźniej nie chciały się zabiżnić. Najchętniej objąłby ją, pocałował jej pąsowe wargi i czułym szeptem wyznał swoje uczucie, ale coś w jej zachowaniu kazało mu powstrzymać się od tego. Nie mógł jej przestraszyć nagłym wybuchem swej namiętności. Z trudem opanował swoje podniecenie. Milcząco podziwiał tylko jej urodę, wspaniałe rysy i pełne powabu ruchy. Jakże czarująco prezentowała się w tej skromnej, białej sukience. To była jego żona, kobieta, z którą stanął przed ołtarzem i której ślubował wierność. Przez lekkomyślność stracił jednak prawa do niej i musiał teraz starać się o jej względy od początku. Było to o wiele trudniejsze niż za pierwszym razem, dzieliła ich bowiem bariera jej nieufności. Jediną oznaką ich związku była obrączka na palcu dziewczyny. Ronald ucałował ją. Lisa drgnęła i cofnęła dłoń.

— Liso, co się teraz z nami stanie?

Spojrzała na niego poważnie i odparła spokojnym tonem:

— Chodzi jedynie o to, żeby zachować pozory. Co do naszego wzajemnego stosunku to chyba oboje mamy dostateczną jasność. Nasz związek nie ma przyszłości i to chyba nie ulega wątpliwości.

— Czy jesteś aż tak bardzo nieprzejeđnana?

— Mam nadzieję, że nie będziesz próbował zmienić układu między nami — oświadczyła szorstko.

— Będę próbował, Liso. Zanim tu przyszedłem, byłem pewien, że uda mi się przekonać cię, że przez tych kilkanaście tygodni zaszła we mnie ogromna zmiana i że ten czas spędzony bez ciebie był najtrudniejszym okresem w moim życiu. Liso, kocham cię.

Dziewczyna zerwała się z fotela tak gwałtownie, że Ronald aż się przestraszył. Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

— Milcz! Nie obrażaj mnie! Wyznawanie mi teraz miłości jest dla mnie poniżające. Jak możesz kłamać mi prosto w oczy?! Nie wierzę w twoją miłość!

Usiadła z powrotem. Dygotała na całym ciele. Zaciśnęła usta w zawzięty grymas. Jej oczy płonęły. W tym momencie Ronald zdał sobie w pełni

sprawę, jak trudno będzie mu przekonać Lisę o szczerości swych słów.

— Liso, czy kiedykolwiek powiedziałem ci nieprawdę? Ach, gdybym mógł cię przekonać! Gdybyś mogła mi uwierzyć! Dopiero kiedy mnie opuściłaś, zdałem sobie sprawę, jak bardzo cię kochałem. Wszystkie cierpienia, jakich doznałaś przeze mnie, składają się teraz na moją udrękę.

Oblicze dziewczyny było nieruchome.

— Proszę, przestań już o tym mówić! Nie mogę tego słuchać. Pragnę wierzyć, że nie okłamujesz mnie świadomie. Może ci się naprawdę wydaje, że mnie kochasz. Jednak ja wiem swoje. To, co nazywasz miłością, to nic innego jak współczucie. Nigdy nie uwierzę, że tak nagle obudziło się w tobie żarliwe uczucie. Zakończmy więc już ten temat, jeżeli chcesz, żebyśmy rozmawiali dalej.

Patrząc na chłodną twarz Lisy, Ronald przypomniał sobie słowa hrabiny. Zalecała mu najwyższą ostrożność i jej ostrzeżenia okazały się zasadne. Zrozumiał, że na razie nie ma co liczyć na to, że Lisa mu uwierzy. Rany istotnie się jeszcze nie zabiły. Musiał dać jej więcej czasu i o swej miłości przekonywać czynami, a nie słowami.

— Jak sobie życzysz — powiedział cicho. — Ty decydujesz.

Lisa odetchnęła z ulgą, po czym odezwała się stłumionym głosem:

— Zapewne będziesz chciał się ze mną rozwieść. Uważam, że masz po temu wystarczające powody, bo przecież opuściłam cię zaraz po ślubie. Z mojej strony nie napotkasz żadnych przeszkód.

Ronald był zaskoczony. Rysy jego twarzy ściągnęły się.

— Nie mam takiego zamiaru — oświadczył z naciskiem.

Lisa patrzyła uważnie w jego oczy.

— Jeżeli na sprawie rozwodowej będę stroną ponoszącą winę za rozpad naszego małżeństwa, a byłoby to raczej pewne, skoro to ja ciebie opuściłam, wówczas... — Lisa zawahała się — stałbyś się właścicielem części mojego majątku. Przeczytałam o tym w jakiejś książce. Ach, Ronaldzie, gdybym tylko mogła ci pomóc! Gdybyś tylko mi na to pozwolił! Jestem bogata, a pieniądze nie mają dla mnie żadnego znaczenia. Tobie pomogłyby wy dostać się z tarapatów.

Ronald był wstrząśnięty.

— Bardziej dobitnie nie mogłaś mi okazać swojej pogardy. Jakże nisko mnie oceniasz! — powiedział z goryczą.

— Och, Ronaldzie, źle mnie rozumiałaś.

Patrzyli na siebie przez chwilę. Nigdy nie wydała mu się bardziej powabna niż w tej chwili. Nie czas było jednak na komplementy.

— Wydaje mi się, że zrozumiałem cię wystarczająco dobrze. Chcesz, żebyśmy się rozwiedli. Ty wzięłabyś na siebie całą winę, a ja za ten mój bohaterowski czyn dostałbym jeszcze pieniądze. Czy o to właśnie ci chodziło?

— Nie, nie. Zostawmy sprawę rozwodu! Proszę cię jedynie, abys pozwolił mi, jak staremu, wiernemu przyjacielowi, wziąć na swoje barki przynajmniej część tego ciężaru, który dźwigasz. Tylko o to mi chodzi.

— Nie kochasz mnie, Liso, teraz to pojmuję. Gdybyś mnie kochała, nigdy nie wysunęłabyś podobnej propozycji.

Policzki Lisy zaczerwieniły się jaskrawo.

— Ach, jakie to ma znaczenie, czy wierzysz w moją miłość, czy nie. Kocham cię z taką samą siłą, z jaką cię zawsze kochałam i z jaką zawsze będę cię kochać. Widzisz, nie wstydzę się wyznać ci tego, ponieważ chcę ci pokazać, że moja propozycja nie powinna być dla ciebie upokarzająca. Moja miłość daje mi prawo troszczyć się o twoją przyszłość. Jeśli nie masz mi za złe szczerości, z jaką powiedziałam ci właśnie o moim uczuciu do ciebie, to przyjmij moją pomoc. Niezależnie od tego, czy chcesz się ze mną rozwieść, czy też nie, powinienes wziąć część mojego bogactwa. Byłoby to dla mnie wielkie szczęście. Wprawdzie nie takie, jakie sobie jeszcze nie tak dawno wyobrażałam, ale pozwól mi się nim cieszyć i nie czuj się winny.

— Jakaś ty elokwentna, Liso! Jesteś bardzo zagadkową istotą. Nie masz pojęcia, jakim zaskoczeniem jest dla mnie twój wygląd, twoje zachowanie i twoje słowa. I ja uważałem cię kiedyś za niepozorną i pozbawioną wdzięku dziewczynę. Gdybyś potrafiła czytać w mojej duszy, byłabyś równie zaskoczona jak ja — wyrecytował Ronald niemal jednym tchem, całując Lisę w rękę.

— A więc zgadzasz się? Przyjmiesz moją pomoc?

Hechingen potrząsnął przecząco głową.

— Nie, Liso — powiedział, by po namyśle dodać: — chociaż właściwie

— tak. Pod jednym wszakże warunkiem.

— Pod jakim?

— Że pojedziesz ze mną i dasz mi szansę przekonania cię o mojej miłości.

Lisa znowu spoważniała. Uwolniła powoli swoją dłoń z jego uścisku.

— Nie, nie. Nie okłamuj samego siebie ani mnie. Zastanów się, przecież ty kochasz inną.

— Nie kocham żadnej innej, Liso. Jeżeli masz na myśli Lili Sanders, to już nieaktualne. Zareczyła się z innym mężczyzną. Całkiem niedawno.

Lisa opadła na fotel. Poczula współczucie dla RONALDA. Po takim ciosie, jak wyjście za mąż ukochanej kobiety, jego życie musiało lec w gruzach.

— Biedny RONALDZIE! Nie wiedziałam o tym.

Uśmiechnął się.

— Nie musisz mi współczuć. Jeżeli chcesz mnie uszczęśliwić, to po prostu ze mną wyjedź.

— Nie — powiedziała stanowczo, chociaż na jej twarzy malowało się współczucie. — Powtarzam ci po raz ostatni: nie mogę z tobą być, ponieważ nie wierzę w twoją miłość do mnie.

Ronald podniósł się i przez chwilę patrzył na ogród. Potem znowu obrócił się do LISY.

— A więc obstajesz przy rozwodzie?

— Ja nie. Pozostawiam to tobie.

— Ale ja nie mam żadnego powodu, żeby występować o rozwód. Proszę, zastanów się, co powiedzieć ludziom i co zrobić z naszym mieszkaniem. Musisz wyrazić się jaśniej. Jeżeli upierasz się przy swojej decyzji, to po powrocie natychmiast podejmę niezbędne przygotowania do wyprawy na biegun południowy. Nie musisz martwić się o moje problemy finansowe. Nikomu nie będę już musiał tłumaczyć twojej nieobecności. Kiedy po latach wrócę, nikt nie będzie pamiętał o moim krótkim małżeństwie.

Lisa zmartwiała na te słowa.

— Nie możesz tego zrobić swojej matce i siostrze, RONALDZIE.

Wzruszył ramionami.

— Jeżeli do mnie nie wrócisz, nie będę miał innego wyjścia.

Popatrzyła na niego błagalnie.

— Nie mogę, Ronaldzie, nie mogę! Opamiętaj się, nie rób tego! Chyba-
bym oszalała ze strachu o twoje życie. Na samą myśl o tych wszystkich
niebezpieczeństwach, na jakie byłbyś narażony, serce by mi pękło.

Lisa była bliska łez.

— Tak bardzo mnie kochasz?

Skinęła głową.

— Lękasz się o moje życie, a nie chcesz ze mną być.

— Zrozum mnie, nie mogę! — krzyknęła, załamując ręce. Wiedział, że nic
więcej nie wskóra i że nie powinien już jej dręczyć.

— Uspokój się, Liso. Nie powiem już ani słowa na ten temat. Mam jed-
nak nadzieję, że nadejdzie taki dzień, w którym uwierzysz w moją miłość
— powiedział spokojnie.

— Obiecujesz mi więc, że nigdzie się nie wybierzesz?

— Jeżeli to cię tak przeraża, to spróbuję znaleźć jakieś inne rozwiązanie.

Lisa odetchnęła, nieco uspokojona.

— Dziękuję ci, mój drogi.

— Co zrobić jednak z meblami z naszego mieszkania?

— Omów to, proszę, z ciocią Anną. Ona jest taka mądra i dobra. Może
znajdzie na to jakąś radę.

— Porozmawiam z nią.

— Chodźmy więc do domu. Ciocia z pewnością cię oczekuje.

W drodze do domu Ronald podziwiał opanowanie Lisy. Jakże dzielnie
się trzymała!

Panna Birkner stała właśnie w drzwiach, kiedy Ronald z Lisą wchodzili
do pałacu. Odsunęła się, by ich przepuścić. Ronald powiedział jej kilka
uprzejmych słów i podążył za żoną. Weszli do hallu. Lisa z coraz więk-
szym trudem opanowywała emocje.

— Wybacz mi, proszę, mam migrenę i muszę się położyć. Sam poroz-
mawiaj z ciocią.

Spojrzał na nią trochę zdziwiony.

— Czy zobaczę cię jeszcze przed moim odjazdem?

— Kiedy wyjeżdżasz?

— Dzisiaj wieczorem. Mam tylko jeden dzień do dyspozycji. O ósmej odchodzi z Porstendorf mój pociąg.

— Wyjdę cię pożegnać.

Ucałował jej dłoń i odprowadził ją wzrokiem aż do szczytu schodów. Potem odwrócił się, by poszukać hrabiny Rahnsdorf.

Nie było to zbyt trudne. Siedziała beczynn timer w salonie, czekając najwyraźniej na jego nadejście. Kiedy się do niej zbliżył, podniosła się szybko.

— I co? Przychodzi pan sam?

— Tak, przychodzę sam i sam też będę musiał odjechać.

— Gdzie jest Lisa?

— Prosi o wybaczenie. Musiała się położyć ze względu na migrenę. Obawiam się, że jest bardzo roztrzęsiona.

— Jak przebiegła rozmowa? Czy osiągnął pan coś? Proszę usiąść tu obok mnie i wszystko mi opowiedzieć.

Usiedli i Ronald przystąpił do zdawania szczegółowej relacji ze swego spotkania z Lisą. Hrabina przysłuchiwała się bardzo uważnie jego słowom. Na koniec stwierdził:

— Tak się właśnie mają sprawy między nami. Lisa kocha mnie, ja kocham ją, ale ona mi nie wierzy, ponieważ straciłem jej zaufanie. Miała pani rację. Niełatwo ją przekonać.

— Czyżby stracił pan już całą swoją odwagę?

— Nie, nigdy jej nie stracę.

— Brawo, młodzieńcze. Proszę jej tylko dać trochę czasu. Prawdziwa miłość zawsze znajdzie drogę do serca. Proszę wierzyć, pańskie wyznanie nie może pozostać bez echa. W końcu to właśnie Lisa darzy pana najżarliwszym uczuciem. A poza tym, drogi Ronaldzie, pana obecność tutaj też nie jest bez wpływu na emocje Lisy. Najważniejsze, że pierwsze lody zostały przełamane. Może mi pan zaufać, będę adwokatem pańskiego serca.

— Szanowna pani hrabino, nie wiem, co powiedzieć.

— Nie musi pan nic mówić. Jestem po prostu egoistką, drogi Ronaldzie. Zależy mi na tym, żeby posiadłość Rahnsdorf dostała się we właściwe ręce i dalej kwitła. Lisa jest wprawdzie na najlepszej drodze, żeby zostać dobrą zarządczynią, ale nie życzę jej samotnego zmagania się z gospodarowa-

niem, jak to stało się moim udziałem po śmierci męża. Ponadto zakorzenił się pan już w moim sercu i byłabym niezwykle rada, gdybyście wspólnie z Lisą stali się sukcesorami mojej fortuny. Chętnie przeszedłabym już niedługo w stan spoczynku, ciesząc się wspaniałymi krajobrazami tutejszej okolicy. Tak mniej więcej widziałam moją i waszą przyszłość. Czy byłby pan gotów osiąść w Rahnsdorf i zająć się tą posiadłością?

— Oczy Ronaldą błyszcząły z wdzięczności.

— Roztacza pani przede mną świetlaną przyszłość. Chciałbym więc panią zapewnić, że drugim moim celem, po przekonaniu Lisy do mojej miłości, jest gospodarowanie na wsi. Jednakże jak na razie obydwie te cele pozostają w sferze marzeń.

— W spełnieniu przynajmniej jednego z tych marzeń mogłabym panu pomóc. Byłby to poważny przyczynek do poprawy waszych wzajemnych stosunków.

— Co pani przez to rozumie?

— Czy sprawiłoby panu dużo kłopotu wyswobodzenie się z obecnych obowiązków?

— Nie.

— Znakomicie. Proszę więc załatwić swoje sprawy w mieście, zrezygnować z tamtego mieszkania, zwolnić służbę i kazać przysłać meble do Rahnsdorf. Tutaj jest wystarczająco dużo wolnych pokoi, by mógł pan się swobodnie rozlokować. Znajomym może pan powiedzieć, że przenosi się pan do posiadłości, którą odziedziczy pańska żona, aby osobiście nią administrować. Co pan na to?

— Brzmi to wprost niewiarygodnie. Szkoda jedynie, że jest to niestety nierealne. Lisa nigdy się nie zgodzi, żebym mieszkał z nią pod jednym dachem.

— Jeszcze przez pewien czas może się na to nie godzić. Ale też na razie nie będę pana potrzebowała w Rahnsdorf. Zamiast sprowadzać się tutaj, może pan tymczasem zamieszkać u mojego starego przyjaciela, hrabiego von Wustrow. Ma doskonale utrzymany majątek na Pomorzu. Będzie się pan mógł u niego nauczyć przy okazji wielu przydatnych rzeczy. Pojechałby pan tam, powiedzmy na rok. Do tego czasu stosunki między panem a

Lisą powinny wrócić do normy.

— Czy zostanę tam jednak przyjęty bez zastrzeżeń?

— O to proszę się nie kłopotać. Hrabia von Wustrow jest starym druhem mojego męża, jeszcze z czasów wojny. Całą swą przyjaźń przelał teraz na mnie. Zimą często spędzaliśmy wspólnie kilka tygodni w Berlinie, na Rivierze albo nad Morzem Śródziemnym. Tak, zimą, kiedy mam sporo wolnego czasu, chętnie wyjeżdżam z Rahnsdorf, żeby tu całkiem nie zgnuśnić. Von Wustrow ma przesympatyczną żonę. Z pewnością przypadnie cię sobie do gustu.

Ronald uśmiechnął się.

— Mówi pani tak, jakby była pewna, że zostanę przyjęty.

— Bo jestem tego absolutnie pewna. Jeszcze dziś wieczorem napiszę do niego, że wysyłam tam na nauki męża mojej ukochanej bratanicy.

— Byłoby to dla mnie prawdziwe wybawienie, łaskawa pani. Pomijając już wszystko, nawet jeśli dojdzie do najgorszego i Lisa uzna, że nigdy nie będzie mi prawdziwą żoną, dzięki pobytowi tam zdobędę kwalifikacje zarządcy i łatwiej będzie mi potem znaleźć jakieś zajęcie.

— A więc uzgodnione. Wyjedzie pan na pewien czas do Wustrow. Może tymczasem Lisa się opamięta.

Ronald pocałował hrabinę w rękę.

— Czuję się tak, jakby mi ktoś zdjął z barków wielki ciężar. Pani zaufanie do mnie dodaje mi otuchy. Widząc teraz przed sobą nowe perspektywy, będzie mi łatwiej znosić oczekiwanie na decyzję Lisy.

Omówili jeszcze kilka szczegółów dotyczących wyjazdu Ronalda na Pomorze i przeszli właśnie do lżejszych tematów, gdy pani Rahnsdorf krzyknęła nagle:

— Boże drogi! Całkiem zapomniałam, że jest pan zdrożony i nie zaproponowałam panu ciepłego posiłku. Mariannie też to musiało wylecieć z głowy.

— Panna Birkner pytała mnie przy wejściu, czy ma coś podać. Nie jestem jednak głodny i zaczekam do podwieczorku.

— To jeszcze cała godzina. Proszę pójść za mną, pokażę panu mojego nowego buhaja zarodowego i holenderskie krowy. Wspaniałe zwierzęta!

Jako przyszły administrator tych dóbr musi się pan zacząć interesować takimi rzeczami. Później udam się na górę, do Lisy, i spróbuję nakłonić ją, by zeszła do nas na popołudniową herbatkę.

TLR

XIV

Zaraz po przestąpieniu progu swego pokoju Lisa zaniósła się szłochem. Odżyły w niej wszystkie te bolesne uczucia, które dręczyły ją zaraz po ucieczce. Teraz dołączyła do nich jeszcze troska o los Ronalda. Co się z nim stanie, jeżeli nie przyjmie jej pieniędzy? Wciąż brzmiał jej w uszach głos Ronalda: „Liso, kocham cię!” Czy to naprawdę niemożliwe, żeby obudziła się w nim miłość do niej? Czyż nie mógł zdarzyć się cud, w który przecież już raz, przed ślubem, uwierzyła?

Podeszła do lustra. Krytycznie przyjrzała się swej wykrzywionej grymasem bólu twarzy. Oczy miała zaczerwienione od łez. Stwierdziła, że wygląda fatalnie. Szybko odwróciła się od lustra. Cóż on takiego zobaczył w jej obliczu? Nie, to nie może być miłość! Współczucie kazało mu wypowiedzieć te słowa. Starał się w ten sposób naprawić to, co zepsuł. Dziewczyna, którą kochał, wychodzi za innego i dlatego wszystko straciło dla niego sens. Dlatego też owe kajdany wydają mu się lżejsze. Lili Sanders i tak już nie odzyska.

Współczucie! To nic innego jak zwykłe współczucie. Gdyby zdecydowała się wrócić do niego, z pewnością po jakimś czasie znowu poczułaby się jak w pułapce. A ona wciąż patrzyłaby na niego z podejrzliwością, zastanawiałaby się nad każdym grymasem jego twarzy, żeby w końcu dojść do wniosku, że zawsze była i będzie niekochaną żoną. Byłoby to tysiąc razy gorsze niż stan obecny. Byłaby upokorzona do tego stopnia, że trudno przewidzieć, czym by się to dla nich obojga skończyło.

Jak to dobrze, że jest teraz silniejsza niż kilka miesięcy temu. Nigdy nie uwierzy w jego miłość, nigdy! Ale cóż się stanie z Ronaldem? Jak mogłaby mu pomóc? Kochała go tak bardzo, że nie pozwoliłaby mu wpaść w otchłań tych wszystkich kłopotów finansowych, z którymi się boryka i które z każdym dniem narastają. Musi być dla niego jakiś ratunek. Był zbyt dumny, żeby cokolwiek od niej przyjąć i ona doskonale go rozumiała. Jej

spontaniczna propozycja była więc nierealna, ale nic lepszego nie przyszło jej po prostu do głowy. Teraz Ronald siedział z ciotką Anną i na pewno opowiadał, jak przebiegła ich rozmowa i czym się zakończyła. Ach, może cioteczka coś na to poradzi! A gdyby tak zwrócić się do matki RONALDA, albo do Lotty? Być może za ich pośrednictwem można byłoby coś dla niego zrobić. Nie musiałby wcale wiedzieć, skąd pieniądze pochodzą. Czy jednak panie Hechingen skłonne byłyby na to przystać?

Lisa rozmyślała w ten sposób przez wiele minut. Nie mogła znaleźć zadowalającego rozwiązania problemów RONALDA, postanowiła więc porozmawiać o tym wieczorem z ciotką, kiedy tylko on stąd wyjedzie.

Po mniej więcej godzinie hrabina weszła do jej pokoju i przysiadła obok niej na kanapie.

— Wciąż masz migrenę, Liso?

Lisa objęła ciotkę za szyję.

— Wcale nie mam migreny, droga cioteczko. Po prostu nie mogłam już dłużej wytrzymać w obecności RONALDA, żeby się nie rozkleić. Ach, jakże ciężko mi przyszło z nim rozmawiać!

Pani Rahnsdorf gładziła ją delikatnie po głowie.

— Wierzę ci, moje dziecko. Ale masz to już za sobą. Teraz powinnaś być spokojniejsza.

Lisa westchnęła cicho.

— Czy Ronald już ci opowiedział o przebiegu naszej rozmowy?

— Szczegółowo. Osobiście uważam, że krzywdzisz go, wątpiąc w jego miłość.

Lisa spojrzała badawczo na ciotkę.

— A więc ty mu wierzysz?

— Tak, wierzę mu.

Lisa pokiwała głową.

— Ja nie mogę, po prostu nie mogę — powiedziała bezradnie.

— I chyba nigdy mu nie uwierzę.

— Ach, moje kochane dziecko, żadne ze słów nie jest tak nadużywane jak „nigdy”. Zamiast posługiwać się dumnym słowem „nigdy”, trzeba czasem powiedzieć coś innego. No, ale nie mówmy już o tym. Sama będziesz

musiała sobie z tym poradzić. Nikt inny nie przywróci ci wiary. Tylko ty jesteś do tego zdolna. W tym względzie, jak widzisz, nie będę mogła ci niestety służyć pomocą.

— Nie, cioteczko, żaden człowiek nie jest mi w stanie pomóc. Liczę natomiast na twoją pomoc w innej sprawie. Obawiam się o przyszłość Ronalda. Wiesz, że jest biedny. Nie chce jednak przyjąć ode mnie żadnych pieniędzy.

— Za to mogę go jedynie pochwalić. Będąc na jego miejscu też bym nie nie przyjęła.

— Ach, te głupie pieniądze! Dlaczego z ich powodu jest zawsze tyle kłopotów?!

Retoryczne pytania Lisy wprowadziły hrabinę w dobry humor.

— Tak naiwne pytania może zadawać tylko moja mała Lisunia;
— odparła z uśmiechem.

— A cóż to za wielka różnica, czy jestem z nim czy nie? Gdybyśmy mieszkali razem, nie wahałby się ani chwili przed przyjęciem moich pieniędzy. Ponieważ jednak tak się stać nie może, czuje się urażony w swej dumie.

— Jak by ci to wyjaśnić, Liso... Z pewnością życie na koszt kobiety nie jest dla mężczyzny zbyt przyjemne — jest jednak do zaakceptowania. Małżeństwo bowiem to pewna wspólnota, w której zaciera się różnica między „moim” a „twoim”. Wy jesteście wprowadzicie małżeństwem, ale tylko na papierze. Wspólnotą stalibyście się dopiero wówczas, gdybyście razem zamieszkali.

— Cioteczko, muszę mu pomóc nawet wbrew jego woli i do tego potrzebuję twoich rad. Jesteś taka mądra i doświadczona! Ufam ci bezgranicznie.

— No, któż by pomyślał, jak ta nasza Lisa potrafi się przypochlebiać. Żeby dowieść swego zaufania, będziesz musiała zrobić coś innego. Zejdiesz ze mną na podwieczorek? Ronald nie miał jeszcze nic w ustach od przyjazdu do Rahnsdorf. Czeka na nas.

Lisa spojrzała na ciotkę speszona.

— Nie, wolę zostać u siebie. Przed odjazdem szybko się z nim pożegnaj.

— Ależ, Liso! Tak nie wypada! Ogarnij się trochę i wytrzymaj oczy! Chodź, pomogę ci! Potem razem zejdziemy i uprzejmi pokonwersujemy z twoim mężem. Nie chcesz chyba, by pomyślał, że stałaś się mu wrogiem?

— Nie, nie.

— No, widzisz? Gdybyś go unikała, uznałby to za oznakę twojej niechęci do niego. Poza tym jest naszym gościem. Za dwie godziny już go tu nie będzie. Chodź, ułożę ci włosy, bo wyglądasz jak mały rozczochraniec. W nagrodę opowiem ci, w jaki sposób zamierzam zapewnić twojemu Ronaldowi spokojną egzystencję.

Lisa spojrzała ze zdumieniem na hrabinę.

— Jak to, masz już jakiś pomysł? Och, moja cudowna cioteczko, cóż ja bym bez ciebie zrobiła?

— Przypominam: pod warunkiem, że zejdiesz ze mną na herbatę.

— Tak, tak, zejdę, tylko teraz szybko opowiedz.

Zbierając włosy Lisy w prowizoryczną fryzurę, pani Rahnsdorf rzekła:

— Ronald pojedzie do mojego starego przyjaciela, hrabiego von Wustrow. Wiesz, o kogo mi chodzi, opowiadałam ci o nim. Jeszcze dzisiaj wieczorem napiszę do Wustrow i postaram się, by spotkało tam Ronalda odpowiednie przyjęcie. Hrabia zatrzyma go u siebie do czasu, aż trafi się Ronaldowi coś lepszego. Tak więc za pośrednictwem mego znajomego będziemy mogli w dyskretny sposób powiększyć dochody twojego męża. Jako praktykant Roland nie dostanie oczywiście żadnego wynagrodzenia, ale Wustrow będzie nalegał na odpowiednio wysoką zapłatę. Jestem zresztą przekonana, że nasz Ronald będzie dla niego dużą pociechą. To urodzony administrator. Zaobserwowałam to, kiedy ostatnio przebywał w Rahnsdorf. Bardzo się przy tym ucieszył na moją propozycję. W ten sposób uda mu się z czasem wydobyć z trudności, jakie przeżywa jego rodzina. No i co ty na to powiesz, moja droga?

Lisa uśmiechnęła się.

— Myślę, że jesteś wspaniałą kobietą, dobrą i mądrą. Jak tylko skończysz się bawić we fryzjerkę, uściskam cię mocno.

— Ty mnie kiedyś zaściskasz na śmierć.

— Cioteczko, tak mi się zrobiło lekko na duszy, od tak dawna nie czułam się tak błogo. Dzięki tobie nie muszę już martwić się o przyszłość Ronalda.

Lisa zeszła wraz z hrabiną Rahnsdorf do jadalni. Policzki miała zaróżowione, a oczy błyszczące. Panna Birkner zajęta była nakrywaniem stolika na werandzie. Zastawiała go różnymi smakołykami, ale nie zapomniała też i o pożywnym daniu mięsnym dla Ronalda, którego czekała niebawem długa podróż. Młodzieniec stał w drzwiach wyjściowych na werandę, dyskutując z ozywieniem ze służącą. Na widok Lisy serce zabiło mu żywiej, a w oczach pojawił się taki sam blask, jak w oczach dziewczyny. Wyglądała tak świeżo i uroczo, że aż zapało mu dech. Nigdy jej taką jeszcze nie widział.

Podszedł do niej i ujął jej dłoń do ucałowania.

— Czy migrena już ustąpiła?

Lisa powoli cofnęła rękę.

— Tak — odparła krótko i przeszła obok niego, kierując się na werandę.

Pani Rahnsdorf z satysfakcją obserwowała zmieszanie Ronalda i sposób, w jaki patrzył na Lisę. Tak, był zakochany. Trzeba jednak przyznać, że Lisa wyglądała niezwykle powabnie. Miała dzisiaj niewątpliwie swój dobry dzień.

Kiedy już cała trójka zajęła miejsce przy stoliku, Lisa uchwyciła jedno ze spojrzeń Ronalda. Było w tym spojrzeniu coś tak niepokojącego, że aż serce zabiło jej szybciej. Nigdy wcześniej tak na nią nie patrzył. Lekko drżącymi rękami podniosła dzbanek z herbatą i napełniła swoją filiżankę.

Zgodnie z umową unikano wypowiedzi w jakikolwiek sposób nawiązujących do celu wizyty Ronalda w Rahnsdorf. Pani hrabina dyplomatycznie starała się utrzymywać konwersację na neutralnym gruncie, poruszając lekkie tematy.

Ronald nie był zbyt uważnym interlokutorem, gdyż przez cały czas wpatrywał się w Lisę. Ciągłe nie mógł wyjść z podziwu, jak korzystnie zmienił się jej sposób poruszania, wysławiania i ubierania. Najwyraźniej było to dla niego niepojęte. I te oczy! Już nie były utkwione gdzieś pod stołem, lecz bez cienia nieśmiałości patrzyły na świat. Lisa była tak cudownie natu-

ralna! Uczestniczyła też bez żenady w dyskursie, zabierając głos w sposób przemyślany, a jednocześnie uroczy, chociaż serce podchodziło jej prawie do gardła. Wcześniej ograniczała się do skromnego „tak” albo „nie”. Teraz była niemal duszą towarzystwa. Pani Rahnsdorf starała się kontrolować przebieg rozmowy, by nie zapadła nagle cisza, która spowodowałaby konsternację młodych.

Kiedy Lisa się na moment oddaliła, żeby spełnić jakieś drobne polecenie hrabiny, Ronald oświadczył:

— Łaskawa pani, jest pani chyba czarodziejką. To, co udało się pani w tak krótkim czasie zrobić z Lisą, przechodzi wszelkie wyobrażenie! Nie wierzę własnym oczom.

Pani Rahnsdorf uśmiechnęła się.

— Moja zasługa jest mniejsza niż pan przypuszcza. Lisa sama się zmieniła. Nie bez wpływu były tutaj jej przeżycia sprzed trzech miesięcy. Kłopoty sercowe zawsze pozostawiają po sobie ślady w mentalności kobiety. A poza tym w Rahnsdorf nie ma żadnej ciotki Herminy. Mogła bez ograniczeń rozwijać swoją osobowość, a ja starałam się tylko służyć jej radą. Musiała pozbyć się wielu starych przyzwyczajęń, które krępowały jej rozwój. To, że udało nam się wspólnymi siłami dokonać tak rewolucyjnych zmian w tak rekordowo krótkim czasie, świadczy tylko dobrze o Lisie.

— W każdym razie potrafiła pani ją zrozumieć i miała pani niewątpliwie dobry wpływ na kierunek tych przemian. Droga pani hrabino, gdyby Lisa była taka wcześniej, nigdy nie doszłoby do tego incydentu — oświadczył z zapałem Ronald.

— A może nie — odparła pani Rahnsdorf. — Miał pan uprzedzenia w stosunku do Lisy, a w sercu żywił uczucie do innej kobiety. Pana negatywny stosunek do panny młodej stał się faktem na długo przedtem, nim poznał pan moją bratanicę. Jej miłość wdarła się w pana życie, komplikując je i przysparzając panu tylko wyrzutów sumienia. Bronił się pan przed nią instynktownie, czując, że przeciw starej miłości wystąpił zbrojnie jej najgorszy wróg: szczerą, gorącą, młodzieńcza miłość niewinnej istoty. Gloryfikował pan dawną miłość, nie dając żadnych szans nowej. Dopiero więc jej utrata otworzyła panu oczy na własne uczucie.

Ronald słuchał w bezruchu.

— Jakże bezbłędnie potrafi pani czytać w ludzkich sercach! Mam wrażenie, jakby moje najskrytsze myśli były spisane w jakiejś księdze, która leży właśnie otwarta przed panią — powiedział poważnie.

— Proszę nie brać mi tego za złe, panie Hechingen. Staralam się wybrać z tej książki przede wszystkim fragmenty świadczące o panu dobrze. Pomogła mi w tym zresztą pańska młodsza siostra.

— Moja siostra? Przecież pani jej nie zna, hrabino.

Pani Rahnsdorf uśmiechnęła się.

— Nie, nie znam jej osobiście, ale znam ją dobrze z pańskich i Lisy opowiadań. Przysłała też do pana list, który mi pan dał do przeczytania. Napisała w nim, o ile mnie pamięć nie myli, że w gruncie rzeczy cieszy się, iż Lisa miała w sobie tyle odwagi, żeby uciec, ponieważ dzięki temu wreszcie ją pan docenił. „Walcz teraz o swoją żonę!” radziła panu. Im cięższy bój, tym słodsze zwycięstwo. Zbyt łatwo przyszło panu zdobycie Lisy. Takimi mniej więcej słowami zagrzewała pana do walki o swą miłość. Jak pan widzi, pana młodsza siostra bardzo mi pomogła. Od najmłodszych lat była przecież pana powiernicą. I szczerze mówiąc, ja również się cieszę, że Lisa stawia panu tak zacięty opór. Im głębiej zakotwiczy się pana namiętność i pożądanie, tym okazalej — z Bożą pomocą — rozkwitnie wasze szczęście. Nasze wspólne szczęście.

Ronald nabrał powietrza w płuca, ale nic nie powiedział.

— Mam nadzieję, że nie pogniewa się pan na mnie, że rozmawiam z panem tak otwarcie? Mam jak najlepsze zamiary. Już od dawna traktuję pana jak bratanka.

W tym momencie wróciła Lisa, bezszelestnie zajmując swoje miejsce przy stoliku. Słyszała ostatnie słowa i była bardzo zadowolona, że ciotka Anna tak ceni Ronalda.

Pani Rahnsdorf wspomniała o czekających Ronalda zmianach życiowych. Wyjazd na Pomorze był dla niego dużą szansą. Ronald spojrzał na Lisę, oczekując jej reakcji.

— Jakże ci się, Liso, podoba pomysł przeprowadzki tak daleko od cie-

bie? — zapytał.

Przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy, lecz szybko odwróciła wzrok w inną stronę.

— Bardzo mnie to cieszy — oświadczyła uprzejmie.

Starła się zrobić to jak najnaturalniej, ale nie mogła się powstrzymać i po chwili wybuchnęła:

— Ronaldzie, jestem taka szczęśliwa, że nie musisz brać udziału w ryzykownych przedsięwzięciach. Chciałabym bardzo, żebyś nie obwiniał mnie zbyt mocno za to, że przeze mnie znalazłeś się w tak dramatycznym położeniu.

Ujął jej dłoń w obie ręce.

— Obwiniać ciebie? Znowu mnie zawstydzasz, Liso!

— Będziesz mógł jechać do Wustrow?

— Tak, jestem rad, mogąc tam pojechać.

Później rozmowa zeszła na tematy bardziej ogólne i wypełniła bez reszty czas do odjazdu Ronalda. Gdy zajechał już powóz, mający odwieźć młodzieńca na stację, pani Rahnsdorf podała mu z uśmiechem rękę.

— Powodzenia, nasz drogi Ronaldzie. Napiszę do pana, jak tylko otrzymam wiadomość z Wustrow. Na razie proszę postępować ściśle według ustaleń.

Hrabina popatrzyła na niego wymownie, a on odwzajemnił jej spojrzenie. Całując Lisę w rękę, powiedział:

— Bądź zdrowa, Liso! Nie zapomnij o mnie!

Dziewczyna była kredowoblada, a wargi drżały jej ze wzruszenia.

— Żegnaj, Ronaldzie! Nigdy o tobie nie zapomnę. Niech cię Bóg ma w swojej opiece!

Hechingen z wahaniem odwrócił się do wyjścia. Miał nadzieję, że będzie próbowała go zatrzymać, ale ona odeszła w stronę kominka. Przymknęła oczy i nie odezwała się już ani słowem.

W drzwiach młodzieniec jeszcze raz się odwrócił.

— Zachowam cię w swojej pamięci, pielęgnując moją miłość do ciebie i tęsknotę za naszym szczęściem. Będę żył nadzieją, że pewnego dnia przywołasz mnie do siebie — powiedział drżącym z przejęcia głosem i wy-

szedł.

Lisa odwróciła się i patrzyła za nim długo, przyciskając dłonie do piersi. Potem podeszła do okna, by jeszcze raz na niego spojrzeć. Powóz ruszył. Ronald odwrócił po raz ostatni głowę, by spojrzeć w jej kierunku. Zadrżała. A więc stało się — odjechał! Lisa podbiegła do ciotki i padła jej w ramiona, zanosząc się łzami.

— Cóż to, Liso, czyżby to rozstanie sprawiło ci przykrość? Czy mam zawrócić powóz Ronalda? Jeszcze nie jest za późno!

Lisa wyprostowała się nagle, uwalniając się z objęć ciotki.

— Nie! Tak będzie lepiej. Dam sobie z tym radę. Chcę tego!

— Dobrze, moja mała. Spróbuj dać sobie z tym radę. Jakakolwiek decyzja będzie lepsza niż przeciąganie tego stanu. Tymczasem chodźmy do panny Birkner pomóc jej etykietować słoiki z poziomkami. Leki z domowej apteki zawsze muszą być pod ręką. Dzięki nim tak szybko wróciłaś do zdrowia. Twoim zadaniem będzie podpisywanie słoików.

Lisa pocałowała ciotkę w policzek.

— Jak to dobrze, że mogę się na coś przydać!

Panna Birkner krzątała się właśnie w obszernej, chłodnej spizarce. Z marsową miną ustawiała na wielkim stole szeregi słoików z zagotowanymi poziomkami. Pani Rahnsdorf zbliżyła się do niej bezszelestnie.

— I cóż, Marianno, czy jesteś już gotowa z przetworami?

— Jak pani widzi, łaskawa pani. Brakuje im tylko etykietek.

— Zaraz będą. Nasza mała kobietka zabiera się już do ich wypisywania.

— Hm, to mi się podoba. A co z mężem? Znowu go odprawiła?

— Chciałabyś się jej tak szybko pozbyć z Rahnsdorf?

— Ach, nie o tym wcale mówię. Przecież pani wie, że ta dziewczyna jest mi prawie jak wnuczka. Jednak wolałabym, żeby odeszła stąd z uśmiechem na twarzy, niż snuła się tutaj, szlochając po kątach.

— Cóż, Marianno, ona po prostu nie chce stąd wyjeżdżać. Nie ma ochoty rozstawać się z taką marudą jak ty.

Panna Birkner spochmurniała jeszcze bardziej.

— Jak pani może sobie z tego żartować?! Przecież to wszystko jest postawione na głowie! Ja tego nie mogę pojąć. Mężczyzna i kobieta powinni

ze sobą mieszkać, bo inaczej ich małżeństwo nie ma żadnego sensu.

— Masz oczywiście rację, Marianno. Ale wstrzymaj się jeszcze przez jakiś czas z ocenami. Za jakiś rok cała ta sytuacja ulegnie zmianie, miejmy nadzieję. Dziewczyna nie wyjedzie już z Rahnsdorf, a całkiem możliwe, że jej mąż przyjedzie tu na stałe. Wtedy my zaczniemy się trochę oszczędzać i pozwolimy młodemu przejąć administrację nad majątkiem. Czy może masz jakieś zastrzeżenia?

— Żadnych, łaskawa pani. Wprost przeciwnie, jeśli znowu pojawi się w tym domu mężczyzna, będę bardzo zadowolona. Przynajmniej będę wiedziała, dla kogo się robi te wszystkie przetwory.

— Jak dotychczas zawsze znajdowały właściwe zastosowanie.

— Tak, wszystkie nasze najdelikatniejsze soki i powidła wyjadali chorzy z wioski. Ale przecież zwykły chłop ma inne podniebienie i nie docenia ich smaku. Dla nich kompot ze śliwek to to samo co sok z najdorodniejszych poziomek. A naszych najszlachetniejszych czereśni nie odróżniają od zasmażanych gruszek. Przecież to ręce opadają!

Pani Rahnsdorf roześmiała się serdecznie.

— Nie przesadzaj, Marianno, jakąś tam różnicę na pewno widzą. Zaraz wyślę kilka słoików z poziomkami chorej żonie naszego nauczyciela. Ona je z pewnością doceni.

— Odłożyłam już dla niej trzy' słoiki. I dla starego Martina butelkę soku.

— No widzisz, mój ty krzykaczu! Najpierw się złościł, a potem sama napychasz chłopom brzuchy.

— No, jeżeli ktoś jest chory... — usprawiedliwiała się panna Birkner.

Hrabina uśmiechnęła się dobrodusznie i wyszła.

XV

Gdy tylko Ronald wysiadł z pociągu, zauważył na peronie Mallwitza, który najwyraźniej czekał na niego, trzymając w ręku jaki przedmiot zawinięty w elegancki papier. Podeszedł do przyjaciela i stwierdził, że tym czymś jest bukiet kwiatów.

— To naprawdę bardzo miłe z twojej strony, Kurt, że wyszedłeś po mnie na stację.

— Znowu wracasz sam, stary? Chyba przestanę wierzyć w przeczucia. Byłem pewny, że tym razem przywieziesz ze sobą Lisę. Spójrz kupiłem nawet bukiet świeżych róż, żeby ją przywitać. — Wyciągnął rękę do Ronalda, z zakłopotaniem pokazując mu kwiaty.

— Drogi przyjacielu, niestety pospieszyłeś się. Nie powinieneś się tak wykosztowywać przy takich pustkach w twoim budżecie.

— Pieniądze nie grają żadnej roli.

— Taka czcza formułka nawet nieźle brzmi!

— To wcale nie jest czcza formułka. W czasie twojej nieobecności wiele się wydarzyło. Zanim więc dopuszczę cię do głosu, byś zrelacjonował mi swoją podróż do Rahnsdorf, muszę cię prosić o cierpliwe wysłuchanie tego, co ja mam ci do opowiedzenia, bo inaczej eksploduję z nadmiaru emocji. Ty powinieneś być pierwszym, któremu o tym powiem. Wyobraź sobie, że mój wuj Brachwitz, kuzyn mojej matki, właśnie odszedł z tego świata. Zostalibyśmy z matką bez wątplenia na lodzie, gdyby ów wuj nie okazał się całkiem miłym facetem. Dobrze wiesz, jaki był mój stosunek do niego i jak go przeklinałem z powodu wyjątkowo skąpej renty, jaką mi wyznaczył. Boże, wybacznemu! Stary oszczędzał tylko po to, żeby mi potem więcej zostawić. Tak więc widzisz przed sobą spadkobiercę dwustu tysięcy marek niemieckich, zdeponowanych w papierach wartościowych. Zaraz po pogrzebie będą do mojej wyłącznej dyspozycji. Dzisiejszej nocy dostałem depeszę, informującą mnie o jego śmierci. Napędzi-

ła mi niezłego stracha. Dopiero przed dwiema godzinami przyszedł list od mojej matki, która donosi mi o moim udziale w testamencie Brachwitza. Dwieście tysięcy marek! A matce pozwolił mieszkać u siebie do końca życia, dokładając do tego zupełnie przyzwoitą rentę. Dziękuję Bogu, że w tak niespodziewany sposób rozwiązał mój największy problem. To najszcześniejszy dzień w moim życiu!

Ronald z zadowoleniem wysłuchał nowin Mallwitza. Na koniec pogratulował mu serdecznie.

— Już dawno nic mnie tak nie ucieszyło, jak twoje dzisiejsze wieści. Jakże ja ci zazdroszczę, Kurt! Powinniśmy uczcić pamięć twojego wspaniałomyślnego wuja. Chodźmy do dobrego lokalu.

— Z miłą chęcią. Mam ci jeszcze sporo do opowiedzenia. Jutro rano wyjeżdżam do Brachwitz na uroczystości pogrzebowe. No ale teraz twoja kolej. Będziesz musiał mi dokładnie zrelacjonować przebieg swojej misji w Rahnsdorf. Dopóki się tego nie dowiem, nie dokończę ci mojej historii.

Obaj mężczyźni przeszli właśnie po moście łączącym dworzec kolejowy z resztą miasta i zagłębili się w gęstwinę starych, wąskich, źle wybrukowanych i jeszcze gorzej oświetlonych uliczek. Wreszcie dotarli do rynku, przy którym znajdował się ekskluzywny lokal, którego byli stałymi bywalcami.

Przed wejściem Mallwitz jeszcze raz spojrzął na kwiaty, które ciągle trzymał w ręku.

— No i co ja mam począć z tym bukietem?

— Raczej trudno ci będzie zrobić z niego dzisiejszego wieczoru sensowny użytek.

— Szkoda tak pięknych róż. W całym mieście nie ma piękniejszych. Ale, zaraz! Zaczekaj chwilę! Chyba już wiem, co z nimi zrobić.

Mallwitz zaciągnął przyjaciela na znajdujący się nie opodal niewielki skwer, nazywany szumnie parkiem miejskim. Stał tam pomnik ku czci żołnierzy poległych w kampanii francuskiej. Pod owym monumentem spoczęły kwiaty przeznaczone dla Lisy. Po krótkiej okolicznościowej przemowie Mallwitza ruszyli w powrotną drogę do lokalu.

— A teraz, Ronaldzie, opowiedz mi o twoich rokowaniach w Rahnsdorf.

Hechingen szczegółowo zrelacjonował przyjacielowi swą rozmowę z Lisą.

— I co ty o tym myślisz, Kurt? — zapytał Ronald na koniec. — Ni wygląda to zbyt obiecująco.

— Myślę, że ta hrabina Rahnsdorf jest wyjątkowo czarującą starszą panią. Trzeba jej to przyznać. A co do twojej żony, nie można mieć jej złe, że ci nie ufa i nie wierzy na razie w twoje uczucie. Sądzę jednak, że ni ma powodów do rozpaczki. Bez wątpienia wszystko się między wa* ułoży. Pierwszą pozytywną dla ciebie rzeczą będzie możność opuszczenia tego zapyłonego miasta. Muszę przyznać, że bardzo intryguj mnie obecny wygląd twojej żony. Z twych słów wynika bowiem, zmieniła się wprost nie do poznania.

— O, tak. Miałem także niezłą próbkę jej obecnych zachowań.

Weszli do lokalu. Nie było to jednak zbyt odpowiednie miejsce na prywatną dysputę. Przy ich ulubionym stoliku siedzieli już lekarz burmistrz i jeszcze kilku znajomych, którzy usilnie namawiali przybyłych, żeby się do nich przyłączyli. Hechingen z Mallwitzem musieli przystać na tę propozycję, chociaż zrobili to bardzo niechętnie.

Kiedy oddawali płaszcze do garderoby, Mallwitz odezwał się półgłosem do przyjaciela:

— Ani pary z ust na temat mojego spadku. Nie jestem w nastroju żeby to z nimi świętować.

— Bez obawy, Kurt.

— No, Hechingen, ciągle jesteś słomianym wdowcem? Łaskawa małżonka jeszcze się nie pojawiła? — zapytał mały, gruby prawnik, nie kryjąc swej ciekawości.

— Dziękuję za troskę, mój drogi. Dzięki Bogu moja żona wróciła szczęśliwie do zdrowia.

— Och, to bardzo radosna nowina.

— Tak, mnie też to cieszy — odparł sucho Ronald.

— Z wielką tęsknotą oczekujemy tu na jej przyjazd — dorzucił z uśmiechem burmistrz, jowialny starszy pan. — Kiedyż to u nas zawita?

— Mojej żonie będzie z pewnością bardzo przykro, że tak powszechna

tęsknota za nią nie zostanie ukojona. Zdecydowała bowiem, że zostanie już na stałe w Rahnsdorf. Jej ciotka, hrabina Rahnsdorf, bardzo na to nalegała. Ja zresztą również się tam natychmiast przenieść

powiedział spokojnie Ronald.

— Nie, daj spokój, Hechingen! To jakieś żarty! — wołano.

— To nie żarty. Już od dawna było ustalone, że będę administrował majątkiem Rahnsdorf. To była tylko kwestia czasu. Teraz został po prostu wyznaczony konkretny termin.

— A więc chce pan nas opuścić, Hechingen?

— Niestety tak.

— Cóż, nasze panie będą niepokojone, nie mogą poznać pana znamienitej małżonki.

Ronald przesunął wzrokiem po obecnych. Wszyscy bez wyjątku przyglądali mu się z zainteresowaniem. Wzruszył ramionami.

— Nic się nie da zrobić, panowie.

— Dla nas, kawalerów, to przygnębiająca wiadomość. Już się cieszyliśmy, że od czasu do czasu będziemy spędzać przyjemny wieczór w pałacu Hechingenów. I cóż pan teraz zrobi z tak pięknym mieszkaniem?

— Meble zostaną wysłane do Rahnsdorf, a dom jest do wynajęcia. Może któryś z panów reflektuje?

— Wolne żarty! Na takie zbytki nie mamy niestety dość pieniędzy. To nie dla nas.

Rewelacje Ronalda wprawiły jednak całe towarzystwo w dobry nastrój. Dość szybko wszyscy zaczęli się rozchodzić, chcąc podzielić się nowinami ze swymi partnerkami i znajomymi.

Tak więc niebawem przyjaciele zostali wreszcie sami i mogli swobodnie porozmawiać. Mallwitz zamówił nową butelkę wina i nappełnił nim kieliszki.

— Przekłeta ciekawość! — skonstatował lekko poirytowany.

Ronald pogładził się po czole.

— Tak, atakują człowieka jak osy.

Mallwitz uśmiechnął się krzywo.

— Twoja riposta była jednak bardzo celna. Ale nie myśl już o tym. W tej mieścinie rozrywkę intelektualną trzeba niestety bardzo często zastępować plotkowaniem. W każdym razie nie mieli złych zamiarów chociaż byli mocno uciążliwi. Teraz jednak dajmy temu spokój i wypij my. Proponuję, żebyśmy pierwszą lampką naszego ulubionego Rauent halera uczcili twojego wspaniałomyślnego wuja.

Opróżnili szybko kieliszki. Drugą kolejkę wypili za zdrowie hra biny Rahnsdorf. Przed trzecią Mallwitz nagle spowaźniał i powie dział:

— A teraz napijmy się za to, co kochamy.

Obaj jednocześnie popadli w zadumę. Pierwszy ocknął się Ronald

— Za to, co kochamy, powiedziałeś. Czy ma to oznaczać, że i n ciebie przyszła wreszcie pora?

Mallwitz był lekko zmieszany. Uśmiechnął się.

— To już się dawno stało, stary druhu. Przed mniej więcej sześci laty.

— Co ty mi chcesz wmówić? — spytał Ronald nieco zdziwion
Czyżbyś był od paru lat zakochany w osobie, z którą się ciągi przekomarzasz?

— To tylko pozory, Ronaldzie.

— Pozory? Wobec mnie? Czy ja zataiłem kiedykolwiek przed tobą jakiś mój osobisty problem? Mówiłem ci o wszystkich moich kłopotach i sukcesach. Nie podoba mi się twoja postawa. — Hechingen nie krył swego rozczarowania.

Mallwitz spojrzał poważnie na przyjaciela.

— Właśnie tobie nie mogłem nic powiedzieć, Ronaldzie, dopóki nie było szans na ten związek. Ale teraz — niech wujowi Brachwitzow ziemia lekka będzie! — mogę to wreszcie ujawnić. Nie patrz na mnie z takim wyrzutem. Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Twoja siostra i ja kochamy się od dawna. Jestem pewny jej uczucia do mnie, chociaż nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Ronald przypuszczał, że Kurt miał wcześniej na myśli zupełnie inną osobę.

— Chodzi ci o Lotte? — spytał zdezorientowany.

— Tak, o Lotte, moją ukochaną Lotte. Jak więc widzisz, ten biedny Mallwitz nie mógł ci nic powiedzieć. Znalazłem się w wyjątkowo niezręcznym położeniu. Teraz jednak sytuacja uległa diametralnej zmianie. Jestem zamożnym, statecznym kawalerem i niezłą partią. Ty jesteś seniorem rodu Hechingen i do ciebie zwracam się z moją prośbą: oddaj mi swoją siostrę za żonę!

Ronald był wyraźnie zaskoczony, ale powoli zaczęły docierać do niego słowa Mallwitza.

— Chłopie! Stary druhu! — powiedział ze wzruszeniem. — Ty i moja siostra! Jakże się cieszę! Moja matka będzie wniebowzięta. Tak bardzo niepokoiła ją przyszłość Lotty.

Mallwitz odetchnął z ulgą. Najwyraźniej nie był zupełnie pewny reakcji przyjaciela.

— Teraz już nie ma powodów do niepokoju. Nawet nie wiesz, jak bardzo się bałem, że Lotta może stracić nadzieję i nie dochować mi wierności. Nie mogłem jej przecież nic nakazywać ani zakazywać. W drodze powrotnej do domu będę jechał przez Lipsk i zabiorę ze sobą jej zgodę na nasze małżeństwo. Twoją matkę już zdążyłem listownie powiadomić o mojej wizycie.

— Jesteś przekonany, że Lotta cię kocha?

Mallwitz przytaknął radośnie.

— W stu procentach. Coś takiego się po prostu czuje. Boże, jakże się ucieszyłem z tego spadku. Moją pierwszą myślą był ślub z twoją siostrą. Wypijmy, szwagrze!

— Prosit! Za wasze szczęście! Potrafiliście się naprawdę wspaniale zakamuflować. Nie miałem zielonego pojęcia, co was łączy.

— Musieliśmy, Ronaldzie. Ty i twoja matka, nie wspominając już o mojej, mielibyście tylko dodatkowe zmartwienie, gdybyście zauważyli naszą miłość, która ze względów finansowych nigdy nie miała być zwiędzona małżeństwem. Teraz, dzięki Bogu, sytuacja uległa zmianie. Ach, jakimże czarującym stworzeniem jest moja mała Lotta! Będzie doskonałą żoną. Jeszcze tylko kilka dni. Przez tyle lat wmawiałem sobie, że muszę być bardzo rozsądny i cierpliwy. Teraz, kiedy od szczęścia dzielą mnie zaledwie godziny, mam wątpliwości, czy wytrzymam.

— Rozumiem, co czujesz, Kurt. Kiedy będziesz u mojej matki, powiedz jej, że zajrzę do niej przed podróżą do Wustrow. Muszę przecież pogratulować siostrze narzeczeństwa.

Debatowali tak jeszcze przez godzinę, roztaczając swoje wizje przyszłości, aż wreszcie podszedł do nich ziewający kelner, który od dłuższego czasu siedział w kącie sali, i zwrócił im uwagę, że nadszedł czas zamknięcia lokalu. Niechętnie podnieśli się i powoli wrócili do domu.

TLR

XVI

Przez kilka najbliższych dni Ronald miał pełne ręce roboty. Znalazł firmę spedycyjną, która zapakowała meble z jego mieszkania i przewiozła do Rahnsdorf. Służbę odprawił.

Kurt Mallwitz, który powrócił już jako oficjalny narzeczoney Lott He-

chingen, spędzał swój wolny czas wyłącznie z Ronaldem. Dopiero teraz przekonał się, jak bardzo będzie mu go brakowało, gdy przyjaciel znajdzie się gdzieś w Wustrow.

Zainteresowanie małżeństwem Ronalda znacznie zmalało, przed wszystkim z powodu spadku i zaręczyn Mallwitza. Kiedy żegnał się swoimi znajomymi, rzadko pytano go o Lisę, dowiadując się raczej o Lotte. Utrzymywał ciągle ożywioną korespondencję z hrabin Rahnsdorf. W ostatnim liście donosiła mu, że jej przyjaciel, hrabi Wustrow, jest rad, mogąc spełnić jej prośbę i przyjąć Ronalda do siebie. Wtajemniczyła go w rodzinne sprawy na tyle, na ile było to konieczne. Za jej pośrednictwem Ronald dostał od hrabiego pismo następującej treści:

Mój drogi panie Hechingen!

Oszczędzę Panu dłuższych wstępów. Już traktuję Pana bowiem jak przyszłego współmieszkańca naszego domu. Moja żona i ja cieszymy się mogąc przyjąć pod nasz dach tak rezolutnego młodzieńca. Pracy mam w Wustrow po łokcie i jestem niezmiernie wdzięczny pani hrabinie Rahnsdorf, że przysyła mi pomoc. Moje stare kości powoli zaczynają dawać mi się we znaki. Tak więc, jak już powiedziałem, bardzo się cieszymy na Pański przyjazd. Z pewnością wiele się Pan nauczy od starego Wustrow i administrując potem dobrami Rahnsdorf będzie mógł Pan te umiejętności wykorzystać. Ponieważ jednak lubię jasne sytuacje, zatem mówię od razu, że za darmo nie będzie się Pan u nas trudził. Obstawiam więc przy tym, aby przyjął Pan stałą pensję, taką jaką wypłacam każdemu zarządcy. Proszę nie brać mi tego za złe. Nie chodzi bowiem o to, żeby wykorzystywać Pana zapal i energię. Mam nadzieję, że nie należy Pan do tych ludzi, którzy pobieranie wynagrodzenia uważają za obraźliwe, bo wówczas mocno by mnie pan rozczarował. Proszę mi wkrótce przysłać wiadomość, kiedy możemy Pana oczekiwać. Z pozdrowieniami

Franciszek Wustrow

Ronald przeczytał ten list, do którego hrabina Rahnsdorf dołączyła własne dyrektywy, z mieszanymi uczuciami. Nie miał nic przeciwko stałej

pensji, którą mu Wustrow zaproponował. Wprawdzie Kurt Mallwitz chciał mu również oddać do dyspozycji sporą sumę pieniędzy, ale Ronald pragnął jak najszybciej stanąć na własnych nogach. Propozycja hrabiego Wustrow była więc z tego punktu widzenia bardzo korzystna. Obawiał się jednak, że przynajmniej na początku nie będzie zasługiwał na regularną zapłatę. Nie był pewny, czy podoła obowiązkowi. Postanowił jednak zrobić wszystko, żeby być naprawdę przydatnym.

Odpisał więc hrabiemu Wustrow, że zupełnie nie liczył na pensję, lecz nie ze względu na uprzedzenia do zarabiania pieniędzy przez szlachtę, ale ponieważ obawia się, że w pierwszym okresie będzie mało wydajny. Mimo to przyjmuje ofertę z wdzięcznością, ponieważ w jego sytuacji możliwość zarobienia pieniędzy jest wprost bezcenna. Postara się dołożyć wszelkich starań, aby stać się dla hrabiego Wustrow prawdziwą podporą. Brak odpowiedniej wiedzy i doświadczenia będzie nadrabiał zapalem do pracy. W następnych dwóch listach obaj panowie omówili kilka drobnych spraw i ustalili datę przyjazdu Ronalda.

Pani Rahnsdorf dostawała od Ronalda wyczerpujące relacje z jego listownych kontaktów z hrabią Wustrow. Pisał jej, jaki jest szczęśliwy i wdzięczny za jej pośrednictwo w znalezieniu mu zajęcia, dzięki któremu będzie mógł zarobić trochę pieniędzy, co z kolei znacznie poprawi jego sytuację finansową. W każdym liście przesyłał też gorące pozdrowienia dla Lisy. Raz też zapytał, czy nie mógłby napisać do Lisy osobiście. Hrabina odradziła mu to jednak, wyjaśniając:

Na razie proszę pozostawić Lisę w spokoju, drogi Ronaldzie. Wszystko w niej wrze. Pana wyznanie nie pozostało bez echa, chociaż boi się sama przed sobą do tego przyznać. Chciałaby panu uwierzyć, ale przez pewien czas jeszcze się na to nie odważy, w obawie przed kolejnym wielkim rozczarowaniem. Jest więc to dla niej okres, w którym nie należy wywierać na nią żadnej presji. Jej serce rwie się do Pana i stara się nakłonić swój umysł, by panu jeszcze raz zaufała. Myślę, że wreszcie jej się to uda. Kolejne pańskie próby mogą ją zaniepokoić lub nawet przestraszyć, a w konsekwencji wzbudzić jeszcze większą nieufność. Musi więc się pan uzbroić

w cierpliwość, drogi Ronaldzie. Proszę zaufać mojej kobiecej intuicji i doświadczeniu — wszystko skończy się dla was pomyślnie.

Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu Ronalda na Pomorze. Mallwitzl odprowadził go na dworzec. Nie był w najlepszym nastroju. Przez kilka ostatnich lat nie rozstawał się ze swoim przyjacielem na dłużej i jego obecność była mu potrzebna. Z powagą uścisnęli sobie ręce na pożegnanie. Cóż, takie jest życie!

Ronald zatrzymał się na dwa dni w Lipsku, żeby odwiedzić matkę i siostrę, a także pokłonić się konsulowi Limbach i jego małżonce. Matka i siostra mieszkały w skromnym domu przy ulicy Plagwitzer. Ronald udał się tam prosto z dworca. Matka przyjęła go ze łzami w oczach. Częściowo były to łzy radości na jego widok, a częściowo smutku i żalu, że szczęście jej syna wygląda inaczej, niż by chciała. Ronald uspokajał ją, starając się zachować zimną krew, co nie przychodziło mu jednak łatwo.

Lotta najpierw czule wyciąłowała starszego brata. Opowiedział jej o swoim ostatnim pobycie w Rahnsdorf. Był wobec niej zupełnie otwarty i wyjawiał jej swe wątpliwości dotyczące przyszłości tego małżeństwa. Lotta, która początkowo promieniała z radości, powoli poważniała.

—Niestety, nie jestem dobrą wróżką i nie potrafię ci pomóc, braciszku. Przy tym doskonale Lisę rozumiem, jakbym była w jej skórze. Ja również nie uwierzyłabym twoim zapewnieniom po tym, co się stało. Musisz poczekać i przekonać się, czy uczucie, które do niej żywisz, jest istotnie miłością.

— Ależ Lotto, zapewniam cię, że to miłość!

— Daj spokój, Ronaldzie! W sprawach sercowych człowiek może nieświadomie sam siebie oszukiwać i opacznie interpretować swoje uczucia. Czyż i ja nie praktykowałam tego przez tyle lat, wmawiając sobie, że moja miłość do Kurta to nic innego jak zwykła przyjaźń? A wystarczyło kilka słów rzuconych w progę: „Lotto, odziedziczyłem dwieście tysięcy marek. Wyjdiesz za mnie?”, bym znalazła się w jego objęciach. Ronaldzie, zawsze byłeś dobrym człowiekiem. Nie mogłeś patrzeć na ludzką krzywdę. Odpowiedz więc sobie szczerze na pytanie, czy swoim wyznaniem nie

próbujesz przypadkiem wynagrodzić Lisie cierpienie, których doznała z twojego powodu? Może widząc ją w takiej udreće, po prostu ulitowałeś się nad nią?

— Lotto, mówiąc to, myślisz o dawnej Lisie. Gdybyś ją dzisiaj zobaczyła, wcale nie dziwiłyby cię moje porywy.

Lotta uśmiechnęła się ciepło do brata.

— Mój ty niemądry Ronaldzie, już dawno się dziwiłam, że nie zakochałeś się w Lisie. Przecież to dusza-człowiek. Ale prawda, wy mężczyźni wolicie mieć przede wszystkim coś dla oka. Lili Sanders nie byłaby godna podawać Lisie wody do mycia rąk, ale miała piękną buzię i potrafiła nieźle zawrócić ci w głowie. Jestem bardzo szczęśliwa, że masz to już za sobą. A więc powiadasz, że Lisa zmieniła się nie do poznania.

Ronald z zapałem opisywał wygląd, zachowanie i elokwencję swej żony. Siostra nie mogła nie zauważyć, że ta odmieniona Lisa zrobiła na nim istotnie duże wrażenie. Pochyliła się nad nim i ucałowała go w czoło.

— Szkoda, że Lisa cię w tej chwili nie słyszy. Z pewnością już sam sposób, w jaki o niej opowiadasz przekonałby ją o szczerości twojego wyznania. Ja ci w każdym razie uwierzyłam. Tylko zakochany mężczyzna może w taki sposób opisywać swoją wybranekę. Zresztą, jeśli chcesz wiedzieć, dostałam od Lisy list z gratulacjami. Pani Rahnsdorf za to przysłała mi kosz najwspanialszych swoich róż. Pokazać ci ten list?

— Tak, jeśli możesz. Lotta wyjęła pismo z kasetki i położyła przed bratem, który z niecierpliwością śledził jej ruchy.

— O tobie jednak, mój drogi, nie ma w nim ani słowa — powiedz cicho.

— Ani słowa? — Ronald był rozczarowany. Przeczytał list i zwrócił go siostrze.

— Nie uważasz, że to bardzo miłe, Ronaldzie.

— Tak, dla ciebie z pewnością, ale nie dla mnie.

— Czyżby zraniło to twoją męską dumę? Ach, braciszku, życzę ci żeby Lisa nie poddała się tak łatwo i żebyś musiał spędzić na wygnaniu pełny rok, myśląc o niej bezustannie.

— Jesteś doprawdy czarująca, siostrzyczko. Własne szczęście uczyniło

cię obojętną na nieszczęście innych. Jesteś bez serca!

Lotta potrząsnęła głową, uśmiechając się do RONALDA.

— Ależ skądże, mój drogi. Aby miłość do LISY naprawdę zakwitła musi się najpierw dobrze zakorzenieć w twoim sercu. W przeciwnym razie pierwsza burza mogłaby ją stamtąd wyrwać.

— Dobra przemowa, LOTTO. Skąd ty masz taką wiedzę?

— Z podręczników, głuptasie.

Ten dyskurs wprowadził oboje w dobry nastrój.

Następnego dnia RONALD udał się na ulicę Karola Tauchnitza, gdzie mieszkali państwo Limbach. Konsulowa była sama, bowiem mąż miał obowiązki poza domem. Przyjęła RONALDA bardzo chłodno, przemawiając do niego we właściwy sobie, wyniosły sposób.

— Słyszałam, że ma pan zamiar się przenieść. Czy to prawda?

— Już to się stało.

— A cóż to skłoniło pana do takiego kroku?

RONALD patrzył z powagą w nieruchome oblicze pani Limbach. Wydawało mu się, że ta maska skrywa nie tylko zawziętość i pychę, ale i wielkie zainteresowanie.

— Chęć zarobienia na swoje utrzymanie, pani Hermino. Konsulowa ze zdumieniem uniosła swój lornion i zaczęła baczniej przyglądać się gościowi.

— Jak mam to rozumieć? Wydawało mi się, że jedzie pan do Rahnsdorf, żeby osobiście administrować tamtejszymi dobrami. Takie jest w każdym razie życzenie hrabiny Rahnsdorf. Pewnego dnia mam przejąć całkowitą administrację. Czy jednak będzie to możliwe, o tym zadecyduje Lisa.

— Mąż powiedział mi, że rozmówiliście się i ostatecznie pogodziliście. A więc to nieprawda?

RONALD westchnął.

— Tak, rozmówiliśmy się i Lisa nie czuje do mnie urazy. Jednakże na razie nie wyraziła zgody, byśmy zamieszkali wspólnie.

— To niesłychane, nie-sły-cha-ne! Moim zdaniem to pan mógłby czuć

się urażony jej zachowaniem. Nie wyraziła zgody na to, żebyście zamieszkali wspólnie? A cóż to za jakieś śmieszne sentymenty?! I pan jej na to pozwala? Przecież ten skandal nigdy się nie skończy, jeśli nie przejmie pan inicjatywy. Nie rozumiem pana, drogi Ronaldzie. Każdej niedzieli zawierane są tysiące małżeństw bez tak zwanej miłości, która gnieździ się jedynie w romantycznych głowach. Lisa jest niemądra, a w tym jej absurdalnym uporze umacnia ją jeszcze moja szanowna szwagierka. Najwyraźniej chodzi jej tylko o to, żeby mnie znieważać.

— Muszę wziąć Lisę w obronę, pani konsulowo. Uważam, że jej postępowanie jest ze wszech miar zrozumiałe i akceptuję je.

— Pan akceptuje jej zachowanie? Dla mnie jest ono dziwaczne. Skoro jednak pozwala jej pan robić takie głupstwa, to uważam, że jedynym honorowym rozwiązaniem jest w tej sytuacji rozwód.

— Lisa nie żąda rozwodu i ja również nie zamierzam o niego występować.

Pani Limbach była już widocznie poirytowana przebiegiem tej rozmowy. Pokiwała przecząco głową na znak dezaprobaty dla poczynań Ronalda.

— No i bądź tu człowieku mądry! Mogę panu powiedzieć jedno. Gdyby Lisa mieszkała w tym domu, użyłabym mojego wpływu na nią, żeby was szybko połączyć i już dawno zapomnieliby pan o tej całej sprawie. Niestety, nie mogę się z nią zobaczyć, z tym kapryśnym, niewdzięcznym stworzeniem! Żeby mi uczynić taki afront! W podzięcie za moją troskę i moje wysiłki wywołuje taki skandal i kuma się z tą Rahnsdorf, która nic innego nie robi, tylko spiskuje przeciwko mnie!

Pani Limbach rozzłościła się na dobre, tracąc panowanie nad sobą. Żeby się nieco uspokoić, wyjęła chusteczkę i powolnym ruchem otarła czoło. Ronald znalazł się w nieprzyjemnym położeniu.

— Myślę, że nie docenia pani hrabiny Rahnsdorf. Mnie wydała się niezwykle roztropną i sympatyczną kobietą. Cenię ją i podziwiam.

Nie można było powiedzieć konsulowej nic bardziej przykrego. Przygryzła wargi, podniosła wysoko głowę i spojrzała dumnie na młodzieńca, mrużąc majestatycznie oczy.

— Zawsze będzie plebejką, mimo że wydała się za hrabiego z wielkim

majątkiem. Jak widzę jednak, oczarowała pana i moje słowa nie są w stanie zmienić pańskiej oceny. Powinien pan jednak zdawać sobie sprawę, że jest obłudna i że sympatyczna staje się tylko wówczas gdy chce kogoś omotać. Znam tę hipokrytkę bardzo dobrze. Mojęc męża również usidliła i wykorzystuje do swoich celów, a on ciągle tylko powtarza, jaką to ma cudowną siostrę. Nie zauważa zupełnie, że ta cudowna siostra nastawia go przeciwko własnej żonie.

— Wydaje mi się jednak, że pani się myli. Hrabina Rahnsdorf nie jest zdolna do intrygowania — obstawał przy swoim Ronald.

Konsulowa uniosła rękę, co skłoniło Ronald do milczenia.

— Jeszcze się pan przekona o prawdziwości moich słów. Mój mąż od wizyty w Rahnsdorf, jest zupełnie innym człowiekiem. Wcześniej moje słowo było tutaj święte. Teraz zaczyna wymagać ode mnie posłuszeństwa, a nawet pojednania się ze szwagierką. Ja, hrabina von Schlorndorf, mam podać jej rękę! Jeszcze trochę, a uzna, że powinien prosić Lisę o wybaczenie za to, że doprowadziłam do waszego małżeństwa.

— Lisa tak nie myśli.

— I cóż z tego? Zawsze miałam na względzie jej dobro. Nie mogłam przecież przewidzieć, że w taki sposób będzie pojmować szlachecki honor.

Ronald starał się ułagodzić konsulową, która raz po raz wyrzucała z siebie gorzkie słowa pod adresem Lisy i pani Rahnsdorf. Odetchną z ulgą, gdy pojawił się wreszcie konsul. Mężczyźni wymienili na powitanie serdeczny uścisk dłoni. Karol Limbach wiedział wszystko o sprawach Ronalda dzięki regularnym relacjom swej siostry.

Ronald został na obiedzie, chociaż nie był tym specjalnie zachwycony. Był świadom, że państwo Limbach również przeżywają pewien kryzys małżeński. Czuł się trochę tak, jakby znalazł się między młotem a kowadłem. Wobec męża konsulowa straciła teraz sporo ze swej normalnej pewności siebie. Wyniosły ton jej wypowiedzi nie robił już na nim większego wrażenia, a niekiedy ignorował słowa żony. Ta przemiana dokonywała się bez kłótni, bez małżeńskich scen. Była to walka milczących przeciwników, prowadzona bez pardonu, ale w chwili, gdy odzywali się do siebie, ich wypowiedzi były uprzejme i stosowne. Coraz częściej jednak udawało się

konsulowi przeforsować swoje zdanie, niekiedy nawet wobec ostrego sprzeciwu żony. Konsulowa musiała więc godzić się czasem z porażką. Dla spokojnego i bezkonfliktowego konsula nie była to zbyt komfortowa sytuacja, dlatego dużo czasu spędzał poza domem, widywał się ze swą połówką zazwyczaj jedynie przy okazji wspólnych posiłków.

TLR

XVII

Lisa rozwijała się w Rahnsdorf jak kwiat, który długo rósł w cieniu, by wreszcie zaznać ciepłych, życiodajnych promieni słońca. Dni mijały jej na czynnościach, które wybierała jej hrabina i które sprawiały jej dużo przyjemności. Nauczyła się też jeździć konno i towarzyszyła swojej ciotce w przejażdżkach. Poza tym uprawiała z upodobaniem jeszcze jeden trudny sport. Bezpośrednio za ogrodem płynęła rzeka Saale. W niewielkiej, zgrabnej łodzi wypływała co dzień na tę rzekę i ćwiczyła się w wiosłowaniu. Robiła to sama, gdyż hrabina źle znosiła kołysanie fal. Była za to całkiem niezłą pływaczką i nakłoniła Lisę również do tego typu treningów.

Tak odmienny od poprzedniego tryb życia wywierał bardzo korzystny wpływ na psychikę dziewczyny. Powiedziała sobie, że jest szczęśliwa i przy każdej okazji starała się to swojej ciotce udowodnić. Pani Rahnsdorf udawała, że daje wiarę. Wiedziała jednak, że serce Lisy ścisła bolesny skurcz.

Z początku, po wyjeździe Ronalda, Lisa sprawiała wrażenie naprawdę zadowolonej. Później jednak zaczęły powracać słowa Ronalda, który prosił ją o zaufanie. A jeżeli to prawda, że ją pokochał? Z detalami przypominała sobie każde zdanie i zmieniający się wyraz jego twarzy. Wyobrażała sobie, że to co mówił jest prawdą. Po chwili jednak przerywała te marzenia i wymyślała sobie od naiwnych romantyczek. Starła się wtedy zamknąć swe serce przed Ronaldem. Starła się przypomnieć sobie jego słowa wypowiedziane tamtego dnia w hotelu: „Uwolnij mnie!” Nie, nie powinna wierzyć w jego obecne zapewnienia.

Nie przeżyłaby drugiego takiego wstrząsu! Lepiej już walczyć ze swoją miłością i pogodzić się z losem. Gdy przypominała sobie uczucie wstydu i wstępu do siebie, jakie przeżyła siedząc w tamtym pokoju hotelowym, zastanawiała się nad rozwodem. Byłaby chyba na tyle silna psychicznie, żeby to znieść. Nie musiała się już martwić o to, że w razie rozpadu ich związku

Ronald popadnie w finansowe tarapaty. Hrabia Wustrow z uznaniem wyrażał się o nowym domowniku. Jego największym życzeniem było podobno zatrzymać Ronalda na stałe na Pomorzu. Młodzieniec szybko stał się niezastąpiony w administrowaniu i państwo Wustrow bardzo go polubili. Tak więc Ronald nie musiałby się martwić o swą przyszłość, nawet gdyby doszło między nimi do oficjalnego rozwodu. Czyż nie byłoby to najrozsądniejsze wyjście? Stan obecny był nienormalny i nic nie zapowiadało, żeby uległ zmianie. Lisa chciała więc Ronaldowi spokojnie zakomunikować o rozwodzie. Lepiej zerwać łączące ich więzy jednym ruchem, niż w nieskończoność je rozluźniać. Dla obojga z nich są one uciążliwe. Po rozwodzie oboje byliby znowu wolnymi ludźmi.

Na takich dywagacjach przeminęło Lisie kwieciste lato. Minął czas intensywnej pracy przy zbiorach i dla Rahnsdorf nastały ciche, spokojne dni, jak zresztą dla wszystkich majątków wiejskich. O tej porze hrabina miała zwyczaj planowania zimowych podróży. Każdego roku od końca listopada do Bożego Narodzenia albo od Bożego Narodzenia do końca lutego wyjeżdżała. Tych kilka tygodni wykorzystywała na poznanie nowych ludzi i odświeżenie starych przyjaźni. Swe podróże po świecie planowała jednak tak, żeby święta spędzać zawsze z Rahnsdorf, ze swoimi poddanymi — stało się to już dobrym zwyczajem.

Pewnego więc dnia, kiedy obie z Lisą siedziały wygodnie przy kominku w salonie, a za oknem padał rześisty jesienny deszcz, pani Rahnsdorf zapytała po głębokim namyśle:

— Co powiedziałybyś, droga Liso, gdybyśmy jak najszybciej spakowały nasze bagaże i uciekły przed tą przygnębiającą pluchą, która niebawem zamieni Rahnsdorf w jedno wielkie bajoro?

Pytanie ciotki wyrwało Lisę z rozmyślań.

— Przy tym ciepłym kominku jest bardzo przytulnie, a wychodzić przecież nie musimy.

— Nie masz więc ochoty na wyjazd?— Hrabina zrobiła nieco zawieszoną minę.

Lisa spojrzała jej w oczy.

— Ale ty pewnie masz, cioteczko?

— Szczerze mówiąc mam wielką ochotę się stąd wyrwać. O tej por roku odzywa się we mnie instykt ptaka wędrownego.

— W takim razie jedźmy! — Lisa przytuliła się do ciotki.

— Ale czy na pewno będziesz zadowolona?

— Przy tobie, cioteczko, jestem zawsze zadowolona, niezależnie o miejsca.

— A dokąd pojechałabyś najchętniej?

— Ty zdecyduj, cioteczko.

— Ja jestem za tym, żeby wybrać się na Południe. W ten sposób uciekniemy przed deszczem. Czy byłeś już kiedyś w Nicei, moja droga. Może z ciotką i wujem?

— Nie, nie byłam.

— Tam jest cudownie. Znam wspaniałą rezydencję w pobliżu Nicei. Właściwie jest to stylowy pensjonat, prowadzony przez pewne przesympatyczne rodzeństwo. Bywa u nich najlepsze towarzystwo z całej Europy. Byłam już tam kilkakrotnie, po raz ostatni przed trzema laty. Chciałabym ci pokazać kawałek południa Francji. Cudowne tamtejsze plaże powinny przypaść ci do gustu. Przywiozłam stamtąd najprzyjemniejsze wspomnienia. Villa Tenda, ten pensjonat, leży nad samym morzem. Z jego rozległego tarasu będziemy miały wspaniały widok. Będziesz tam mogła też powiosłować, moja droga. Villa Tenda dysponuje poza tym wspaniałymi zagłówkami. Jest tam zupełnie inaczej niż na tej naszej sadzawce. Będziesz się mogła wyszaleć.

— Zapominasz, że mamy tutaj rzekę. Robiłam już na niej dosyć długie wyprawy. Ale pomijając to, twoja propozycja, cioteczko, jest bardzo nęcąca. Widzę, jak bardzo jest ci to potrzebne. A więc jedźmy do Nicei.

— Doskonale. Jutro się spakujemy. Zaraz zadepeszę do rodzzeństwa Tenda i zamówię dla nas pokój.

Lisa zamyśliła się.

— Nie powinnaś podawać im mojego obecnego nazwiska. Będę po prostu twoją siostrzenicą, Lisą Limbach. — Oświadczyła, chwytając hrabinę za rękę.

— Dlaczegoż to, Liso? — zapytała zdumiona pani Rahnsdorf. — Masz po

temu jakieś powody?

Lisa zaczerwieniła się.

— Możliwe, że spotkamy tam kogoś ze znajomych Ronalda. Nie chciałabym, żeby cała ta gadanina wokół naszego małżeństwa wybuchła na nowo.

— Masz rację, dziecko. W końcu to wszystko jedno, czy będziesz podróżować pod panińskim czy pod męża nazwiskiem.

— Dla mnie nie jest to obojętne, ciociu Anno. Strasznie nie lubię, jak się mnie tytułuje „panią”. A skoro już jesteśmy przy tym temacie, chciałabym ci coś wyznać.

Pani Rahnsdorf przypatrywała się bratanicy z niepokojem. Dziewczyna była teraz dla odmiany blada i miała wyjątkowo zawzięty wyraz twarzy.

— Cóż takiego masz mi do powiedzenia, Liso?

— Ciociu, chciałabym, żeby moje małżeństwo z Ronaldem zakończył oficjalny rozwód.

Hrabina zdrętwiała. Tego się nie spodziewała. Wydawało jej się, że opór Lisy zaczął słabnąć. A tu nagle takie wyznanie!

— Dech mi zapało. Powiedz, Liso, co cię skłoniło do tak nieoczekiwanej decyzji? Czy coś się stało?

— Nic się nie stało, ciociu. Ta myśl po prostu wolno we mnie dojrzewa. Nasze małżeństwo to nieporozumienie. Obojgu nam ulży, gdy zdobędziemy się wreszcie na zerwanie.

Pani Rahnsdorf nie mogła nic wyczytać z twarzy Lisy, więc obserwowała bacznie jej ruchy.

— Ale przecież kiedy Ronald tu był, powiedziałaś mu, że nie wystąpisz o rozwód.

— Wtedy obawiałam się, że rozwód mógłby pogorszyć sytuację Ronalda. Zastanawiałam się przede wszystkim nad tym, jak mu pomóc wydostać się z kłopotów finansowych. Teraz znalazł się w dobrych rękach, w Wustrow i przyszłość ma zapewnioną. Nie muszę się więc już dłużej o niego martwić.

Pani Rahnsdorf zrozumiała wreszcie, że to nie żarty. Zapytała więc poważnie:

— A więc jesteś ostatecznie zdecydowana na rozwód z Ronaldem?

— Tak, ciociu. Od wizyty Ronalda rozważałam to na wszystkie możliwe sposoby. Przecież nigdy nie bylibyśmy prawdziwym małżeństwem. Jakże mogłabym mu kiedykolwiek zaufać. Dla nas obojga byłaby to droga przez mękę i wzajemnie zatrulibyśmy sobie życie. Po cóż więc sztucznie podtrzymywać to małżeństwo? To do niczego nie prowadzi i nie wyjaśnia naszej sytuacji. Ronald z pewnością ucieszy się, że to ja przejęłam inicjatywę. On jest zbyt rycerski, żeby jako pierwszy zrobić ten krok i zadreć za siebie poczuciem winy za cierpienia, których przysporzyły mi jego słowa. Współczucie dla mnie wydaje mu się miłością. Powiedz sama, ciociu Anno, czy nie lepiej będzie w tej sytuacji podjąć energiczne działania, które rozwiążą nasz problem raz na zawsze?

Hrabina nie spuszczała wzroku z siostrzenicy.

— Mówisz bardzo rozsądnie, Liso. Jak na mój gust, nawet zbyt rozsądnie. Wnioskuje z tego, że twoje uczucie do Ronalda wygasło zupełnie.

Dziewczyna odwróciła się i podeszła do okna. Przez chwilę wpatrywała się w smagane deszczem, kałuże na dziedzińcu. Była bardzo przygnębiona.

— Przede wszystkim męczy mnie ta nie wyjaśniona sytuacja. Dłużej już tego nie zniosę — oświadczyła głucho, nie odwracając się od okna.

Twarz pani Rahnsdorf nieco się rozjaśniła. Zrozumiała wreszcie motyw, którymi Lisa się kieruje. Po prostu nie czuje się dostatecznie silna, by skutecznie bronić się przed miłością Ronalda. Głównym powodem, dla którego nie chce ulec podszeptom swego serca, jest obawa przed kolejnym wielkim rozczarowaniem. Hrabina podniosła się i podeszła do Lisy. Kładąc dziewczynie rękę na ramieniu, powiedziała:

— Nie broń się przed nim w tak niemądry sposób, dziecko. Przeczytałam ci przecież wszystkie listy od Ronalda. Każde słowo w każdym z tych listów zdradza miłość i tęsknotę. Nie zagłuszaj dłużej głosu, który chce twojego dobra. To nic nie pomoże. Twoje serce jest przekonane o miłości Ronalda. Jedynie strach popycha cię do okłamywania samej siebie.

Lisa odwróciła się do hrabiny i spojrzała jej w oczy.

— Ciociu, jeśli choć trochę mnie kochasz, nie namawiaj mnie. Nie jesteśmy w stanie zbudować normalnego małżeństwa. Chcę rozwodu i moja de-

cyzja jest ostateczna.

Wyraz twarzy dziewczyny i stanowczość jej słów odwiodły panią Rahnsdorf od dalszego nakłaniania jej do zmiany postanowienia.

— Muszę pozwolić ci iść własną drogą, dziecko. Jednak obiecaj mi, Liso, że jeszcze z tym zaczekasz. Taki krok musi być głęboko przemyślany. To, co już raz się zepsuło, trudno potem naprawić.

— Dobrze, ciociu. Mogę ci obiecać, że jakiś czas zaczekam. Potem jednak zrealizuję moje zamiary, nie rozmawiając z tobą o tym po raz drugi.

Hrabina była zadowolona. Chciała przede wszystkim zyskać na czasie, żeby móc spokojnie się nad tym zastanowić. Nie miała wątpliwości, że Lisa chce popełnić głupstwo i chciała obronić ją przed nią samą.

— Dobrze, moje dziecko, niech tak będzie. Teraz jednak przestańmy zaprzętać sobie tym głowę i zajmijmy się przygotowaniem naszej podróży. Jakże się cieszę, że tym razem nie będę musiała jechać sama! Uciekniemy od tej jesiennej szarugi, przedłużając sobie lato w pięknej Nicei. A kiedy tuż przed Bożym Narodzeniem wrócimy, Rahnsdorf przywita nas wspaniałą świąteczną szatą.

— Musi tu być naprawdę cudownie zimą. Ach, cioteczko, nie chcę nigdy stąd wyjeżdżać. Zawsze będę przy tobie.

— Ja także tego pragnę, moje dziecko.

Przez następnych kilka dni obie panie zajęte były przygotowaniem do wyjazdu. Żadna z nich nie wspomniała w tym czasie ani słowem o rozwodzie. Lisa z przesadnym zapałem uczestniczyła w pakowaniu bagaży, żartowała z panną Birkner i starała się jak mogła, by zwieść hrabinę, co do stanu swych uczuć.

Pani Rahnsdorf postanowiła, że trzeba nieco zmodyfikować plan działania. Kiedy wróci z Lisą z Nicei, Ronald musi być w Rahnsdorf. Powtórnego szturm na jej serce Lisa z pewnością nie będzie w stanie odeprzeć. Trzeba też będzie dopilnować, żeby dziewczyna nie podjęła żadnych działań w czasie pobytu w Nicei. Gdy pierwszą osobą po powrocie z zagranicy będzie Ronald, na pewno zapomni o swoich planach. Ten nagły pomysł z rozwodem nie był niczym innym, jak przyznaniem się do swej słabości. Co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości.

„Człowiek jest dziwną istotą. Na spotkanie z nieszczęściem spieszy się jak może, a przed szczęściem broni się resztkami sił” — pomyślała.

Panna Birkner pomagała w pakowaniu. Ciągłe dochodziło do sporów na temat zawartości kufrów. Marianna upierała się, żeby zabrać w podróż futra i ciepłe ubrania zimowe, a zostawić parasolki. Była poirytowana lekomyślnością „młodzieży” i upchnęła między sukniemi kilka wierzchnich okryć. Chociaż jej pani już wielokrotnie spędzała późną jesień na południu Europy, nie można było pannie Birkner wytłumaczyć, że gdzieś tam daleko może być o kilkanaście stopni cieplej niż w Rahnsdorf.

TLR

XVIII

Od kilku już dni hrabina Rahnsdorf bawiła ze swoją bratanicą w Villa Tenda. Panie spotkały się tu z tradycyjnie gościnnym przyjęciem. Pensjonat był rzeczywiście imponujący. Szczególnie duże wrażenie zrobiły na Lisie ukwiecone balkony, wspaniałe, kamienny taras i pełne dyskrecji dekoracyjne żaluzje. Prawie wszystkie pokoje były zajęte, pensjonat cieszył się bowiem dużą renomą i był ulubionym miejscem spotkań wielu znamienitych osobistości. Pobyt w położonej z dala od miasta rezydencji przedkładano nad gwar Nicei. Jeżeli ktoś z gości zapragnął jednak zasmakować rozrywek kurortu, mógł dostać się do miasta eleganckim powozem, podstawianym przez pensjonat, albo też pożeglować wzdłuż Lazurowego Wybrzeża wspaniałymi łodziami.

Lisa i hrabina Rahnsdorf dostały bardzo przestronne, eleganckie pokoje z widokiem na morze. Pod ich oknami rozpościerał się wspaniały taras wypoczynkowy, ograniczony kamienną balustradą. Prowadziły na niego szerokie, również kamienne schody. Stąd schodziło się bezpośrednio na piaszczystą plażę. Na tarasie stały białe, lakierowane stoły, lekkie krzesła i ławki. Większość pensjonariuszy właśnie tutaj spędzała czas, melancholijnie wpatrując się w morze i dzieląc swój błogi nastrój z przyjaciółmi. Przy korzystnym wietrze można było usłyszeć docierające tu z miasta przytłumione dźwięki jakiegoś koncertu.

Hrabina Rahnsdorf spotkała w Villa Tenda kilku znajomych z poprzednich pobytów, tak więc panie od początku czuły się tutaj jak w domu. Lisa była znana wszystkim jako panna Limbach, bratanica pani Rahnsdorf. Określenie „panna” wydało się zresztą pensjonariuszom najzupełniej naturalne. Lisa czarowała bowiem swą dziewczęcą urodą. Pobyt w Villa Tenda mijał więc obu paniom bardzo spokojnie, chociaż nie był wcale nudny. Często wybierały się na piesze wycieczki, zarówno same, jak i w towarzystwie, jeździły do Nicei, a nawet zorganizowały sobie wypad do Monte

Carlo. Lisa najbardziej polubiła jednak porę poobiednią, kiedy ciotka Anna robiła sobie sjęstę. Wypływała wtedy łodzią wiosłową w morze i pozwalała się kołysać łagodnym falom. Jak dotąd Morze Śródziemne było bardzo spokojne i Lisa wykorzystywała to niemal codziennie.. Zawsze znajdowali się jacyś adoratorzy, który proponowali jej towarzystwo, ona jednak zbywała ich uprzejmie, chociaż stanowczo.

Mimo iż Villa Tenda miała dzięki swym gościom międzynarodowy i arystokratyczny charakter, zawsze przebywało tu grono osób, które nie potrafiło wyzbyć się swoich zaściankowych zachowań. Działo się tak pewnie dlatego, że ta prowincjonalność była w nich i wszędzie zabierali ją ze sobą. Osoby te można było zaklasyfikować do dwóch podstawowych grup. Pierwsza z nich objęłaby tych spokojniejszych, niegroźnych, którzy nie afiszowali się ze swoją małostkowością. W drugiej grupie znaleźliby się ci, którzy irytują się z byle powodu i szukają wszędzie jakiejś plamy, wady czy brzydoty, żeby po ich odkryciu, triumfalnie je wszystkim pokazać. Tacy ludzie są niebezpieczni i nawet nie zdają sobie sprawy z tego, jak niskie jest ich postępowanie.

Do tej ostatniej grupy należały niewątpliwie cztery osoby, które od lat były stałymi bywalcami pensjonatu. Zawsze zjawiały się tu w tym samym czasie, chociaż mieszkały w różnych częściach Niemiec i wszystko robiły wspólnie, jak papużki-nierozłączki.

Pani Rahnsdorf znała całą tę czwórkę aż nazbyt dobrze i aby uniknąć konieczności wdawania się z nimi w dysputę, omijała ich z daleka. Nie zawsze było to jednak możliwe, gdyż ta „czterolistna koniczyna”, jak zwykła ich nazywać, przesiadywała całymi dniami na tarasie widokowym, zajmując stale ten sam stolik przy głównym zejściu na plażę. Czasem musiała zamienić z nimi kilka słów. Tylko jednak nowicjusze w Villa Tenda pozwalali się zaprosić do stolika tych złośliwców.

Czterolistna koniczyna składała się z trzech dam i jednego pana – wszyscy w wieku czterdziestu kilku lat. Pan Strassen był na rencie ze względu na jakieś schorzenie. Był tajnym radcą dworu w niewielkiej rezydencji. Jako stary kawaler celował w oczernianiu innych. Przykładał niewiarygodnie wielką wagę do swego wyglądu. Nosił na przykład kapelusz

tak błyszczący, że można się w nim było przejrzeć. Dwoma pozostałymi jego atrybutami były: kwiatek w dziurce od guzika jego garnituru i monokl, przez który zwykł obserwować wszystkich dokoła swymi okrutnie przenikliwymi, jasnoblękitnymi oczami. Swoje spostrzeżenia przekazywał szeptem. Jego ulubioną towarzyszką obserwacji była pani Rosen, niewątpliwie najmłodsza z całej czwórki. Miała co prawda zwyczaj nakładania zbyt wielkiej ilości różu na policzki, ale i tak wyglądała najkorzystniej z trójki dam — przynajmniej z grubsza wiedziała, jak wygląda kobieca toaleta. Zawsze, bez wyjątku, zgadzała się we wszystkim z panem Strassenem, a tęskne spojrzenia rzucane w jego kierunku świadczyły niezbicie, że jej serce nie miałooby nic przeciwko temu, żeby bić w piersi mężatki o nazwisku Strassen. Drugą z siedzących przy stoliku kobiet była przekwitła, ostronosa panna Uechteritz. Jej hobby stanowił jaskrawy makijaż, który nakładała na swą egzaltowaną twarz. Krytykowała wszystkie inne kobiety, wytykając im albo „zbytnią prostotę”, albo „zbytnią ekstrawagancję” w malowaniu się. Siebie natomiast uważała oczywiście za wzór do naśladowania. Również i ona z tęsknotą spoglądała na Strassena, licząc pewnie w duchu na propozycję ze strony tego jedyne go wchodzącego w grę frajera. Pozostała jeszcze wdowa po generale Naundorf. Jej małe, szybko poruszające się we wszystkich kierunkach oczka potrafiły przewiercić człowieka na wylot. Najdziwniejszą ich cechą było jednak to, że dostrzegały jedynie takie rzeczy, które panią generałową bardzo drażniły. Wołała wtedy: „Mon dieu — co to za zwyczaje?!” Jej podwójny podbródek drżał z podniecenia nad bujnymi piersiami. Miała piękne, małe dłonie, na których pielęgnacji schodziło jej zazwyczaj pół dnia. Kokietowała nimi mężczyzn, z tym, że robiła to w taki sposób, że ktoś zbyt delikatny mógłby dostać palpacji serca.

Generałowa spodziewała się za kilka dni swego siostrzeńca, o czym od dłuższego czasu regularnie informowała całe towarzystwo. Rozpływała się przy tym w komplementowaniu go, potrafiąc zrobić z tego całkiem długi wykład. O tym jednak, że usilnie namawiała go do przyjazdu tu, ponieważ wśród pensjonariuszy znajdowały się dwie bogate dziedziczki, które były wyjątkowo dobrymi partiami, nie wspomniała oczywiście ani słowem. ,

Pierwszą z nich była „panna Lisa Limbach”. Generałowa nie miała natu-

ralnie zielonego pojęcia o tym, że dziewczyna w rzeczywistości jest mężatką i nazywa się Hechingen. Przy każdej okazji jednak wypytywała panią Rahnsdorf i szczęśliwie udało jej się ustalić, że jej bratanica jest nie tylko zamożna z domu, ale również odziedziczyła Rahnsdorf. Tylko temu należy przypisać, że Lisa cieszyła się na razie przychylnością czwórki osób siedzących przy tym osławionym stoliku. Radca dworu zaszczycał ją mdłymi dowcipami, z których sam zaśmiewał się spazmatycznie. Panna Uechteritz także nie miała dziewczynie nic do zarzucenia, może poza tym, że nosiła zbyt dużo bieli. Pani Rosen za to ignorowała ją zupełnie, co wbrew pozorom oznaczało u niej życzliwość. Generałowa oczywiście zanudzała Lisę fascynującymi opowieściami o dokonaniach swego siostrzeńca, okazując jej przy tym niemal matczyną czułość.

Hrabina Rahnsdorf przyglądała się temu wszystkiemu z serdecznym rozbawieniem.

— Liso, czterolistna koniczyna chyba sobie ciebie upodobała. Nie wygląda to dobrze! Mam wrażenie, że pani generałowa kombinuje, jak tu złapać bogatą szlachciankę dla swojego cudownego siostrzeńca. Stanowczo zbyt często mi o nim opowiada, a ostatnio poddała mnie szczegółowemu przesłuchaniu, próbując dowiedzieć się, czy aby na pewno jesteś moją jedyną dziedziczką.

Lisa zrobiła zdeglustowaną minę.

— Nie cierpię tych ludzi.

— Nie tylko ty. Ale nie pozwólmy im popsuć nam tak wspaniałych ferii.

Rozmawiały, siedząc wygodnie przy małym stoliku nie opodal balustrady. Taras nie był dzisiaj zbyt zatłoczony, gdyż większość gości albo wybrała się do Nicei, albo żeglowała po zatoce. One również dostały propozycję wypłynięcia jachtem, ale zrezygnowały z niej, woląc leniwie spędzić to popołudnie.

Lisa zresztą zazwyczaj wykręcała się od tego typu wspólnych przedsięwzięć. Jej myśli zaprzątnięte były nieustannie planowanym rozwodem, dzięki któremu miała nadzieję odzyskać wewnętrzny spokój. Tak jak obiecała ciotce, odczekała jeszcze jakiś czas przed podjęciem odpowiednich kroków. Dała sobie na to w Rahnsdorf dwa tygodnie i ani więcej. Kiedy

tylko minęły, natychmiast napisała do Ronalda, ciotce Annie nie wspominając o tym ani słowa. Dobrze wiedziała, że w tej sprawie różnią się zasadniczo i niepotrzebnie spierałyby się ze sobą. Bardzo kochała swoją ciotkę, ale nawet z jej ust nie chciała słyszeć słów, które rozdrapywały starą ranę.

Hrabina Rahnsdorf nie przeczuwała nawet, że Lisa już teraz zdecydowała się na rozwiązanie tej sprawy. Ona sama na razie nie wspomniała jeszcze Ronaldowi o zamysłach swej bratanicy, nie chcąc go niepotrzebnie niepokoić i mając nadzieję, że uda się odwieść Lisę od tego pomysłu. Pomyślała, że zdąży go jeszcze powiadomić i chciała zrobić to na kilka dni przed ich powrotem do Rahnsdorf.

List Lisy do Ronalda był następującej treści:

Drogi Ronaldzie!

Do napisania tego listu skłania mnie decyzja, którą właśnie podjęłam. Pytałeś mnie w Rahnsdorf, czy żądam rozwodu. Odpowiedziałam Ci wówczas przecząco. Zmieniłam jednak zdanie. Po głębokim zastanowieniu doszłam do przekonania, że jedynie rozwód może unormować nasze stosunki i wyjaśnić ostatecznie zaistniałą sytuację. Dlatego też zwracam się do Ciebie z prośbą, abyś jak najprędzej podjął odpowiednie działania w tym kierunku. Daję Ci nieograniczone pełnomocnictwo do załatwienia tej sprawy. Jednocześnie też proszę, żebyś nie próbował nakłaniać mnie do zmiany decyzji. Tak będzie najlepiej dla nas obojga. Oszczędzi mi to także dalszych cierpień. Ronaldzie, liczę na Twoją rycerskość. Moje serce tęskni za spokojem. Zrób więc wszystko, żeby jak najszybciej rozerwać więzy, które nas oboje kępują. Uwolnij nas! Bądź pewien mojej wdzięczności.

Lisa

Nie czytając listu powtórnie, złożyła go, zaadresowała i zaniósła do wiszącej na ścianie pensjonatu skrzynki pocztowej. Kiedy wypuściła go z ręki i usłyszała stłumiony dźwięk, świadczący o tym, że list znalazł się na dnie pojemnika, poczuła, jakby ciężki kamień spadł jej z serca. Opadło z niej

napięcie ostatnich miesięcy. List, który pieczętował los jej związku z Ronaldem, uwalniał ją od udręki.

Lekkim krokiem zeszła po kamiennych stopniach na plażę. Zamierzała trochę popływać kajakiem. Mężczyzna, pilnujący sprzętu, przygotował dla niej odpowiednią łódź i patrzył z podziwem, jak zgrabnie radziła sobie z wiosłami. Dostał od „niemieckiej panienci, spory napiwek. Lisa wiosłowała z gracją, przykuwając wzrok kilku mijających ją mężczyzn. Pozdrowili ją przyjaznymi okrzykami, żałując, że nie mogą się do niej przyłączyć. Kiedy po godzinie przybiła do brzegu, zauważyła ciotkę Annę, która skończyła właśnie swą poobiednią drzemkę i rozglądała się po plaży za swą bratanicą.

— Jesteś prawdziwym wilkiem morskim, Liso. Znowu pływałaś na pełnym morzu?

— Tak, cioteczko. Nie masz pojęcia, jak wspaniale wygląda wybrzeże od strony zatoki! Powinnaś popływać ze mną.

— Nie, moja mała, to nie dla mnie. W takiej łupinie zawsze mam mdłości. Wolę pewnie stąpać po stałym lądzie. W czasie swoich przejażdżek nie powinnaś się jednak za bardzo oddalać od brzegu. Morze bywa zdradliwe.

— Nie martw się, ciociu, nigdy nie przeceniam swoich sił.

Hrabina z upodobaniem przypatrywała się wspaniale wykształconej figurze bratanicy.

— Miło jest czuć, że jest się silna i młoda, Liso?

— To dzięki tobie tak wyglądam, kochana cioteczko.

— Przede wszystkim dzięki pani Birkner. Dostałyśmy zresztą od niej list. Jest pełen uprzejmości, jak rzadko.

Lisa roześmiała się.

— Nie mogę sobie tego jakoś wyobrazić. Czy w domu wszystko w porządku?

— Dzięki Bogu tak. Ale chodźmy stąd. Wejdźmy tym razem bocznymi schodami, by nie przechodzić koło stolika czterolistnej koniczyny, przy którym, jak widziałam, jest komplet. Kiedy słyszę te opowieści o siostrzeńcu-supermenie, robi mi się słabo. Generałowa ciągle ma cię na ce-

lowniku. To była chyba jednak nieostrożność z mojej strony, że pozwoliłam im nazywać cię panną. Równie dobrze mogłabyś występować jako pani Limbach.

— Wówczas zasypaliby mnie gradem pytań o męża — odparła Lisa cicho.

— Tak, tak, masz rację. Byłoby jeszcze gorzej. Jakoś sobie poradzimy z tym siostrzeńcem. A poza tym jest tu przecież jeszcze jedna bogata panna, na którą pani generałowa także ostrzy sobie pazury.

— Masz pewnie na myśli pannę Jagemann? Obawiam się, że i w tym wypadku spotka generałową srogi zawód. Widziałam ją kilka razy z panem Tomdorf. Bawili się w swoim towarzystwie doprawdy wyśmienicie.

— Tomdorf wydaje mi się bardzo sympatycznym człowiekiem, podobnie jak i ta mała Jagemann. Tworzą dobraną parę. Lubię patrzeć na młodych, pięknych i szczęśliwych ludzi.

Lisa zamyśliła się. Młodzi, piękni i szczęśliwi!

Zastanawiała się, czy nie powiedzieć teraz o swoim liście do Ronalda. Coś ją jednak powstrzymywało. Po co psuć ciotce tak dobry nastrój? Dowie się, kiedy Ronald odpisze. Przez następnych kilka dni Lisa oczekiwiała na tę odpowiedź z niepokojem. Ciągle wyliczała sobie, kiedy jej list powinien do niego dotrzeć.

Tymczasem pojawił się bratanek generałowej. Pan Naundorf nie był ani piękny, ani brzydki. Miał nijakie rysy, cieką bródkę i złośliwe, świdrujące spojrzenie. Jego ciotka nie omieszkała oczywiście przedstawić go z największą pompą dwóm wybranym przez siebie kandydatkom, to jest Lisie i pannie Jagemann, ładnej, zgrabnej i powabnej dziewczynie, córce bogatego radcy handlowego. Ze skrywaną przyjemnością pensjonariusze obserwowali, jak panna Jagemann odprawia przewspaniałego siostrzeńca z kwitkiem, kiedy ten próbował zbliżyć się do niej pełnym galanterii krokiem. Od razu też zauważono, że i druga z zamożnych panien, Lisa, traktowała kawalera z wielką rezerwą. Po pewnym czasie pan Naundorf wyznał swej ciotce w czasie sjeisty, że panna Jagemann odpadła z konkursu, gdyż ma najprawdopodobniej romans z panem Tomdorfem. Na placu boju pozostała więc już tylko jedna kandydatka, ale „ta mała, chociaż niebrzydka, jest sta-

nowczo zbyt poważna, jak na mój gust”.

Następnego ranka przy słynnym stoliku siedziała już piątka, ponieważ dosiadł się tam pan Naundorf. Na panie Jagemann nie zostawiono suchej nitki, wyszydając jej chód, sposób ubierania się, sposób mówienia, itd. Pani generałowa, przepełniona pobożnym zgorszeniem, opowiadała wszystkim dokoła, jak to panna Jagemann poprzedniego wieczora aż do godziny dziesiątej przechadzała się po plaży w towarzystwie pana Tomdorfa. I kto wie, co się potem działo?!

— Mon dieu, co to za zwyczaje! Że też musimy patrzeć na takie bezeceństwa!

— Nie pojmuję zupełnie, jak matka ją wychowała — dodała pani Rosen.

— Cha, cha — zarechotał pan Strassen, drapiąc się w podbródek.

Pani radczyni Jagemann jest również, jakby to powiedzieć, kobietą kochliwą.

— No tak! Jaka matka, taka i córka — podsumowała panna Uechteritz. — Czy widzieliście państwo wczorajszą kreację pani radczyni? Byłam przerażona.

— Cha, cha. Jakże mógłbym jej nie zauważyć. To, co miała pod spodem, aż raziło w oczy — odezwał się znowu pan Strassen, bardzo zadowolony ze swej spostrzegawczości i zarechotał.

— No, no, mój przyjacielu, tylko bez takiej frywolności! Skarciła go czule pani Rosen.

Radca dworu zamrugął i stłumił nieco swój śmiech.

Pani generałowa zauważyła, że policzki pani Rosen wyglądają dzisiaj zbyt kwitnąco. Była bardzo zdenerwowana i nie zamierzała oszczędzać nawet przyjaciół. Potem towarzystwo siedziało przez chwilę w milczeniu, wypatrując na horyzoncie kolejnej ofiary.

— Czy nie uważacie, mili państwo, że te samotne wyprawy łodzią panny Limbach są trochę jakby... zbyt wyemancypowane? — zagadnęła panna Uechteritz, która serdecznie nie cierpiała Lisy i myślała tylko o tym, żeby przypiąć jej jakąś łątkę.

Pani generałowa jednak nie pozwoliła rozwijać tego tematu.

— W każdym razie jest to bardziej przyzwoite niż wybieranie się gdzieś ciągle w męskim towarzystwie, jak to robi panna Jagemann. No, proszę! Spójrzcie tam! Cóż to ma znaczyć?!

Wszyscy podążyli za wzrokiem pani Naundorf. Właśnie pojawiła się na tarasie niedoszła narzeczona supersiostrzeńca, wsparta na ramieniu pana Tomdorf. Oboje mieli „niesłychanie” szczęśliwy wyraz twarzy. Przy stoliku zaplanowało poruszenie i już złośliwcy zamierzali przystąpić do natarcia, gdy nagle para młodych poprosiła o głos i obwieściła wszystkim obecnym na tarasie swoje zaręczyny. Członkowie klubu czterolistnej koniczyny byli bardzo zawiedzeni. Właśnie wytracono im z rąk wszystkie argumenty przeciw pani Jagemann i jej towarzyszowi.

W czasie, gdy na tarasie panował jeszcze gwar towarzyszący gratulacjom szczęśliwej parze, służący przyniósł pani Rahnsdorf depeszę, która przed chwilą nadeszła. Lisa oniemiała z przerażenia, myśląc, że jest to wiadomość od Ronalda. Wpatrywała się w ciotkę, która nagle pobladła.

— Cioteczko, co ci? — zawołała.

Hrabina wpatrywała się w telegram tępym wzrokiem. Po chwili jednak opanowała się, nie chcąc ściągnąć na siebie spojrzeń innych pensjonariuszy.

— W Rahnsdorf wybuchł pożar. Muszę natychmiast wyjechać — powiedziała i tak spokojnie, jak mogła, podała Lisie depeszę.

Lisa przeczytała jej treść.

W stodole wybuchł pożar. Przerzuca się na zabudowania gospodarcze. Proszę przyjeżdżać jak najszybciej. Birkner.

Pani Rahnsdorf pożegnała się pospiesznie z gośćmi siedzącymi przy ich stoliku.

— Niedługo wracam, mili państwo. Proszę tymczasem zaopiekować się moją bratanicą.

— Cioteczko, pojedę z tobą — zawołała Lisa, chwytając ją za rękę.

— Nonsens, moja mała. Nie będziesz mi teraz w Rahnsdorf potrzebna.

— Hrabina była nieugięta. — Tam aż wrze. Zostaniesz tutaj i będziesz dalej wypoczywać. Przyjadę, jak tylko będę mogła. Mam nadzieję, że pora-

dzimy sobie w ciągu kilku dni.

Lisa pomogła jej spakować najbardziej potrzebne rzeczy. Po chwili pani Rahnsdorf miała już na sobie strój podróżny.

— Wolę, żebyś została tutaj, moje dziecko. Naprawdę tylko byś mi przeszkadzała. Muszę jechać sama.

— Nie chcę zostawiać cię samej z takim zmartwieniem, ciociu.

— Daj spokój, Liso, jestem do tego przyzwyczajona. Poza tym na razie się nie martwię. Wszystko w majątku jest ubezpieczone. Żeby mi tylko by-
dło nie padło! Ale o to już powinien zatroszczyć się mój zarządca. Możesz więc spokojnie zostać. Wystarczy, że ja muszę tę drogę pokonać dwukrot-
nie. Niedługo powinnam być tutaj z powrotem, bo jeszcze nie nacieszyłam
się wczasami na Lazurowym Wybrzeżu.

— Ostatecznie nie potrzebujesz wcale jechać, cioteczko. Zanim przybę-
dziesz do Rahnsdorf, wszystko już pewnie będzie ugaszone i zabezpieczo-
ne.

— Całkiem możliwe, ale po każdym pożarze jest sporo do uprzątnięcia. Muszę być na miejscu. Tak, Liso. Podaj mi, proszę, mój parasol! Wyjrzyj też, czy powóz już zajechał! Jeżeli masz ochotę i zdążysz się ubrać w pięć minut, możesz mi towarzyszyć do Nicei. Tylko pospiesz się, bo się spóź-
nię!

Lisa szybko się przebrała. Przy powozie ustawił się już szpaler znajo-
mych pani Rahnsdorf, żeby ją pożegnać. Nie zabrakło też czterolistnej ko-
niczyny, a generałowa mówiła bez ustanku, oferując między innymi towa-
rzystwo swojego świetnego siostrzeńca w drodze do Nicei. Na nic zdały się
protesty obu pań. Naundorf wepchał się do powozu, demonstrując tym sam-
ym swą gotowość do poświęceń. Ponieważ nie można go było tak po
prostu stamtąd wyrzucić ani wyperswadować mu tego z uwagi na uciekają-
cy czas, panie musiały pogodzić się z jego obecnością. Hrabina Rahnsdorf
robiła dobrą minę do złej gry, ale ostatecznie uznała, że to nawet dobrze, iż
Lisa nie będzie musiała wracać sama. W duchu niezłe się bawiła, widząc
niezdarne próby siostrzeńca generałowej zwrócenia na siebie uwagi Lisy.

Lisa zaplanowała sobie szybko, że w drodze do Nicei powie ciotce
oswym liście do Ronalda. Obecność Naundorfa skutecznie pokrzyżowała

jej szyki.

TLR

XIX

Ronald wrócił z inspekcji majątku. Oddał swego konia chłopcu stajennemu i poszedł w kierunku pałacu. W jednym z okien stała pani Wustrow, niewysoka kobieta o zaokrąglonych kształtach i zawsze przyjemnym wyrazie twarzy. Pozdrowił ją skinieniem. Kiedy się przebrał, poszedł do pokoju, w którym ją zauważył. Przy kominku siedział hrabia Wustrow, posiwiasty olbrzym o wydatnym czole i imponujących, krzaczastych brwiach.

— Niech mnie kule biją, Hechingen, już wróciłeś?! Jeździsz konno jak sam diabeł. Czy w folwarku wszystko w porządku?

— W jak najlepszym, panie Wustrow.

— Doskonale, doskonale. Jak to dobrze, że jest pan tu z nami! Z tym moim reumatyzmem nie byłbym w stanie doglądać wszystkiego osobiście.

Hrabina uśmiechnęła się uprzejmie do RONALDA.

— Z pewnością jest pan głodny. Chodźmy więc, obiad już gotowy. Czekaliśmy tylko na pana.

— Tak, żona uważa, że nie smakowałoby nam bez pana.

Ronald uśmiechnął się i podszedł do hrabiego.

— Czy mogę służyć panu swoją pomocą?

— No, jasne, że tak. Gdybym się wsparł na pana silnym ramieniu, byłoby mi łatwiej podejść do stołu — odparł Wustrow.

Podniósł się zaciskając zęby i powoli z pomocą RONALDA pokuśtykał do jadalni. Młodzieniec tymczasem zrelacjonował swoją przedpołudniową inspekcję, podczas której musiał zdyscyplinować kilku opornych pracowników, którzy nie byli zbyt skorzy do wypełniania swoich powinności.

— Zrobił pan z nimi porządek? Doskonale, to mi się podoba. Postąpiłbym tak samo. Miejmy nadzieję, że będzie teraz trochę spokoju.

— Jestem o tym święcie przekonany.

Pani Wustrow sama podała zupę.

— Panie Hechingen, koło pańskiego talerza powinien leżeć list z Nicei. Położyłam go tam, żeby o nim nie zapomnieć.

Ronald wziął liścik do ręki. Początkowo myślał, że jest od pani Rahnsdorf, ale zaraz rozpoznał charakter pisma Lisy. Serce zabiło mu mocniej.

Pan Wustrow tymczasem rozlewał wino do kieliszków.

— Proszę się nie krępować, drogi panie. Może pan go tutaj śmiało czytać.

Ronald jednak wolał schować list do kieszeni i zostawić sobie jego lekturę na później. Zdawał sobie sprawę, że na tej kartce jest decyzja dotycząca przyszłości jego małżeństwa, a nie chciał poznać jej w obecności gospodarzy.

— Po południu będę miał na to więcej czasu — oświadczył.

Przy obiedzie plotkowano wesoło o wszystkim. Hrabia lubił ożywione rozmowy.

— Widzi pan, drogi chłopcze, od czasu gdy zamieszkał pan tu z nami, zarówno w tych murach, jak i naszych sercach zagościła radość. Od kiedy nasza córka wyszła za landrata von Staffelsa, było tu w Wustrow cicho, a nawet smutno. Tylko gdy na ferie przyjeżdża mój wnuczek, ten stary gmach się ożywia. Poznał pan tego gagatka. A jak ten dzikus szybko biega, co? — Duma rozpierała mu pierś.

Ronald z uśmiechem kiwał głową.

— Widać, że ma temperament. Będzie z niego kiedyś znakomity zarządca, panie Wustrow.

— Myślę, że powinien. Jego ojciec nie miał takiego daru. Jest całkowicie pochłonięty swoją pracą. Nie ma zresztą innego wyjścia. Tak więc mnie nie pozostaje nic innego, jak samemu tu gospodarzyć, przynajmniej dopóki chłopak nie dorośnie. Byłoby mi bardzo na rękę, gdyby zechciał pan do tego czasu u nas zostać. Zdaję sobie jednak sprawę, że to niemożliwe. Pewnego dnia, ni stąd ni zowąd, nasza droga Anna Rahnsdorf wezwie pana do siebie, a nam pozostanie pogodzić się z tym. To może się zdarzyć każdego dnia. No, ale napijmy się. Prosit! Nic na to nie poradzimy.

Ronald jednak nie słuchał hrabiego zbyt uważnie. Intrygował go list w kieszeni. Jaką też Lisa mogła podjąć decyzję? Był podenerwowany, ale też zadowolony, że wreszcie skończy się ta niepewność. Wstał, chcąc udać się czym prędzej do swego pokoju.

— Nie zapali pan ze mną fajki, panie Hechingen? Przecież nie ma aż tak pilnych prac.

— Ależ, Franciszku, pan chce przeczytać swój list — uświadomiła męża z uśmiechem pani Wustrow.

— Ach, prawda! W takim razie nie zatrzymuję cię, synu. Kiedy jednak zapozna się pan już z nowinami, proszę zejść do mnie. Zapalimy sobie fajkę pokoju, zgoda?

— Z przyjemnością się do pana przyłączę, panie Wustrow.

— Doskonale — stwierdził usatysfakcjonowany hrabia, a kiedy Ronald zniknął na schodach, dodał: — wspaniały chłopak z tego Hechingena, co?

— Też tak sędzę.

— Dałoby się go tu zatrzymać jeszcze na jakiś czas? Jak myślisz?

Pani Wustrow wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Mam wrażenie, że wszystko zależy od jego młodziutkiej żony.

— To musi być niezbyt poukładana dziewczyna. Takiego chłopaka trzeba mocno trzymać przy sobie, a nie pozwalać mu się wałęsać po świecie.

— Dajże spokój, Franciszku! Wyrokujesz jak głuchy o muzyce. Coś między nimi musi być nie tak.

— Masz rację, zbyt mało wiemy, żeby wydawać sądy. Lepiej poczekajmy trochę — zgodził się hrabia.

Zapalił cygaro, a żona podała mu kawę i usiadła naprzeciwko niego przy kominku. Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Nagle wpadł Ronald, blady jak ściana. Szybkim krokiem zbliżył się do gospodarzy i oświadczył:

— Panie Wustrow, zwracam się do pana z usilną prośbą o kilka dni urlopu. Muszę natychmiast jechać do Nicei.

— Wystraszył nas pan, drogi panie Hechingen. Co się stało? Jakieś nieszczęście?

— Nie, ale muszę natychmiast widzieć się z moją żoną. Od tego zależy moje życie. Proszę mnie nie zatrzymywać.

— Ależ skądże, mój chłopcze, nie mam zamiaru cię zatrzymywać, skoro masz tak ważną misję do spełnienia. Niech mi pan jednak powie otwarcie.

Czy wróci pan jeszcze do Wustrow?

— Może wrócę na zawsze.

— Wobec tego z czystego egoizmu życzyłbym sobie, żeby pan tu do nas przyjechał. Wygląda pan na mocno wzburzonego — niech więc panu szczęście sprzyja! Będziemy tu czekać na pana, licząc, że jednak pan się zjawi. W Wustrow zawsze będzie pan mile widziany.

Hrabia uściśnął dłoń Ronalda tak serdecznie, że omal mu jej nie zmiążdżył. Również hrabina życzyła młodzieńcowi szczęśliwej podróży i uściśkała go czule.

— Głowa do góry, chłopcze! I proszę pozdrowić od nas panią hrabinę Rahnsdorf. Może będziemy mieli okazję spotkać się na przedświątecznych zakupach w Berlinie.

Przez kilka następnych dni po wyjeździe ciotki, Lisa była wprost rozrywana. Proponowano jej uczestnictwo w różnych wycieczkach i imprezach. Wszystkie jednak propozycje spotykały się z jej uprzejmą, acz stanowczą odmową. Nie chciała się zbyt oddalać od Villa Tenda. Spodziewała się wiadomości od Ronalda i od ciotki Anny. Popołudniami wiosłowała jedynie, tak jak zwykle.

Również i teraz wybrała się nad zatokę. Siostrzeniec pani generałowej, który wypoczywał przy stoliku czterolistnej koniczyny, podążył za nią, chcąc dotrzymać jej towarzystwa. Lisa odwróciła się jednak do niego, oświadczając:

— Muszę pana prosić o to, by pozwolił mi pan samej popływać, drogi panie Naundorf. Tak się już po prostu przyzwyczaiłam. Niech mnie pan źle nie zrozumie, ale w taki sam sposób odprawiam wszystkich innych mężczyzn.

— Ależ, panno Limbach, zapomina pani, że pani ciotka poprosiła nas o opiekę nad panią. Nie mogę pozwolić, żeby przytrafiło się pani coś złego.

Lisa roześmiała się.

— Codziennie pływam sama, nawet kiedy jest tu moja ciotka. To powinno zdjąć z pana obowiązek opieki nade mną, przynajmniej na ten czas. Poza tym nie sędzę, by przytrafiło mi się coś innego niż miła przejażdżka.

— Ja jednak nie pozwolę pani pływać samotnie — upierał się Naundorf, próbując zahipnotyzować Lisę swym spojrzeniem.

Dziewczyna podeszła do niego bliżej i spojrzała na niego lodowato.

— Proszę mi dać spokój. Mam życzenie, popływać sobie bez czyjegokolwiek towarzystwa — oświadczyła.

— Pani jest bezlitosna — powiedział z wyrzutem Naundorf, cofając się o krok.

Lisa nie zwracała już więcej na niego uwagi. Zeszła wąską ścieżką do przystani, gdzie czekała na nią przycumowana łódka. Naundorf szedł za nią

w pewnym oddaleniu. Gdy dziewczyna zamierzała wsiąść do łodzi, pobiegł do niej starając się usłużnie podać jej ramię. Lisa zdążyła jednak skorzystać z pomocy strażnika przystani.

— Adieu, panie Naundorf! — krzyknęła do swego adoratora i odpłynęła.

Odprowadził ją niezbyt bystrym spojrzeniem i ruszył z powrotem do swego stolika. Stamtąd obserwowano całą tę scenę z zapartym tchem. Twarz generałowej przybrała diametralnie inny wyraz niż oblicze jej siostrzeńca. Wyrażała wzburzenie.

— A więc panna Limbach woląca popłynąć sama? — zwróciła się do siostrzeńca z sarkastycznym pytaniem, kiedy ten zajął miejsce obok niej.

Młody Naundorf wzruszył bezradnie ramionami.

— Wyraziła nadzieję, że nie zrozumie jej źle, gdyż w taki sam sposób odprawia wszystkich innych mężczyzn.

Generałową to o dziwo uspokoiło.

— Bardzo subtelna, młoda dama, to trzeba jej przyznać — powiedziała z niechętnym uznaniem.

W czasie gdy czterolistna koniczyna zajęta była obserwacją Lisy, w pensjonacie pojawił się nowy gość. Tym gościem był Ronald Hechingen. Zapytał o panią hrabinę Rahnsdorf i ku swemu rozczarowaniu dowiedział się, że wyjechała. Widząc zakłopotanie młodego człowieka, podeszła do niego współwłaścicielka pensjonatu, drobna, sympatyczna kobieta, o lekko przyprószonych siwizną włosach. Ronald przedstawił się jej i poprosił o wyjaśnienia, których panna Tenda chętnie mu udzieliła.

— Hrabina Rahnsdorf wróci przypuszczalnie za kilka dni — powiedziała uprzejmie.

— Czy mógłbym zamieszkać w pani pensjonacie, czekając na jej powrót? Muszę się z nią bowiem jak najszybciej zobaczyć.

— Jeżeli zadowolili się pan małym pokojem. Wszystkie większe są już niestety zajęte.

— Naturalnie. Czy mogłaby mi pani też powiedzieć, dokąd właściwie udała się pani Rahnsdorf?

— Wróciła do domu. Podobno w jej majątku wybuchł pożar. Panna Limbach została u nas.

Ronald oniemiał. Wiedział co prawda z listów, że Lisa posługuje się tutaj dla wygody panięmskim nazwiskiem, ale użycie go przez obcą osobę zrobiło na nim wrażenie.

— Świetnie! — wycedził. — A więc bratanica została tutaj. Czy zechciałyby pani zaprowadzić mnie do niej?

— Panienska wyplłynęła na zatokę. Wróci za godzinę. Do tego czasu mógłby pan obejrzeć swój pokój. Skoro tylko nadejdzie, zaraz pana powiadomię.

Ronald podziękował jej lekkim ukłonem.

— Zaczekam na nią na plaży.

Panna Tenda poleciała swojej pokojówce zaprowadzić pana Hechigena do jego apartamentu. Ta sama pokojówka informowała zawsze pannę Uechteritz o wszystkich nowościach, za co była sownie wynagradzana. I tym razem co sił popędziła do swej zleceniodawczyni, gdy tylko otworzyła Ronaldowi jego pokój.

— Łaskawa pani, przybył nowy gość. Nie zrozumiałam jego nazwiska, ale to bardzo przystojny i elegancki pan.

— Młody czy stary? — zapytała Uechteritz ciekawie.

— Młody, około dwudziestu pięciu lat.

Stara panna wcisnęła dziewczynie do ręki monetę i pospieszyła do stolika na tarasie, żeby jak najszybciej podzielić się tą nowiną ze znajomymi.

— Moi państwo, mamy nowego pensjonariusza.

— Jakże się nazywa?

— Skąd pochodzi?

— Kiedy przybył?

— Zdaje się, że wszystkie pokoje były zajęte.

Wszyscy naraz zarzucili ją pytaniami.

Panna Uechteritz powiedziała tyle, ile wiedziała. Z wielką ciekawością wpatrywano się więc w drzwi wyjściowe na taras.

Naundorf, który siedział odwrócony plecami do budynku, nie odrywał oczu od łodzi wiosłowej na zatoce. Była dość daleko od brzegu, ale najwyraźniej zmieniała kurs i płynęła z powrotem. Siostrzeniec generałowej zastanawiał się, czy powinien znowu zejść na przystań, czy też „kazać tej

małej na siebie czekać”. Może byłaby dla niego przyjemniejsza, gdyby był wobec niej bardziej stanowczy?

— Proponuję, żebyśmy spróbowali z tą małą inaczej. Nie ruszajmy się stąd i zignorujmy ją, jak będzie tędy przechodziła.

Rozsiadł się wygodnie w fotelu i obserwował Lisę, powoli wiosłującą w stronę brzegu. Wkrótce przybiła do brzegu, zamieniła kilka słów ze strażnikiem łodzi i zaczęła wspinać się po ścieżce prowadzącej na taras pensjonatu.

W tym momencie panna Uechteritz wrzasnęła:

— Jest!

Wszyscy, oprócz Naundorfa, który nie spuszczał oczu z Lis wpatrywali się w nowego gościa. Ronald tymczasem szedł prężny krokiem w kierunku głównego zejścia na plażę. Również i jemu pensjonariusze przyglądali się zgrabnej sylwetce młodzieńca. W końcu każdy człowiek jest ciekawy, z kim będzie jadał przez najbliższych kilka tygodni przy wspólnym stole. W chwili, gdy Ronald przechodził koło stolika czterolistnej koniczyny, Lisa dotarła do schodów. Spojrzała w górę i zamarła, gdy go zobaczyła. Ronald zbiegł szybko po kamiennych stopniach i stanął obok niej. Całując ją w rękę, szepnął:

— Wybacz mi, Liso, że cię przestraszyłem, ale muszę z tobą porozmawiać.

Dziewczyna drżała na całym ciele, daremnie próbując się opanować. Ronald wziął ją szybko pod rękę i zaproponował:

— Chodź, przejdźmy się po plaży!

Towarzystwo na tarasie obserwowało tę scenę z zapartym tchem.

— Oj, dziwne to było powitanie, nie sądzicie państwo? Widzieliście, jak go przyjęła?

— Jakże się przestraszyła, kiedy stanął obok niej!

— Pewnie to tylko zaskoczenie. Może się go nie spodziewała.

— W każdym razie się znają.

Naundorf także obserwował spotkanie z uwagą. Teraz wpatrywał się w towarzysza Lisy, którego na tarasie nie zauważył. Gdy ten zwrócił ku niemu swą twarz, krzyknął nagle:

— Niech mnie diabli, przecież to Hechingen!

Oczywiście natychmiast ze wszystkich stron posypały się pytania, na które siostrzeniec odpowiadał. Całe to zajście było wodą na młyn cztero-listnej koniczyny.

Hechingen — żonaty mężczyzna, którego żona zaraz po ślubie podobno zaniemogła i nikt jej nie widział — pojawia się tu akurat pod nieobecność pani Rahnsdorf! Przerażenie Lisy na jego widok, przy jednoczesnym gorącym powitaniu z jego strony — tyle wystarczyło, żeby dorobić resztę historii. Lisa stała się więc obiektem bezlitosnych plotek.

— Musisz go zagadnąć, jak będą wracali! — przykazała pani generałowa swemu siostrzeńcowi!

— Tak, tak, trzeba go zapytać o samopoczucie żony. Przecież ta mała nawet nie przypuszcza, że ma do czynienia z żonatym człowiekiem.

— Tak, koniecznie trzeba ją ostrzec — poparła ten wniosek generałowa. Znowu pojawiła się nadzieja, że jeszcze nie wszystko stracone i że można będzie odzyskać Lisę dla siostrzeńca. Może nawet to spotkanie byłoby korzystne dla jej planów? W każdym razie nie można jeszcze pozwolić panie Limbach na upadek. Żonaty mężczyzna nie był właściwie groźnym przeciwnikiem dla młodego Naundorfa.

— Moi drodzy, nie powinniśmy zbyt szybko osądzać naszej panny Lisy. Jak dotychczas sprawowała się nienagannie.

— Cicha woda brzegi rwie—zauważyła panna Uechteritz złośliwie.

— To prawda, ale jak widzieliśmy, raczej nie skakała z radości na widok tego Hechingena. Coś mi się zdaje, że to jakaś podejrzana sprawa.

— I z panem Naundorfem nie chciała wypłynąć! Pewnie spodziewała się tych odwiedzin i nie życzyła sobie, żeby im ktoś przeszkadzał — dodała pani Rosen.

Lisa była bliska omdlenia. Szła wolno, wsparta na ramieniu Ronalda. Oboje milczeli. Kiedy znaleźli się już w sporej odległości od Villa Tenda, podeszli do jednej ze stojących na uboczu ławek. Z tarasu pensjonatu to miejsce było niewidoczne. Lisa usiadła z ulgą. Ronald stanął przed nią, wpatrując się w jej delikatną postać płomiennymi oczami. Jakże cudownie wyglądała! Serce waliło mu jak młotem.

— Liso!

Zadrzała.

— Liso, czy mój widok jest dla ciebie aż taki straszny? Myślałaś, że po takim liście już mnie nie ujrzysz? — zapytał retorycznie.

Nie patrzyła na niego. Zaciskała tylko bezwiednie dłonie. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że sam przyjedzie z odpowiedzią. I oto rzeczywiście stał przed nią. Straciła całą tę energię, którą wykorzystywała do obrony przed nim. Nie czuła nic poza przerażeniem, że znowu zacznie się udreka i że będzie musiała się poddać. Na próżno szukała w głowie jakiejś sensownej odpowiedzi. Gardło również odmówiło jej posłuszeństwa. Wtem straciła resztki panowania nad sobą i wybuchnęła płaczem. Ronald ujął delikatnie jej dłoń i zaczął namiętnie całować.

— Liso, moja kochana Liso, nie płacz. Gdybyś wiedziała, jak bardzo poruszył mnie twój list i z jakim przerażeniem tu do ciebie jechałem! Chcesz się ze mną definitywnie rozstać. Powiedz mi, dlaczego? Nie kochasz już mnie? Tylko to przekonałoby mnie do rozwodu, nic innego. Nie wierzę jednak, że pozbawiłaś mnie swej miłości. Liso, uwierz mi, że cię kocham i nie mogę bez ciebie żyć.

Jego słowa były jak gorący podmuch, który ją owiewał. Kręciło jej się w głowie. Próbowwała się opanować i wyprostowała rękę, żeby go odepchnąć.

— Odejdź! Zostaw mnie! Nie chcę... nie mogę tego słuchać!

Twarz Ronalda wyrażała bolesne napięcie.

— Nie, nie zostawię cię! Zatrzymam cię nawet wbrew twojej woli! Tym razem przeciagnę cię na swoją stronę i zostaniesz już ze mną na zawsze.

Lisa zerwała się z ławki jak oparzona. Zanim Ronald zorientował się, co się stało, była już na tyle daleko, że nie mógł jej gonić, nie wzbudzając przy tym ogólnej sensacji. Popatrzył za nią zaciskając usta i marszcząc czoło. Uspokoił się nieco, gdy zauważył, że zbliżając się do tarasu, zwolniła krok. Co powinien w tej sytuacji zrobić? Jak ma jej powiedzieć, co nosi w swym sercu, skoro ona przed nim ucieka? Jego serce wrywało się do niej. Nie mógł pojąć, jak to się stało, że był w jego życiu okres, kiedy była mu obojętna. Był niezadowolony, że pani Rahnsdorf nie ma tu z nimi. Jej cierpliwa mediacja z pewnością uspokoiłaby Lisę i skłoniła do wysłuchania go. Teraz było wątpliwe, czy zdoła jeszcze z Lisą w ogóle porozmawiać. Mogła się przecież zamknąć w swoim pokoju na czas jego pobytu tutaj. Ale w gruncie rzeczy jakie to miało znaczenie? I tak nie wyjedzie stąd bez niej. Jego oczy wyrażały mocne postanowienie walki do ostatecznego zwycięstwa. W razie konieczności zaczeka na powrót hrabiny. Zachowanie Lisy dawało mu w pewnym sensie powody do zadowolenia: niewątpliwie kochała go. W przeciwnym razie nie byłaby taka zdenerwowana i przeprowadziłaby z nim spokojną rozmowę.

Lisa typczasem zaczęła wspinać się po schodach na taras. Nadęci członkowie klubu czterolistnej koniczyny znacząco tręcali się łokciami.

— Patrzcie, jak blado wygląda!

— A jaka jest podniecona?!

— Gdzie to ona była?

Płakała. Widać wyraźnie.

Lisa zbliżyła się do nich wolnym krokiem. Była tak zajęta swoimi myślami, że ich nie zauważyła.

— Pan Hechingen jest chyba pani znajomym, prawda, panno Limbach?

— zawołała do niej generałowa.

Lisa przystanąła i nieobecny wzrokiem powiodła po towarzystwie okupującym ciągle ten stolik.

— Tak... to znaczy... Ach, proszę mi wybaczyć, nie czuję się teraz naj-

lepiej.

Pospiesznie ominęła klub ciekawskich i zniknęła w budynku pensjonatu. Przy stoliku wymieniono drwiące spojrzenia.

— Dziwne, naprawdę dziwne. Co o tym sądzić? — zapytała ogólnie pani Rosen.

— Czuję się tak, jakbyśmy znajdowali się w środku bardzo zajmującego romansu. Nie mogę się wprost doczekać ostatniego rozdziału.

— Mon dieu, co to za zwyczaje?! — westchnęła generałowa, oglądając z satysfakcją swoje cudowne dłonie.

— Trzeba jej pokazać, że uważamy jej zachowanie za niestosowne, a nawet pachnące skandalem — rozochociła się panna Uechteritz, spoglądając na radcę Strassena w nadziei, że podchwyci jej pomysł.

Nagle rozległ się rubaszny śmiech Naundorfa.

— Jestem ciekaw, jak Hechingen wywinie się z tej afery. Zawsze miał się za wzór wszelkich cnót.

— Chyba nie będzie specjalnie zachwycony spotkaniem tu jednego ze swych starych znajomych. Gdzie on właściwie mieszka, ten Hechingen? — dopytywał się Strassen.

— U ciotki, po której ma dziedziczyć jego żona. Nie mam pojęcia, jak nazywa się jej posiadłość i gdzie leży. Ktoś mi to kiedyś mówił, ale już dawno zapomniałem. W każdym razie lubi zrobić sobie od czasu do czasu mały skok w bok, żeby się tam nie zanudzić. W końcu stać go na to. Żona miała porządny posąg — bawił towarzystwo Naundorf.

Czterolistna koniczyna siedziała teraz murem przy swym stoliku w oczekiwaniu na powrót Ronalda, żeby pytaniem o samopoczucie małżonki wprowadzić go w zakłopotanie.

Czekali jednak na próżno. Ronald wrócił do pensjonatu inną drogą, wszedł bocznymi drzwiami i siedział już wygodnie w swoim apartamencie. Zapytał po drodze na portierni, czy panna Limbach jest w swoim pokoju, na co usłyszał, że wróciła już z przejażdżki po zatoce i że wyglądała na zmęczoną. Posłał więc Lisie bilecik przez służącą. Prosił ją w nim o to, by się uspokoiła i dała mu znać, kiedy będzie chciała z nim rozmawiać. Ta sama pokojówka przyniosła mu odpowiedź:

Proszę cię usilnie, wyjedź i uwolnij mnie!

„Nie, nie ruszę się stąd!” — postanowił. Dopiero teraz przypomniał sobie o pożarze w Rahnsdorf. Nie myślał o tym jednak zbyt długo. Nie było nic ważniejszego od Lisy.

Dał służącej spory napiwek, polecając, żeby go powiadomiła natychmiast, gdy panna Limbach opuści swój pokój. Daremnie czekał jednak na tę wiadomość. Lisa nie zeszła nawet na kolację, usprawiedliwiając się migreną. Ronald pozostał więc także w swoim pokoju, tym bardziej że nie był w nastroju do zawierania nowych znajomości.

Nie przypuszczał nawet, że w ten sposób psuje zabawę kilku osobom. Czterolistna koniczyna i pan siostrzeniec Naundorf nie mieli niestety możliwości zabawienia się jego kosztem. Rozczarowani wybrali się całą piątką na długi spacer, żeby nieco odetchnąć, w ich piersiach bowiem nagromadziło się zbyt wiele sarkazmu, który nie mógł znaleźć ujścia. Irytacja zagłuszyła w ich małostkowych duszach resztki ludzkich uczuć.

Lisa leżała półprzytomna na kanapie w swoim pokoju, wpatrując się w ścianę. Czuła się strasznie źle. Dlaczego przyjechał? Dlaczego tak bardzo utrudniał jej zerwanie tego związku? Jak słaba i bezbronna była wobec jego próśb, o tym przekonała się już wcześniej. Czy przez słabość i wbrew swej woli ma zrezygnować z oporu i wysłuchać go? Cóż to by było za małżeństwo, które opierałoby się na nieufności? Wiedziała, że jeżeli mu ulegnie, ciągła podejrzliwość zamieni ich małżeństwo w piekło. Dlaczego nie chciał tego zrozumieć? Dlaczego chciał ją zatrzymać wbrew jej woli? „Nie, nie powinnam się z nim więcej widzieć. Może już stąd wyjechał? Ach, że też nie ma tu cioci Anny! Ona na pewno by mi pomogła. Powinnam była jej powiedzieć o tym liście do Ronalda. Może to był błąd? Ciocia Anna pośredniczyłaby w rozmowach z nim i skłoniłaby go do rozwodu. Ale i ona nie przypuszczałaby pewnie, że Roland w odpowiedzi wybierze się w tak długą podróż. Co go do tego skłoniło?” Zakryła twarz rękoma i westchnęła.

Leżała tak do wieczora, by wreszcie dosyć późno położyć się, rozbita i umęczona, do łóżka. Tej nocy nie zaznała jednak wiele spokoju. Następne-

go ranka obudziła się niewyspana i rozstrojona psychicznie. Bolała ją głowa, na co najlepszym lekarstwem byłoby świeże powietrze. Nie odważyła się jednak wyjść z pokoju w obawie przed kolejnym spotkaniem Ronalda. Poleciała przynieść sobie kawę na górę. Pokojówka zapytała o jej samopoczucie. Lisa oświadczyła, że nie czuje się dobrze i zostaje dzisiaj w swoim apartamencie. Służąca licząc na kolejny napiwek pobiegła z tą wiadomością natychmiast do Ronalda.

Ronald deliberował przez chwilę. W końcu postanowił, że zrobi sobie tego ranka długi, samotny spacer. I on spał tej nocy wyjątkowo źle, więc zamierzał odzyskać nieco sił na świeżym powietrzu, korzystając z orzeźwiających powiewów morskiego wiatru. Powiedział, że nie wróci przed obiadem i życzył sobie, by podano mu go potem do pokoju. Chodziło mu przede wszystkim o to, by nie spotkać ciekawskich pensjonariuszy. Zachowanie Lisy stworzyło delikatną sytuację i musiał bardzo uważać, żeby nie popsuć jej opinii. Trzeba więc było zachować najwyższą ostrożność, przynajmniej do powrotu hrabiny Rahnsdorf.

O tym, że Lisa nie była jego żoną, nikt tu nie wiedział i tak powinno pozostać. Dopóki nie mógł z nią spokojnie porozmawiać, brakowało mu pewności w działaniu. Postanowił, że da jej czas do południa, a potem prześle jej bilecik z wiadomością, że nie zamierza opuścić Villa Tenda, dopóki się z nią spokojnie nie rozmówi, a w razie potrzeby będzie czekał na powrót jej ciotki. Powinna mu przynajmniej odpisać, jak ma się zachowywać w stosunku do innych gości pensjonatu. Z tą myślą Ronald wyszedł z budynku, nie spotykając na szczęście nikogo na swej drodze.

XXII

Kiedy zjawiła się pokojówka z kawą, Lisa zapytała jakby od niechcienia:

— Pan Hechingen chyba właśnie wyjechał?

— Nie, łaskawa panienko. Myślę jednak, że wybrał się do Nicei. W każdym razie nie wróci na obiad. Sam mi to powiedział przed wyjściem.

Lisa odetchnęła. Przynajmniej do południa nie będzie jej napastował.

Postanowiła natychmiast wyjść na świeże powietrze. Chyba najlepiej będzie, jak trochę popływa łodzią. Na wodzie szybko pozbędzie się bólu głowy i nie będzie musiała z nikim rozmawiać. Ubrała się pośpiesznie i zeszła na dół. Stolik złośliwców był już tradycyjnie zajęty. By dostać się do przystani nie narażając się na dokuczliwe zaczepki, musiała skorzystać z bocznych schodów. Nie byłaby dzisiaj w stanie odpowiadać na te wszystkie wścibskie pytania. Ponieważ uchodziła tutaj za pannę Limbach, niechybnie zapędzono by ją podczas takiego wywiadu w kozi róg.

Pani Rahnsdorf przysłała jej dość obszerny telegram. W majątku spaliły się doszczętnie stodoły i część stajni. Zwierzęta udało się szczęśliwie uratować, oprócz gołębi, które pofrunęły prosto w płomień. Straty są znaczne, ale zostały pokryte przez ubezpieczenie. Hrabina nie wiedziała jeszcze, jak długo będzie musiała zostać w Rahnsdorf. Obiecała napisać wkrótce szczegółowy list.

Idącą plażą Lisę obserwowała czterolistna koniczyna. Jej zejście bocznymi schodami poczytywano jako przejaw nieczystego sumienia. Już jej nie oszczędzano.

Kiedy dotarła do przystani, poleciała odwiązać łódź, na której zazwyczaj pływała. Strażnik zwrócił jej uwagę na zbierające się nad horyzontem chmury i zalecił, żeby nie oddalała się zbyt daleko od brzegu. Lisa była jednak zajęta swoimi myślami i nie dotarły do niej te słowa. Umocowała wiosła w dulkach i wystarczyło kilka energicznych ruchów, żeby zostawić brzeg daleko za plecami. Pochłonięta dręczącymi ją myślami, wiosłowała zapamiętale, nie bacząc na oddalającą się szybko linię brzegową. Wreszcie opadła niemal całkowicie z sił. Ocknęła się. Nie wiedziała, jak długo płynęła. Odłożyła wiosła, otuliła się grubym, ciepłym pledem i ułożyła wygodnie, zamykając oczy. Chłodny morski wiatr działał na nią kojąco. Ponownie pograżyła się w myślach, tracąc kontakt z rzeczywistością.

Minęły dobre dwie godziny od jej wypłynięcia z przystani, kiedy wresz-

cie otrzeźwiło ją silne kołysanie łodzi. Rozejrzała się dokoła i zmartwiała — niebo było zasnuwane chmurami, za którymi zniknęło gdzieś słońce. Plaża wydawała się szara i ponura. I taka odległa! Zerwał się ostry wiatr i zaczął wynosić fale coraz wyżej i wyżej. Łódź to zapadała się w głębiny, to wędrowała wysoko ponad lustro wody. W pierwszej chwili nie pomyślała o grożącym jej niebezpieczeństwie, chociaż wystraszyła ją nieco odległość od brzegu. Tak daleko w morzu jeszcze nigdy nie była. Zrzuciła z ramion pled, umocowała wiosła i zaczęła płynąć. Plaża jednak wcale się nie przybliżała. Szybko też opadła z sił. Starła się rozpaczliwie podjąć walkę z rosnącymi falami, ale jej trud był daremny. Zorientowała się, że nie zdoła wrócić. Dopiero teraz zdała sobie w pełni sprawę z niebezpieczeństwa. Serce zaczęło jej łomotać w piersi. A więc tutaj miała znaleźć przedwczesną śmierć?

Rozejrzała się uważnie dokoła, ale nigdzie w zasięgu wzroku nie dostrzegła innej łodzi. Z brzegu była praktycznie niedostrzegalna. Może nawet nie wiadomo w pensjonacie, że jeszcze była na morzu. Strażnik był przed południem często zajęty pracami wewnątrz budynku. Kiedy zwolniono go z tych zajęć, pomyślał pewnie, że już wróciła. Mogły minąć godziny, zanim zauważy brak jednej łodzi. W końcu ostrzegał ją, że nad horyzontem zbierają się chmury. Nie zwróciła uwagi na to ostrzeżenie i teraz była zdana na łaskę fal.

Wiosłowała co sił. Wreszcie dała za wygraną. Wypuściła z rąk wiosła i otuliła się pledem. Ze strachem w oczach wypatrywała pomocy. Bała się śmierci, chociaż jeszcze w nocy chętnie by ją przyjęła, byle tylko uwolnić się od sercowej udreki. Była jeszcze zbyt młoda, by umierać. W takim wieku śmierć jest czymś abstrakcyjnym, czymś, co dotyczy wyłącznie innych, zazwyczaj starszych osób. Drżąc na całym ciele, zamknęła oczy, żeby nie oglądać szalejących bałwanów o białych obliczach, z pożądaniem wyciągającym ku niej swoje macki, by wcisnąć ją na wieki w morską kimpel.

Po pewnym czasie Lisa ponownie otworzyła oczy i spróbowała poruszyć wiosłami. Jej ramiona jednak były sparaliżowane bólem i nie była w stanie wiosłować. Siedziała więc nieruchomo, myśląc o Ronaldzie i o ciotce Annie. Co czuliby, gdyby nie wróciła już z tej przejażdżki? W jej sercu rozgorzała tęsknota za mężczyzną jej życia. Choć raz chciała go jeszcze zobaczyć, raz jeszcze usłyszeć te słowa: „Kocham cię, Liso!” Móc to usłyszeć i choć na minutę uwierzyć! Mogłaby to być wówczas jej ostatnia minuta. Ale nigdy go już nie zobaczy, przecież uciekła przed nim, żeby nie słuchać tego kuszącego, dręczącego ją „Kocham cię, Liso!” Więcej tego nie usłyszy, nigdy więcej, nigdy...

„Ronaldzie!”

Krzyknęła jego imię, lecz bezlitosne fale i okrutny wiatr zagłuszyły jej wołanie, pełne przerażenia i tęsknoty. Lisa czuła, że ze strachu zacznie niedługo odchodzić od zmysłów. Jej szeroko otwarte oczy lustrowały czujnie każdy metr zatoki, którą знаła dotąd tylko z tej przyjemnej strony. Pomyślała, jak łatwo byłoby znaleźć śmierć w morzu. Wystarczyło tylko zsunąć się z łodzi i poddać ruchom fal, by powoli zacząć opadać na dno, jak dziecko zasypiające w matczyńskich ramionach. Dlaczego obawiała się tej myśli? Czy z powodu szalejących i przelewających się nad nią mas wody, w których czaiły się demony pragnące dostać ją w swoje szpony? Z rozpaczą rozglądała się dokoła. Powoli zaczynała tracić przytomność.

XXIII

Ronald wracał ze spaceru znacznie wcześniej niż zamierzał. Głównym powodem był silny wiatr. Poza tym dręczyła go ciągle myśl o Lisie. Postanowił więc jak najszybciej do niej napisać. Kiedy zbliżał się do pensjonatu, zauważył na plaży spore zbiegowisko. Prawie wszyscy mieszkańcy Villa Tenda zebrali się na przystani i pokazywali coś rękoma, przekrzykując się wzajemnie. Poczuł ulgę na myśl, że dzięki temu będzie mógł niepostrzeżenie dostać się do swego pokoju. Cóż mogła go obchodzić ta wrzawa obcych mu ludzi.

Gdy znalazł się już na schodach wiodących na taras, podbiegła do niego pokojówka, przez którą kontaktował się z Lisą.

— Ach, słyszał pan tę straszną nowinę? Łaskawa panienka jest ciągle na morzu w czasie takiego gwałtownego sztormu! A strażnik ostrzegał ją. Jest tam od ponad trzech godzin i już nie widać jej łódki wykrzyczała jednym tchem.

— O kim pani mówi? — zapytał z niepokojem Ronald.

— O panie Limbach.

Dziewczyna mówiła jeszcze coś do niego, ale on już tego nie słyszał. Co sił w nogach popędził na plażę. Po chwili przeciskał się przez tłum gapiów, słuchających po raz nie wiadomo który opowieści strażnika, jak to ostrzegał panienkę, potem poszedł na dwie godziny pomóc w kuchni, a kiedy wrócił, ciągle brakowało jednej łodzi.

Paru mężczyzn próbowało wypatrzeć łodzi przez lornetkę i jeden z nich twierdził, że nadal ją widać.

Ronald chwycił stróża za ramię, wrzeszcząc:

— Szybko, łódź dla mnie! Wypływam!

Wszyscy stłoczyli się wokół niego, odradzając mu tę desperacką próbę ratowania dziewczyny. Strażnik zapewniał go, że gdyby nie tak fatalny stan morza, już dawno sam pospieszyłby jej na ratunek. Ronald odepchnął go

od siebie.

— Pospiesz się, człowieku, nie ma czasu!

— Tu chodzi o pańskie życie! — odpowiedział mężczyzna, ale czym prędzej odwiązał łódź i podał wiosła.

Ronald chwycił je, wskakując do łódki. Mężczyzna, który przez lornetkę obserwował zmagania Lisy, pokazał mu kierunek, w którym powinien popłynąć. Kiedy oddalał się od brzegu, wszyscy krzyczeli do niego, chcąc dodać mu otuchy, jednak nikt nie odważył się z nim popłynąć.

Również czterolistna koniczyna, z jaśnie wielmożnym panem Naundorfem na czele, próbowała precyzyjnie się do Ronalda. Tym razem nie po to, by zamięczać go głupimi pytaniami. Kiedy Naundorf zorientował się, że Hechingen zamierza wypłynąć Lisie na ratunek, skrył się jak najszybciej za innymi gapiami w obawie, że mógłby zostać poproszony o pomoc. Nie miał najmniejszej ochoty nastawiać swego drogiego karku. Ryzykować swoje życie w obliczu takiego żywiołu?! I to dla kogo? Dla dziewczyny, która w tak obcesowy sposób odrzuciła jego zaloty? To byłoby głupie! Hechingen przynajmniej wiedział, dlaczego ryzykuje.

Ronald był głuchy na coraz cichsze nawoływania tłumu. Wpatrywał się w horyzont, próbując dostrzec łódź Lisy. Wiosłowanie przy tak wzburzonym morzu nie było łatwe. Posuwał się wolno, mozolnie jednak parł do przodu. Po około stu metrach, kiedy jego łódź wydostała się wreszcie ze strefy rozpędzonych fal gnających ku brzegowi, opór wody wyraźnie zelżał. Twarze ludzi zebranych na plaży zamazały się już dawno, a ich głosy ucichły zupełnie. Napierał na wiosła z całych sił, żeby jak najszybciej znaleźć się przy Lisie. Była to w tej chwili jego jedyna myśl. Od czasu do czasu robił przerwy, żeby nieco odpocząć i dokładniej przyjrzeć się ogarniającym go połaciom wody. Może jest już tu gdzieś blisko? Zaraz jednak ze zdwojoną energią chwycił za wiosła. Pot zalewał mu czoło, gdy jego łódź miarowo przeciskała się między wrogimi falami. Był cały przemoczony. Nic go to jednak nie obchodziło. Trzeba ratować Lisę!

Dalej i dalej. Żyłki wystąpiły mu na czoło, a oczy bolały od ciągłego wpatrywania się w morską toń. I wreszcie — zobaczył! Łódź, jest łódź. Wprawdzie jeszcze dość daleko, ale to musi być jej łódź. Z jego gardła wy-

dobył się ochrypły krzyk:

— Liso!

Nie mogła go oczywiście słyszeć. Sztorm zagłuszał wszystko. Wiosłował teraz jednak z nadzieją, że zdąży na czas. To nieprawdopodobne, czym stała się dla niego ta dziewczyna. Jej szczęście powiązane było z jego szczęściem, jej nieszczęście było jego nieszczęściem.

Jej łódź była coraz bliżej i bliżej. Jeszcze nie dostrzegał Lisy. Musiała leżeć na dnie i trzymać się siedzenia, by przy takim kołysaniu nie wypaść za burtę. Nie wiedział, ile czasu minęło do momentu, kiedy mógł wreszcie rozpoznać jej skuloną postać. Nie była już w stanie utrzymać wiosła.

— Wytrzymaj jeszcze trochę, najdroższa! — modlił się w duchu. Po chwili odwrócił się w kierunku jej łodzi i krzyknął z całych sił:

— Liso!

Obserwował jak powoli się wyprostowuje i wypatruje go nieprzytomnym wzrokiem.

— Liso! — wrzasnął ponownie ile sił w płucach.

Wtedy dostrzegła jego łódź i jakiś czas przyglądała się wołającemu do niej mężczyźnie, by wreszcie rozpoznać w nim Ronalda. Wyciągnęła do niego rękę, jakby chciała, żeby ją objął.

— Liso! — krzyknął znowu, tym razem radośnie.

Jego głos miał moc wypędzania strachu i przywracania nadziei. Lisa chwyciła więc z nową energią wiosła, próbując zbliżyć się do niego. Odległość między nimi topniała w oczach. Już po chwili byli w stanie rozpoznać łzy na swych twarzach.

— Jestem, najdroższa. Wciągnij wiosła.

Lisa postąpiła według wskazówek Ronalda. Przed nimi był niezwykle trudny w tych warunkach manewr takiego ustawienia łodzi, żeby można było przeskoczyć z jednej do drugiej. Trzeba było manewrować bardzo ostrożnie, żeby nie doszło do ich zderzenia i wywrócenia.

— Nie ruszaj się, Liso! Trzymaj się mocno!

Nie ruszała się. Wpatrywała się tylko w niego oniemiała, nie wierząc chyba w to, co wodzi. Czy to możliwe? Czy to naprawdę on? Czy to jej tęsknota przywiodła go tutaj? A więc przybył jej na ratunek w środku burzy,

nie bacząc na wszelkie niebezpieczeństwa?

Już kilkakrotnie łodzie zbliżyły się na tyle, że Ronald chciał skakać, ale za każdym razem fale szybko odpychały je od siebie. Po chwili wiatr znowu przysunął łodzie ku sobie. Teraz Ronald postanowił zaryzykować. Skoczył — i szczęśliwie wylądował obok Lisy. Zachwiał się jednak, bowiem łódka przechyliła się pod jego ciężarem i gdyby nie ramiona Lisy, które się wokół niego zamknęły, wylądowałby niechybnie w wodzie. Oboje opadli na dno, łódki nie wypuszczając się wzajemnie z objęć.

Patrzyli sobie długo w oczy. Wreszcie Ronald przechylił jej głowę i zasypał pocałunkami.

— Czy teraz mi wierzysz, że kocham cię tak mocno, jak tylko mężczyzna może kochać kobietę? — wydyszał ochryple.

Lisa drżała z emocji.

— Ronaldzie!

W tym okrzyku kryło się tyle czułości, że Ronald natychmiast zrozumiał, że jej serce należało ciągle do niego. Nie bacząc na czyhające wokół niebezpieczeństwo trzymali się w ramionach, wymieniając gorące pocałunki. Zapomnieli o to strach.

— Nie musiałaś uciekać przede mną aż tutaj, Liso — zganił ją czule Ronald.

— Uciekałam przed samą sobą, Ronaldzie.

— Czy nadal masz wątpliwości? — dopytywał się szeptem.

— Nie, mogę teraz na wieki spocząć w twych ramionach, miły odpowiedziała Lisa, tuląc się do niego.

Jej ostatnie słowa przypomniały mu o powadze sytuacji, w jakiej się znaleźli. Delikatnie otulił dziewczynę pledem.

— Trzymaj się mocno steru, moja mała. Nie jest ci zimno? Nie możesz mi się znowu rozchorować.

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

— Jest mi ciepło, tak ciepło!

Lisa posłusznie uchwyciła się steru, podczas gry Ronald zabierał się do wiosłowania. Łódź, którą tu przyplłynął, była już daleko. Fale poniosły ją na pełne morze. Jeszcze raz zerknął na dziewczynę.

— Czy naprawdę wszystkie obawy co do mnie już cię opuściły, Liso? Nie zmienisz zdania, kiedy tylko znajdziemy się na łodzi? Uwierzyłaś wreszcie w moją miłość?

Patrzyła na niego wielkimi, błyszczącymi oczami.

— Wierzę ci i nie zwątpię w twoją miłość.

— Moja kochana, moja słodka żono! Nie mogę wprost uwierzyć, jak bardzo cię kocham. Musimy się stąd wydostać, żeby móc się sobą jeszcze nacieszyć.

To ostatnie zdanie Ronald wypowiedział, z wielką powagą. Lisa westchnęła.

— Starczy ci sił, żeby wrócić na brzeg, Ronaldzie? — zapytała z obawą.

— Mów do mnie czule. To doda mi sił.

— Mój kochany mężu!

Mimo że przy takim wietrze nie mógł dosłyszeć wypowiedzianych cicho słów, domyślał się, co do niego mówiła. Napał na wiosła z taką siłą, że aż się wygięły. Miarowo zaczął płynąć do brzegu. Wysilek odbierał mu dech i nie mógł już mówić do Lisy, lecz porozumiewał się z nią oczami. Walczył zaciekle z falami o życie swoje i swojej ukochanej. Wiedział, że tylko od niego zależy teraz ich los. Lisa modliła się żarliwie, żeby Ronaldowi wystarczyło sił. Była zła na siebie, że ściągnęła na nich takie niebezpieczeństwo. Jak mogła być tak uparta?! Dlaczego mu nie wierzyła?!

— Boże, wspomóż nas! — szeptała.

Ronald zauważył, jak bardzo zbladła. Domyślał się z ruchu jej warg, że modli się za nich. Uśmiechnął się do niej.

— Pomoże nam, bądź spokojna, Liso! Mam wystarczająco dużo sił, żeby nam się udało — powiedział, ale słowa z trudem wydobywały się z jego piersi, więc nie mogła go zrozumieć.

Kilka razy przerywał wiosłowanie, żeby chociaż przez chwilę odpocząć. Był wyczerpany. Lisa patrzyła na niego przerażona. Bała się, że za chwilę straci nadzieję.

— Nie martw się, Liso! Właśnie czynię pokutę za te wszystkie cierpienia, jakich ci przysporzyłem.

— A ja?! — zawołała. — Czyż to nie ja jestem winna temu, że ciągle je-

steśmy o krok od śmierci? Jakże ja mam odkupić swoją winę, Ronaldzie?

— Powiem ci, jak będziemy bezpieczni. Wtedy ją odpokutujesz — krzyknął do niej chrapliwie.

Kontynuował swoje nieme zmagania z żywiołem. Czuł, że zaczyna brakować mu sił. Zacisnął jednak zęby, starając się wydobyć z siebie nowy ich zapas. Bardzo chciał wrócić i spędzić resztę życia u boku Lisy. Teraz, kiedy spełniło się jego największe marzenie, miały tak marnie skończyć?!

I dopiął swego! Uratował ich! Już słyszeli gromkie okrzyki z brzegu. Kilka osób wskoczyło do wody, żeby przytrzymać łódź, którą fale zaczynały znosić w bok. Mogli odetchnąć. Ronald czuł, że gdyby brzeg znajdował się kilkadziesiąt metrów dalej, nigdy by do niego nie dopłynęli.

— Jesteśmy ocaleni, najdroższa — wyszeptał dysząc ciężko.

Lisa pochyliła się nad nim i pocałowała go w ręce, które krwawiły od dłuższego już czasu.

— Twoje biedne ręce!

Potrząsnął przecząco głową, jakby chciał powiedzieć, że to nieważne. Z trudem łapał oddech.

Dotarli do brzegu. Powitały ich owacje i radośnie wyciągnięte dłonie.

— Uratowani!

Ronald wziął Lisę na ręce i wysadził z łodzi.

— Jesteś szczęśliwa, najdroższa? — szepnął jej do ucha.

— Niewiarygodnie szczęśliwa, mój kochany — odpowiedziała także szeptem.

Wokół nich tłoczyli się pensjonariusze.

— Jesteśmy przemoczeni i wyczerpani, mili państwo — oświadczył Ronald. — Proszę nas przepuścić. Później będziemy do waszej dyspozycji.

Ujął Lisę pod rękę i zaprowadził wolno do budynku. Kiedy już znaleźli się sami, powiedział do niej czule:

— A teraz będziesz grzeczna i położysz się na kilka godzin do łóżka. Musisz wypocząć, inaczej się rozchorujesz.

— Nie, nie. Przebiorę się tylko. Czuję się wspaniale. Jestem zmęczona, ale szczęśliwa jak nigdy dotąd. Nie zostawiaj mnie teraz samej, Ronaldzie. Przytulił ją do swej piersi.

— Przyjdę do ciebie, jak tylko się przebiorę i coś zjem. Człowiek szczęśliwy nabiera apetytu, nie sądzisz? Czy mogę potem przyjść? Powinnaś jednak mimo wszystko kilka godzin odpocząć. Posiedzę sobie u ciebie po cichu.

Popatrzyła na niego rozbawiona.

— Co ludzie powiedzą na to, że pan Hechingen odwiedza pannę Limbach w jej pokoju?

Ronald roześmiał się szczerze.

— Ci mili ludzie i tak będą łamać sobie teraz głowy z naszego powodu co najmniej przez tydzień. Widziałem niejedną parę oczu, patrzącą na nas w taki sposób, jakbyśmy popełnili jakieś przestępstwo. Ale cóż to nas może teraz obchodzić, najdroższa? Należymy do siebie nikt nie ma prawa nas rozdzielić. Poza tym jeszcze dzisiaj wieczorem zaspokoimy ich ciekawość i położymy kres tym żalonym plotkom, przedstawiając się jako małżeństwo Hechingen.

Ronald zawołał pokojówkę i polecił jej, żeby pomogła Lisie się przebrać, a następnie przyniosła jej gorącej herbaty. Potem pocałował swą dopiero co odzyskaną żonę, nie bacząc na zgorszona minę służącej.

— Za godzinę do ciebie przyjdę — powiedział cicho.

XXIV

Goście pensjonatu Villa Tenda przyszli na obiad znacznie później niż zwykle. Przy stole dominował jeden temat: brawurowa akcja ratownicza podjęta przez Hechingena. Prym w komentowaniu tego zdarzenia wiodła oczywiście generałowa. Donośnym głosem wyjaśniała wszystkim, którzy chcieli jej posłuchać, że bohaterski ratownik jest człowiekiem żonatym, ale jak widać interesuje się także pannami.

— Jestem ciekawa, co by na to powiedziała jego młoda małżonka? zawołała przeraźliwie.

Panna Uechteritz miała w rękawie asa, którego właśnie wyciągnęła.

— Pan Hechingen pocałował pannę Limbach w usta i to w obecności pokojówki. Dacie państwo wiarę? — oświadczyła, robiąc najbardziej zgorzaloną minę, na jaką było ją stać.

Radca handlowy Jagemann zaśmiał się dobrodusznie.

— I cóż w tym złego? Porządnie się napracował na ten jeden pocałunek.

Czterolistna koniczyna skarciła go wzrokiem. Kilka innych osób zdążyło się już jednak zarazić dobrym nastrojem pana radcy.

— Pocałunku wdzięczności nie można nikomu zakazać — stwierdziła pewna starsza dama. — Właśnie obecność pokojówki świadczy dobitnie o niewinności tego czynu.

— Brawo, łaskawa pani, proszę przyjąć wyrazy najszczerzego uznania! — poparł ją spokojny mężczyzna, który tylko z rzadka zabierał głos w tego typu debatach.

Jednakże najgłośniejsze przy stole były osoby zajadle krytykujące Lisę i jej wybawcę. Co chwila wybuchały świętym oburzeniem, nie przyjmując do wiadomości głosów rozsądku, które próbowały przebić się przez ogólną wrzawę.

Niespodziewanie w sali pojawił się wymieniany co chwila Hechingen. Rozmowy umilkły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ronald po-

wiódł wzrokiem po twarzach obecnych gości. Jedni byli zakłopotani, inni uśmiechnięci. Poznał od razu, że jeszcze przed chwilą plotkowano tu na temat Lisy, nie szczędząc jej przypuszczalnie przykrych słów. Na jego ustach pojawił się lekki uśmieszek. Spokojnie podszedł do stołu. Kelner wskazał mu jego miejsce. Teraz już nie miał nic przeciwko nawiązywaniu nowych znajomości. Już dawno nie był w tak doskonałym nastroju. Skłonił się, podając siedzącym swoje nazwisko. Kiedy wreszcie usiadł, ku swemu zdziwieniu zobaczył przed sobą znajome oblicze.

— Witam pana Hechingena! — powiedział Naundorf donośnym głosem, a Ronald dostrzegł na jego twarzy drwinę.

— Miło mi pana widzieć — odpowiedział z uśmiechem, nie okazując ani śladu zmieszania.

— Dokonał pan doprawdy bohaterskiego czynu — zaskrzeczał znowu Naundorf. Rozmowy wokół nich ucichły zupełnie. Ronald wzruszył nonszalancko ramionami.

— Nie ma o czym mówić.

— Jest pan tu zapewne ze swoją żoną, chyba się nie mylę? — zapytał sardonicznie Naundorf.

Ronald bawił się wyśmienicie. Postanowił jeszcze bardziej rozbudzić ciekawość obecnych.

— Nie myli się pan — odparł więc. — Jestem tu z moją żoną.

Większość słuchaczy wstrzymała oddech, a Naundorf zrobił zdumioną minę — takiej odpowiedzi się nie spodziewał.

— Pańska małżonka tu jest? — wyjąkał.

Widząc wyraz jego twarzy, Ronald nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Oczywiście, właśnie to panu powiedziałem.

— No tak, ale... Czy mógłbym prosić o przedstawienie mnie pańskiej żonie?

— Moja żona nie czuje się najlepiej i zje obiad w swoim pokoju. Jednakże przy kolacji będzie pan miał możliwość poznać ją osobiście.

Ciągle speszony Naundorf pokłonił się lekko Ronaldowi i przedstawił go swojej ciotce. Przy stole było nadal cicho. Kilka osób, siedzących niedale-

ko Ronalda, pogratulowało mu wspaniałego wyczynu. Podziękował uprzejmie, ale poprosił, żeby nie wprawiano go w zakłopotanie i już o tym nie wspominało. Wszyscy byli ciągle podekscytowani zarówno jego akcją ratunkową, jak i jego tajemniczą małżonką. Między sobą roztrząsano więc te dwa tematy do samej kolacji.

Naundorf pomyślał, że w takim razie panna Limbach wciąż jest wolna i że jeszcze nie wszystko stracone. Przy odrobinie szczęścia mógłby zapewne zdobyć jej względy. Po południu jednak nadzieja Naundorfa zaczęła słabnąć. Najpierw czterolistna koniczyna upewniła się po rozmowie z rodzeństwem Tenda i ich służbą, że Ronald przybył tu sam, a potem panna Uechteritz wywęszyła, iż odwiedził on pannę Limbach w jej apartamencie. Tak więc dziewczyna przyjechała do pensjonatu najpewniej po to, żeby spotkać się potajemnie z Hechin- genem.

Lisa ubrała się tak szybko, jak to możliwe. Z radosnym wyrazem twarzy przyglądała się chyba najładniejszej ze swoich sukienek. „Ciocia Anna miała jak zawsze rację — w białym jest mi rzeczywiście do twarzy. A może to szczęście działa na ludzi upiększająco?” — pomyślała wpatrując się w lustro. Poprawiła włosy, wypila gorącą herbatę, którą zgodnie z poleceniem Ronalda przyniosła jej pokojówka i zabrała się do jedzenia. Kiedy skończyła, wyciągnęła się na szezlongu i oddała marzeniom.

Wkrótce nadszedł Ronald. Stał w drzwiach i przez chwilę jej się przyglądał. Nie poruszyła się, odwzajemniła jedynie jego pełne miłości spojrzenie.

— Czyż to nie moja piękna żona? — powiedział cicho.

Lisa podniosła się szybko i padła mu w ramiona.

— Mój dzielny rycerzu!

— Jakaś ty piękna!

— Więc nie jestem aż taka brzydka?

Ronald spowaźniał.

— Czyżbyś nadal we mnie wątpiła?

— Ależ nie, głuptasie! Oddałabym jednak wszystko, co mam, by być naprawdę piękną.

— A kogo ty chcesz uwieść, łobuziaku?

— Ciebie.

— Mnie już uwiodłaś. Dla mnie jesteś najpiękniejszą kobietą pod słońcem, Liso. Czy to ci nie wystarczy?

— Tak, wystarczy — skinęła radośnie głową.

Usiedli na kanapie.

— Wiesz, że w tym budynku odbywa się sąd nad nami? — rzekł Ronald spokojnie.

— Czego ci ludzie od nas chcą? — zirytowała się Lisa.

Roześmiał się i pocałował ją w rozpalony policzek.

— Musimy ich chyba poprosić o pozwolenie, czy możemy być szczęśliwi. Teraz jednak powinnaś trochę wypocząć. Ja nadam telegram do ciotki Rahnsdorf. Ona pierwsza powinna się dowiedzieć, że się pogodziłiśmy. Połóż się więc wygodnie na kanapie, a ja okryję cię ciepłym kocem. Masz lodowate ręce.

— Naprawdę muszę? A co, jeśli się nie położę? — zapytała z szelmowskim uśmieszkiem.

Takiej Lisy Ronald dotąd nie znał. W swoim uporze była czarująca. Ujął ją za ramiona.

— W takim razie spróbuję inaczej. Jesteś w mojej władzy i nakazuję ci pełne posłuszeństwo.

Wstał i przyniósł koc. Lisa posłusznie się położyła i przykryła pod samą szyję.

— Grzeczna dziewczynka! A teraz czas na telegram do Rahnsdorf oświadczył, siadając tuż obok niej i wyjmując notes.

Lisa przyglądała mu się z uśmiechem. Była taka szczęśliwa. Westchnęła.

Ronald zerknął na nią marszcząc brew.

— Każde westchnienie będzie karane — powiedział i pocałował ją w czoło.

— Co napisałeś do cioci?

Lisa jest moja. Jestem bezgranicznie szczęśliwy. Ronald — odczytał zadowolony z siebie.

Lisa roześmiała się.

— Masz coś do zarzucenia temu telegramowi? — zapytał udając zdziwienie.

— Tak, czegoś tu brakuje.

— Czego?

— Musisz dodać: „Lisa również.”

Ponownie pochylił się nad nią i pocałował ją.

— Lisa również? Muszę to sobie dobrze zapamiętać, żeby nie zapomnieć, bo inaczej ciotka Rahnsdorf mi nie uwierzy.

Ronald wyszedł, żeby posłać kogoś z tą wiadomością na pocztę. Zaraz jednak znowu był przy Lisie.

— Najdroższa, powinnaś się cieszyć, że jesteś moją żoną — powiedział rozbawiony.

— Dlaczego?

— Bo inaczej nikt w tym pensjonacie nie chciałby mieć z tobą więcej do czynienia. Jeszcze dzisiaj wieczorem przedstawię cię uroczyście jako panią Hechingen.

Lisa westchnęła cicho.

— I co ludzie na to powiedzą?

— Na to, że jesteś moją żoną?

— Nie, na to, że podawałam im moje panieńskie nazwisko.

— No, widzisz! Za to, że się mnie wyrzekłaś musisz teraz odpokutować.

— Zniosę tę pokutę z pokorą — uśmiechnęła się.

— Ciągle nie mogę wyjść z podziwu, jakaś ty piękna, Liso — szepnął jej do ucha.

— Miłość zaślepia — przekomarzała się.

— Nie, miłość przywraca wzrok. Wydajesz mi się teraz zupełnie inną osobą od tej, która została moją narzeczoną.

— Tak, byłam wtedy brzydką i nieciekawą dziewczyną i nie zapomnę tego, że nie chciałeś mnie znać.

— Ale chcę znać tę piękną i pełną wdzięku kobietę o czarującym uśmiechu i uwodzicielskim spojrzeniu, która leży teraz obok mnie która zawróciła mi w głowie.

Objęła go za szyję i pocałowała.

— Ach, Ronaldzie, jak to możliwe, żeby serce człowieka mogło pomieścić w sobie tyle szczęścia!

Namiętnie odwzajemnił jej pocałunek.

Tych kilka godzin do kolacji minęło im bardzo szybko. Koło siódmej Lisa musiała rozstać się z Ronaldem.

— Daj mi, najdroższy, trochę czasu dla siebie. Chcę wyglądać na kolacji szczególnie uroczyście, żebyś mógł być ze mnie dumny. Założę tę białą sukienkę, jakbym znowu była twoją narzeczoną. Dzisiaj jest nasze prawdziwe wesele.

Kiedy Ronald wychodził z pokoju Lisy, na korytarzu minęły go panna Uechteritz i pani Rosen. Nie odwzajemniły jego ukłonu, za to wydawało mu się, że usłyszał: „To skandal!”

Lisa i Ronald pojawili się w jadalni jako ostatni. Znowu umilkły wszelkie rozmowy, kiedy pensjonariusze zauważyli przed sobą dumnie wyprostowanego, przystojnego mężczyznę i piękną, wspaniale prezentującą się kobietę, którzy trzymali się pod rękę. Młodzi podeszli do stołu, zatrzymując się obok pana Naundorfa. Spoglądał na nich z zażenowaniem. Cóż sobie ten Hechingen wyobraża, przyprawdzając do niego tę małą Limbach?

— Szanowny panie Naundorf, przy obiedzie wyraził pan życzenie poznania mojej małżonki. Właśnie stoi przed panem. Liso, to jest jeden z moich starych znajomych.

Naundorf zerwał się z krzesła. Wszyscy wstrzymali oddech.

— Nie rozumiem, Hechingen. Przecież panna Limbach...

— Pardon, muszę najpierw wyjaśnić drobne nieporozumienie. Ze względu na szczególną sytuację rodzinną moja żona posługiwała się przez pewien czas swym panińskim nazwiskiem. Nigdy nie mówiła przy tym, że jest panną, ale ponieważ tak ją tu zaczęto tytułować, nie prostowała tego.

— Aha, w takim razie... wobec tego... proszę mi wybaczyć. To dla mnie

zaszczyt poznać panią, łaskawa pani — wybełkotał Naundorf.

Czterolistna koniczyna siedziała zdruzgotana, starając się nie dać po sobie poznać zmieszania. To nie była sensacja, jakiej oczekiwali.

Ogólne milczenie przerwał przytomnie radca Jagemann.

— W takim razie nic w tym dziwnego, że pospieszył pan swej małżonce tak szybko z pomocą. Ronald uśmiechnął się do niego.

— Tak, właściwie był to mój obowiązek.

Lisa szybko odzyskała pewność siebie. Nawet nie drgnęła jej powieka, gdy Ronald ze swadą opowiadał, jak to hrabina Rahnsdorf do niego napisała, żeby jak najszybciej przyjechał do Nicei dotrzymać towarzystwa żonie pod jej nieobecność. Można było odnieść wrażenie, jakby od dawna już byli małżeństwem.

Czwórka intrygantów długo nie mogła się uspokoić.

— Coś jednak musi się kryć za tą romantyczną opowieścią — utrzymywała panna Uechteritz.

Naundorf za to próbował zatuszować swoje *faux pas* wychwalając teraz zalety Lisy i Ronalda ze zdwojoną energią. Większość pozostałych pensjonariuszy była zadowolona z takiego rozwiązania zagadki, a rodzeństwo Tenda, które z zasady nie interesowało się prywatnymi sprawami swoich gości, nikomu nie wyjawilo, że Ronald nic nie wiedział o wyjeździe pani Rahnsdorf.

Po kolacji Lisa ubrała płaszcz i wyszła z Ronaldem na godzinny spacer po plaży. Wiatr wyraźnie przycichł i fale nieco się uspokoiły.

— Aż tam pod horyzont musiałem płynąć po swoje szczęście — odezwał się Ronald wskazując nieokreślone miejsce na morzu.

Lisa ujęła jego dłoń i pocałowała miejsce, które silnie krwawiło podczas tego szaleńczego wiosłowania. On jednak szybko cofnął rękę.

— Daj spokój, Liso!

— Kiedy ja chcę!

— To pocałuj mnie w usta, najdroższa.

Nad zatoką zapadł zmierzch, a oni stali jeszcze na plaży, wpatrując się w wodę.

Następnego ranka przyszedł telegram od hrabiny Rahnsdorf.

Ciotka Anna również jest szczęśliwa, jednak nie może przyjechać już do Villa Tenda. W majątku jest dużo roboty. Spodziewam się was, moje dzieci, na Boże Narodzenie. Do tego czasu macie wolne. Dużo szczęścia. Wkrótce napiszę więcej.

Kiedy nadeszła ta depesza, Lisa i Ronald siedzieli właśnie przy pierwszym wspólnym śniadaniu. Czytali ją na dwa głosy, śmiejąc się radośnie.

— Kochana cioteczka — powiedziała Lisa.

— Tak, najdroższa, wiele jej zawdzięczamy. Nawet nie wiesz, jak dobrze nas rozumiała. Była powiernicą mojej miłości i tęsknoty za tobą. Uwierzyła mi, kiedy ty jeszcze we mnie wątpiłaś — powiedział poważnie Ronald.

Lisa objęła go czule.

— Wynagrodzę ci to.

Przytulił ją mocno do piersi.

— Już to zrobiłaś, moja ukochana.

Następnych kilkanaście dni w Villa Tenda było najszczęśliwszym okresem w ich życiu. Ronald zamieszkał w pokoju zwolnionym przez hrabinę, ale większość czasu spędzał u Lisy. Wszyscy byli im bardzo życzliwi, ale najbardziej generałowa Naundorf i jej siostrzeniec.

Lisa nie wątpiła już w miłość Ronalda. Widziała, jaki jest szczęśliwy mogąc być przy niej, jak czule się do niej odnosi i jak namiętnie na nią patrzy. Ten widok wynagradzał jej wszystkie cierpienia ostatnich miesięcy.

Kochając i będąc kochaną Lisa instynktownie nauczyła się prezentować swój wdzięk. Potrafiła teraz być w razie potrzeby ponętna i uwodzicielska, a innym razem nieśmiała i skromna. Starła się zawsze być ozdobą swojego męża, a on często brał ją w ramiona szepcząc:

— Ach, moje ty piękne kaczątko!

Hechingenowie wrócili do Niemiec w połowie grudnia. Najpierw pojechali do Lipska. Odwiedzili tam matkę Ronalda, ciotkę Herminę i wuja Karola, by na koniec bawić się na weselu Lotty i Kurta Mallwita.

Na tej uroczystości zjawiała się także ciotka Anna, która miała wielką ochotę poznać wreszcie siostrę Ronalda. Ponieważ i konsul zdołał namówić żonę do zaszczylenia swą obecnością państwa młodych, przeto skłócone od wielu lat ciotki Lisy miały możliwość spędzić wspólnie trochę czasu. Kiedy tak siedziały naprzeciw siebie, nie wiedząc, czy się do siebie odezwać, podeszła do nich Lisa i objęła je równocześnie.

— Jeżeli chcecie, by moje szczęście było pełne, musicie się pogodzić. Bardzo was o to proszę. Sprawicie mi przykrość, nie zauważając wzajemnie swojej obecności. Wuj Karol również niezmiernie się ucieszy, gdy zobaczy was w dobrej komitywie. W końcu jesteście rodziną.

Hermina spojrzała na swojego męża. Konsul posłał jej pełne, godności, ale i wyczuwalnej zachęty spojrzenie. Jej policzki zaczerwieniły się po raz pierwszy od wielu dni, a usta rozluźniły.

— Daj już spokój, Hermino i podajmy sobie ręce na zgodę. Zrób to choćby ze względu na Lisę — odezwała się w tym samym momencie Anna Rahnsdorf, wyciągając dłoń w kierunku swojej szwagierki.

Po chwili wahania pani Limbach uścisnęła ją. Pokój był przypieczętowany, chociaż nieufność między nimi nie zniknęła wraz z tym gestem. Za bardzo różniły się charakterami, żeby mogła zapanować między nimi prawdziwa harmonia. Zgodziły się jednak przynajmniej nie okazywać sobie wrogości i znosić wzajemnie swoją obecność. Był to i tak wielki postęp.

Jeszcze przed zakończeniem uroczystości weselnych Hechingenowie wrócili wraz z ciotką Anną do Rahnsdorf. Czekają ich tam wspaniałe przy-

jęcie. Przez noc napadało sporo śniegu, otulając zamek i ogród białym welonem. Na schodach wiodących z dziedzińca do pałacu stała odświętnie wystrojona panna Birkner, pochlipując ze szczęścia.

— Dzień dobry, Marianno. Przywiozłam ci młodą parę. Od tej chwili będą już zawsze z nami — powiedziała z uśmiechem hrabina, nie mniej wzruszona od służącej.

— Myślę, że trwało to wystarczająco długo — mruknęła po swojemu panna Birkner.

Ronald i Lisa uściskali ją serdecznie.

— Teraz jednak będziesz musiała być trochę bardziej uprzejma, Marianno, na włościach Rahnsdorf mamy bowiem od dziś nowego pana oświadczyła dumnie hrabina.

— Wytrzymałam jakoś ze świętej pamięci hrabią Rahnsdorf, to i z naszym młodym paniczem jakoś się dogadamy. Pan Ronald już tam wie, jak się ze mną porozumieć. Nie potrafię jednak się przymilać, bo to nie leży w mojej naturze. Zawsze mówię szczerze to, co myślę. Szczerłość popłaca, przynajmniej unika się zagmatwanych sytuacji.

— Święta racja, Marianno! To też ja cię wcale nie ganię. Osobiście także nigdy nie znosiłam niejasnych sytuacji. Myślę więc, że również dzięki twojemu uporowi możemy spędzić tegoroczne święta w takim gronie. Twoje konfitury i twoje wypieki znajdą wreszcie godne podniebienie. Ronald jest znawcą dobrej kuchni, a ty gotujesz jak nikt inny w promieniu co najmniej stu kilometrów. Przynajmniej więc w tym względzie nie będziesz musiała się irytować i nas wyzywać.

— Ależ, łaskawa pani, ani mi to w głowie. Zawsze chcę jak najlepiej, a że czasami wyrwie mi się coś niestosownego...

Pani Rahnsdorf poklepała służącą dobrotliwie po ramieniu.

— Masz dobre serce, to widać już na pierwszy rzut oka.

— No, wystarczy już tych uprzejmości, łaskawa pani! Lepiej wejdźmy do środka, bo się jeszcze zakatarzymy — powiedziała szorstko panna Birkner otwierając szeroko drzwi.

Hrabina stanęła w progu, zwracając się do młodych z powagą:

— Wchodźcie do tego budynku jako małżeństwo. Niech was Bóg bło-

gości, moje dzieci.

Po chwili wszyscy zniknęli w domu.

KONIEC

TLR